

Wilczyński Albert

DLA DOBRA DZIECI

STUDYUM Z NATURY

— Mój kochany—odezwała się raz stryjenka moja, niemłoda już osoba, eks-obywatelka utrzymująca się z procentów we Lwowie—piszesz rozmaite facecye, czasami i śmieszne, wartoby więc abyś się wziął do tej plagi obywatelskich domów, do owych guwernerów i guwernantek...

— Stryjenko, jakże można!...

— Proszę mi nie przerywać—rzecze surowym tonem, rachując spuszczone oczka pończochy. — Ja wiem co mówię, i powtarzam ci, są plagą.

Darujcie wszystkie panie, panienki i panowie trudniący się prywatną edukacją, że zamilkłem z waszą obroną, nie z przekonania, daję wam słowo, bo w głębi duszy cenię wysoko i szanuję wasz stan nauczycielski, ale poprostu ze strachu i potrzeby. Jestem człowiekiem tylko, i radbym zapewnić sobie na starość jaką taką egzystencję. Jak wiadomo, literaci nie mają prawa do emerytury od swoich czytelniczek, a że stryjenka obiecuje mi ciągle coś zapisać, więc powiedzcie sami, czy wypada narażać się takiej osobie? Po dwakroć już, kiedy pani posłowa wybierała się ai patres, zachorowawszy na katar połączony z chrypką, miałem już ten **szczęśliwy testament w rękę, oglądałem jego sześć czerwonych jak krew pieczęci, i umierałem z ciekawości, co też tam w środku o mnie napisano? Ale że Pan Bóg nie dopuścił katastrofy, musiałem go, jak nie pyszny, oddać znowu stryjence.**

O ile wiem, w całej rodzinie naszej, począwszy od pradziadka (dalej bowiem genealogiczne tablice nasze nie sięgają) nie było ani jednego szczęśliwca, któremu- by ktoś, coś, kiedybydź zapisał. Nie dziwcie się tedy, że mieszkając w rozsądnej Galicyi i mając ogromną chęć doświadczenia tój przyjemności, jakiej obdarowanym zapisy dostarczać muszą, połknąłem wobec stryjenki moje przekonania. Toż samo, chociaż nie dla zapisu zrobił święty Piotr wobec Pana Boga, a nie stryjenki, jednak to mu darowano; więc mam nadzieję, że interesowani w tej sprawie czytelnicy będą mię sądzić nie wedle słów, ale wedle intencji moich.

•— Znałeś Marcinową z Sinowoli?—pyta mię stryjenka.

— Tę pulchniutką z dołęczkami blondynkę?

— Bez tych uwag, proszę cię, panie Stanisławie! Poważnemu człowiekowi nie przystoi zwracać uwagi na czyjąś tuszę i dołeczki...

— Więc na cóż, proszę stryjenki?

— Nie udawaj głupca, wiesz, że tego nie lubię- Pulchna, czy nie pulchna, to nie twoja rzecz; każdy jest takim, jakim go Bóg stworzył. Jeżeli wspominam o Marcinowej, to dlatego abyś wiedział, iż przyczyną wszystkich jej kłopotów są tylko guwernantki. Chcesz, to ci opowiem, jak było.

— A i owszem, stryjenko! Takie historye to właśnie woda na mój młyn.

— Tylko, żebyś-mi czasem tego nie spytował, jak to wy umiecie. Pamiętaj, testament mogę poprawić! Widzisz, jestem kobieta stara, doświadczona, i wiem co mówię...

— Dobrze, kochana stryjenko — odrzeknę pod strachem tej poprawki — ja to puszczyć na razówkę, ot tak po autorsku, trochę ubiorę...

— Jak tam chcesz, tylko bez kpin zadnych i tych intencji ośmieszenia ludzi dobrze urodzonych. Głupstw nie lubię, choćby i dowcipnych. Takeście teraz przywykli wszystko nicować na śmieszność, że z najpoważniejszych rzeczy robicie błazeństwa i karykatury...

Otóż widzicie czytelnicy, że stryjenka nakreśliła mi program, od którego odstąpić nie mogę pod karą zmiany testamentu. A stryjenka gotowa to zrobić, bo jest tak surową dla wszystkich, że czasem Milusiowi, który jest także faworytem, każe cały dzień pościć za karę, jeżeli się jakiego wykroczenia przeciw porządkowi domowemu dopuścił. Zaczynam tedy w tym duchu i w taki sposób, jak mi kochana stryjenka opowiadała, a co będzie mojego dalej, to już jest wynikiem moich obserwacji osób, ze sprawą pana Marcina i pani Marci- nowej związek mających. Tu już, gdzie nie idzie o osoby naszego stanu, przyznaję się do własnych poglądów, i pozwalam krytyce krajać je wedle upodobania.

*

* *

1/

Gdyby nie panna Karolina, guwernantka dzieci państwa Marcinów, a raczej fantazja jej do noszenia

bareżowych sukni, nigdyby Marcinom nie przyszło do głowy wypuszczać Sinowolę w dzierzawę i sprowadzać się do miasta dla dobra dzieci. Najstarszy syn Ludwik, stałby jak dotąd u profesora na stancyi za pięćset reńskich i dwa garnce masła na rok, i bez wielkich zachodów, naturalnie jak po maśle, przechodziłby z klasy do klasy. Emcia, panienka już dorastająca, która ukończyła sześć klas na pensyi z sześciu nagrodami i siedmiu wieńcami, dla dokończenia edukacyi ćwiczyłaby się we francuzczyźnie przy onej panie Karolinie, czytywałaby przez matkę wybrane romanse—opuszczając zalepione stronice—i grywałaby na fortepianie, aby nie zapomnieć tego, czego ją pani Brzdąkalska nauczyła.

— Za pozwoleniem stryjenki dobrodziejki, a któż to jest ta pani Brzdąkalska?

— Jakto, nie wiesz, kto pani Brzdąkalska, uczenica uczenicy Szopena, sławna Brzdąkalska, pobierająca trzy reńskie za godzinę? Któż, proszę cię, nie zna Brzdąkalskiej?

— Być może, czytelniczki moje wiedzą coś o Brzdąkalskiej, ja przysięgam Bogu, pierwszy raz o niej sły-
szę; ale że nie wypada sprzeczać się ze stryjenką dysponującą zapisem, i że ja z grającymi wielkościami nie mam nic do czynienia, zatem niech sobie będzie znakomitością.

Zupełnie rzecz inna ma się z panną Karoliną. Nazywa się wprawdzie Rzepczyńska, ale, urodzona we Francyi z matki Paryżanki, ma tak prześliczną pronun-
cyacją, tak nie wymawia r, że jak był w Sino woli ksiądz Richard dla wyszukania źródła wody, ani przypuszczał, że panna Karolina jest Polką.

Przy umowie, zgodzono ją do dwojga dzieci państwa Marcinów, jednak mogła sobie znaleźć tyle czasu, żeby parę godzin przeparuwała dziennie z Emcią... I nie mogę powiedzieć tego, żeby nie rozmawiała—czasami nawet zanadto było tego — ale po polsku. Te wszystkie guwernantki nasze z rodziców mieszanych, jak tylko przyjadą do kraju, gwałtem chorują na polskość. Dziecinne są myśląc, że ich tu się sprowadza dla obudzenia w sobie narodowości.

Ponieważ pan Marcin, człowiek wielce dystyngowany i wykształcony, chodził bowiem w r. 1863, jako wolny słuchacz na uniwersytet w Heidelbergu, życzy sobie aby Emcia uczyła się literatury, więc pan Toporek, nauczyciel szkółki ludowej, już egzaminowany na profesora do szkół wydziałowych, deklarował się dwa razy na tydzień przyjeżdżać do Sinowoli, za wynagrodzeniem co łaska ze strony jaśnie wielmożnego dziedzica. Dałby mu tam pan Marcin jaki sążeń drzewa na zimę, korczyk pszenicy na święta, i Emcia korzystałaby z literatury, a nawet i śpiewu, bo pan Toporek i ten talent posiadał.

Jak zauważył pan Marcin, szanowny nauczyciel szkółki miał przenikliwą i rozczulającą metodę trzęsącym i huczącym basem, zwaną tremolando, bo jak na nabożeństwie w kościele wyciągnął „Dona noiis pacem to szyby w oknach drżały, a w sercu niedobrze się robiło. Zresztą znał się na nutach dobrze, skoro takich he- besów, jakimi są miasteczkowi chłopacy, wcale nieźle wyuczył śpiewania.

Już-to państwo Marcinowie od początku nie mieli szczęścia do guwernantek. Innym trafi się odrazu porządna osoba, co-to tak przylgnie do domu jak swoja*

ale pani Marcinowej, która z tylu kantorami się znosiła i kaprysiła w wyborze—jakoś to nie szło. Naprzód była przez trzy miesiące Szwajcarka Eliza, nieładna, na co się krzywił pan Marcin, ale któż tam zważa na piękność guwernantek, gdy idzie o dobro dzieci. Otóż Szwajcarka ta, cicha, skromna i pracowita, choć nie mówiła paryskim akcentem, jednak byłaby do dziś dnia w Sinowoli, gdyby jej się na gwałt nie zachciało wło- siennych materaców do łóżka. Doprawdy, osobliwsza pretensya! Jakaś tam córka rzemieślnika z Lozanny nie mogła sypiać na sienniku, polską żytnią słomą wypchanym! A zresztą byłiby jej dali nawet te materace, żeby chciała poczekać do wiosny, albowiem w marcu pan Marcin sprowadzał zawsze rymarza do reparacyi upręży, toby jej był ze starych krzesel leżących na strychu, wyrychtował owe poduszki. Ale to zaraz gniewy, fochy i pojadę, pojadę, ja nie będę sypiała jak pes... Jedź-że sobie, jedź, moja ty zagraniczna grymaśnico! Za pieniądze na świecie wszystkiego dostanie, a cóż dopiero bony Szwajcarki?... Boże kochany, ten towar za granicą można brać furami!

Potem znowu, dla wprawy w język niemiecki, była niemłoda już wdowa Szlązaczka, niejaka pani Grrondek. Siedziała przez pół roku i Kazio, a szczególnie starsza od niego Julcia, musieli nieźle porywać ową Niemczyznę, skoro Mosiek arendarz mógł się z niemi rozmówić. Ale ta, pani poprawiwszy się wielce na ciele (jak przyjechała do Sinowoli, to tylko miała skórę i kości na sobie) podziękowała za obowiązek, bo nie może znosić kopania nogami od Kazia, czego mu pani Marcinowa nigdy nie zgani. Szczególniejsza kobieta i to jeszcze taka, która sama była matką, zatem musiała

wiedzieć jako mali chłopcy są swawolni... Zresztą, cóż jej tam tak złego mógł zrobić sześciolatek, taki Kazio!

— Niech sobie jedzie, i owszem — mówiła Marcynowa do Marcina.

— Przyznam ci się, taka jest nieznośna, że swoim narzucaniem się do każdej roboty i to na swój niemiecki sposób. Widziałeś, popsła mi już dwie suknie, zapewniając, że zna się doskonale na kroju. Byłabym oddała do magazynu, kosztowałyby, ale proszę cię, zobacz jak leży ta kaszmirowa z paltocikiem? Doprawdy, ile razy ją włożę, a trudno znów wyrzucić kiedy kosztuje, to muszę tak ramionami w tył kręcić, bo zawązka jest w plecach, i jeszcze kiedy przy gościach pęknie.

Panna Karolina, ta właśnie, z przyczyny której musieli się państwo aż do miasta wyprowadzić, jak wiemy, nie była ani Szwajcarką, ani nawet Polką. Spała doskonale na sienniku wypchanym słomą polską, na kroju sukien znała się lepiej niż magazynierka, dając sobie radę z żurnalami, a dzieci tak umiała do siebie przywiązać, że Kazio nie tylko jej ani razu nie trącił nogą, ale ciągle siedział jej na kolanach, niby na koniu, a rękami wieszał się u szyi. Pokazuje się z tego, że chłopiec nie był tak złośliwym jak owa niemczura utrzymywała, a tylko ona go swoim nietaktownym postępowaniem takiej niecierpliwości nauczyła.

Nie ulega wątpliwości, że panna Karolina z początku była osobą bez żadnej wady jako guwernantka, bo nawet w jedzeniu nie grymasiła. Na wsi rozmaicie bywa: czasami zabraknie śmietanki i dadzą jej kawę z mlekiem, ona pije, nic nie mówi. Czasami mało jest mięsa i tylko dla pana i pani na parę zrazów wystarczy,

to guwernantka zje kaszy albo trochę jarzynki i nie robi z tego historii jak inne... Dzieci od niej korzystały bardzo: Kazio, ten śmieszny mały berbec, na imieniny ojca deklamował-ci tak Kornela, że wszyscy za boki się brali. A już co się tyczy różnych bajeczek z historii świętej, to w krótkim czasie doszli do siedmiu -plag egipskich.

Zdawało się tedy, że panna Karolina posiada wszystkie przymioty wzorowej guwernantki, gdyby, niestety, mogła się wyrzec nadziei pójścia za mąż. Ma lat pewno już około trzydziestu, nie jest brzydka, ale tóż i nie ładna; ciemnej cery, z orlim nosem, czysto Francuzka, jak-to one bywają, zgrabne, zwinne, wyzywające. Oczy to niby ma ładne, ale trochę żydowskie, włosy podobno że piękne—i więcej nic.

I proszę was, na co to już takiej niemłodej pannie, no i bez majątku (brała wszystkiego trzysta reńskich na rok) chcieć gwałtem podobać się mężczyznom? Dziękowałaby Panu Bogu, że jej dał dobre miejsce w porządnym domu obywatelskim, grocie mogłaby i kilka lat siedzieć spokojnie, cichutko, ciepło (stryjenka moja pa-syami lubi ciepło) i ciućać coś na stare lata. Ale nie— to wszystko mało!

Z początku było to takie niewiniątko, że nieraz Marcinowa mówi do niej:

— Czemu-to panna Karolina nie wyjdzie czasami do salonu, do gości. Czegóż tak siedzieć i siedzieć w swoim pokoju? Dzieci tam mogą być niegrzeczne...

— Ja nie lubię... tego, co mi po gościach, mnie tu najlepiej...

Lecz powoli tak jakoś nabrała ochoty, że niechno tylko który z młodszych sąsiadów pokaże się w Sinowoli,

ba, nawet ze starszych i to żonatych—już panna Karolina zapomina o dzieciach i myk do lustra. Czesze się, kryguje, loki żelazkiem przypieka, kokardy krzyczące przypina i pudruje się, pudruje się nietylko po twarzy, ale i po szyi, po ramionach... dają słowo. Zaraz świeże mankiety i broszkę i łańcuszek z zegarkiem zakłada, i leje na siebie perfumy, jakby wodę jaką.

Tu pani Marcinowa, która jak wiemy jest sobie pulchną z dołeczkami blondyneczką, może o parę lat od niej starszą, kręci się biedaczka w kredensowym pokoju, wszystko przyrządza, bo wiadomo, że na naszą wiejską służbę spuścić się niepodobna, — a panna Karolina zamiast ją w czym wyręczyć, rozsiada się w salonie na kanapie i w najlepsze z panami dysputuje. To o politykę się sprzecza, biorąc w obronę lud prosty, to chwali się ze swemi wiadomościami literackimi, i gada i gada aż uszy bołą. Jaka ona śmieszna! Sądzi, że zaimponuje tym panom swoją profesorską erudycją. Słuchają, bo to są ludzie dobrze wychowani z naszego towarzystwa, a ona coraz natarczywiej sili się przekonać pana Zygmunta o mądrości Kazimierza Wielkiego, jaka wieje z jakiegoś tam statutu. Zaręczam, że poczciwy Zy- nio, chociaż jest bardzo dobry, ani słyszał o takim statucie. Inaczej zupełnie uczą się ludzie historii dla przyjemności, a inaczej dla chleba; pan Zygmunt ma trzy piękne wioski bez centa długu i matka jeszcze chce mu kupić czwartą w sąsiedztwie, tylko że się z nią drożą bardzo.

Każda inna, a nie panna Karolina poznałaby się na tem, że pan Adolf Nadymalski, drugi młody sąsiad, który zagranicą kończył technikę, wszelkimi sposobami wykręca się od konwersacyi. To chodzi po pokoiku, to

oknem wygląda i w szybę palcem bębni, to się przypatruje landszaftom, -czasem i coś pod nosem nuci, a ona swoje i swoje jak ten kołowrotek. Raz nawet to tak ją skompromitował, że biedna oblała się ponsem. Mówiła mu coś o Szekspirze, że to jest bardzo znakomity aktor, a zarazem taki głęboki autor i myśliciel, jakiego dotąd świat nie widział. To już zniescierpliwilo do ostatka p. Adolfa, odzywa się zatem:

— Pani, to tylko unosisz się nad cudzemi wielkościami. Co nas tam może interesować jakiś niemiecki aktor...

•— Przepraszam — mówi Karolina — Szekspir nie jest Niemcem.

— Wszystko ^{^rancuz,}

w Wielkiej Operze, albo w Burgu, kiedy i my tu mamy swoich Szekspirów.

— Nie, panie, nie mamy — odpowiada ironicznie i z zarozumiałością.

— Daruje panna, ale i ja się też znam trochę na tych rzeczach i różne teatra za granicą widziałem, a mimo to pamiętam, czytałem w którymś z pism krajowych „nasz Szekspir polski.” Nie mogę sobie przypomnieć o kogo tu chodziło, ale wyraźnie czytałem. Pani, która się masz za taką Polkę, nie powinnaś lekceważyć naszych artystów.

— Ależ tu mowa o pisarzu dramatycznym!

— Wszystko jedno.

— Szekspir już dawno umarł...

— Tem lepiej! Niech mu będzie wieczne odpoczywanie! — dokończył szorstko pan Adolf, bo inaczej nie uwolniłby się od klekotania tej panny.

Hiszpan, Szwed,

nawet

Jak się też panna Karolina zawstydziła, a taka była zła, że Marcinowa słysząc to z drugiego pokoju, umyślnie weszła do sali, bo jej się żal zrobiło biednej dziewczyny, że tak się nieznajomością rzeczy kompromituje.

Wszystko to bardzo dobrze, kiedy chodziło o obcych. Ale tej pannie zachciało się w końcu kokietować i samego pana Marcina. Miał on wtedy najwyżej czterdzieści pięć lat i był prześlicznym mężczyzną. Wysoki, brunet z czarne mi jak smoła oczyma, trzymał się tak prosto jak świeca, a w spojrzeniu swoim miał coś tak przyjemnie świdrującego, że niech tylko popatrzy w oczy której kobiecie i wąsa pokręci — to formalnie serce jej dygocze, a na twarzy robi się gorąco. Są męż- czyzni tacy, i są z pewnością, którzy mają coś we wzroku magnetycznego.

Powiadają, że pan Marcin swojego czasu ogromnym był bałamutem j kobiety za nim szalały; dlatego też Marcinowa do dziś dnia zakochana jest w nim jak młoda pensyonarka, a taka zazdrośna, że nieraz histo- rye mu wyprawia, kiedy na zabawie jakiej przybliża się zanadto do innych kobiet i czułe robi miny. Bogiem a prawdą pani Marcinowa ma rację, że go pilnuje: mężowi jej niedobrze z oczu patrzy, i gdyby się jeszcze nie bał... No, ale się boi naprawdę, bo cały majątek i wszelkie wygodki życia, które tak lubi, zawdzięcza majątkowi i miłości żony. Sam z siebie nic nie miał, prócz ładnej powierzchowności i szabli huzarskiej.

Z wiekiem, kochliwość i pasya nadskakiwania kobietom cokolwiek się zmniejszyła, a raczej przybrała charakter dobrodusznej z niemi poufalości. Wszystkie umizgi były to niby żarty, jednak ktoby tam wierzył

mężczyźnie! Dlatego też biedna Marcinowa żyje w nieustannej irytacji, bo słabość męża do płci pięknej jest tak powszechnie znaną, że chłopci ze wsi, jak potrzebują coś wyludzić od pana, nie idą sami, ale posyłają żony lub córki do dworu.

Za to w obejściu się z mężczyznami, pan Marcin zachowuje jak największą dystynkcyę, do czego i strój jego pełen wytworności i sztywna postawa, wiele dopomaga. Już-to minę ma bez zaprzeczenia pańską, wymagającą attencyi: żartów i dwuznaczników nie lubi, biorąc wszystko na seryo, a obraża się tak często, że wszyscy unikają jegjroznowy, żeby się nie narazić.

Jakkolwiek pan Marcin grymaśnym jest w wyborze pań, którym grzeczność robi, a panna Karolina od-razu mu się nie podobała, to jednak ujęty jej usłużną i niemą adoracyą, zaczął się nią więcej interesować. A sprytna to była pod tym względem pannica, taka prawdziwa kokietka paryska! Ona tak umiała zgadywać jego myśli, tak mu się przypochlebiać w drobnych grzecznościach, że niech naprzykład sięgnie ręką do kieszeni po cygaro, ona już podaje mu nożyk do obcięcia, biegnie po świecę, zapalą, przynosi, podsuwa, a wszystko z tak niewinną minką i uprzejmością, że pani Marcinowa tylko zęby zaciska, a nic powiedzieć nie może.

Mężczyźni w ogóle sto razy są próźniejsi od kobiet, i właśnie takimi drobnostkami, takim dogadzaniem ich słabostkom, ciągłą troskliwością najłatwiej dadzą się zobligować. Wiedzą o tem aż nadto dobrze już niemłode wdowy i na taką plewę biorą bez ceremonii zarozumiałych pyszałków.

II.

W pierwszy dzień Zielonych Świątek przyjechało do Sinowoli kilkanaście osób na obiad. Był i pan Mieczysław, i pan Adolf i starszy trochę pan Ludwik z "Wąsosza i kilka znajomych pań z sąsiedztwa. Panna Karolina wychodzi do obiadu w czarnej bareżowej sukni z tak wyciętym stanikiem, że doprawdy wstyd pomyśleć, żeby taka niemłoda panna nie rozumiała tego, że to nie można. Przecież i Marcinowa znacznie ładniejsza od niej, znalazłaby w swej garderobie coś podobnego, a jednak włożyła czarną kaszmirową, z otwartym białym kołnierzykiem, ale nie tak bardzo. W Maju u nas jeszcze dość zimno, więc na cóż tu tak się chłodzić. Nie — to już chęć kokieteryi, pochwalenia się pięknym biustem i ręką, powodowały wyborem guwernantki. My kobiety — zapewniała stryjenka — doskonale się znamy na tem: chciała zrobić wrażenie...

Panowie, jak wszyscy mężczyźni spoglądali na nią, uśmiechali się, do ucha coś sobie szeptali; nawet sam Marcin żartował z niej utrzymując, że musi jej być gorąco na sercu — ale za to wszystkie panie były oburzone. Marcinowa już nie mogła wytrzymać, bo jej chodziło o Emcię, więc kiedy wstano od stołu, zapytała niefortunną elegantkę:

- Czy panna Karolina spodziewa się, że będą tańce?
- Dlaczego pani o to mię pyta?
- Sądzę to z ubioru panny...
- We Francyi zwykle podczas lata chodzą w takich sukniach, przywykłam do tego...
- U nas nie Paryż i ludzie się śmieją...

- Nie uważałam tego. Zresztą niewiele mnie obchodzą cudze śmiechy.
- To bardzo źle. Nauczycielka powinna być we wszystkim wzorem dla uczennic.
- Nawet w ubraniu? — mówi z przekąsem panna Karolina. W takim razie jutro każę sobie poskracać suknie, abym wyglądała jak podlotka jak Emcia...

Szczęściem, że panna Karolina wyszła, a Marcin poznawszy z miny małżonki, że coś drażliwego między nimi zaszło, zbliżył się do niej — inaczej przyszłoby do czegoś gorszego.

- O co wam idzie?
- Nie do wytrzymania z tą intrygantką! Taka się zrobiła harda, że słowa sobie nie da powiedzieć.

Wiesz, jeżeli tak dalej będzie... nie wytrzymam.

Gdy pan Marcin wysłuchał poważnie całej sprawy, uśmiechnął się tylko, węża pokręcił, a spojrzawszy tak czule na żonę jak on to umie, powiada:

— Daj jej pokój Winiu (pani Marcinowej Jadwiga na imię), niech sobie będzie śmiesznem to biedactwo, kiedy chce... Co ci to szkodzi.

- Nie mogę na to patrzeć!
- A mnie to bawi. Moja droga, dla dobra dzieci wiele się znosi. Miałaś tyle innych, czy były lepsze? No, no, tylko rozsłoń te ładne brewki... Winiu, ślicznie dziś wyglądasz w tej czarnej sukni... Ej figlarko, a ten otwarty kołnierzyk, to jakby na wabika... Chę... chę, chę... muszę powiedzieć Ludwikowi...

- Nie bądź dziecinnym...
- Powiem, powiem, udało mi się.
- Jak mię kochasz tak nie powiesz, ty stary mój bałamucie...

— A nie będziesz się gniewała na pannę Karolinę?

— Co ty tak się za nią ujmujesz?

.— Mówię ci, dla dobra dzieci, jak cię kocham... Śmieszna sobie jest, zwiędła, pretensjonalna, ale do nauki jedyna.

Ludwik powiada, że to uniwersytecki profesor w spódnicy.

Marcinowa tylko spojrzała bystro w oczy Marcinowi, a że on wytrzymał spokojnie tę indagację, więc pociągnęła go z figlów za wąsy, i poklepawszy po ramieniu wepchnęła do salonu, aby szedł zabawiać gości.

Marcinowa jest kobietą z charakterem, zatem przyrzekłszy mężowi tolerować jej śmieszności—dotrzymała słowa, ale straciła do niej serce. Na pozór wszystko było pięknie, grzecznie, gładko, choć w głębi rozpoczęła się między temi paniami maleńka podjazdowa wojna, na którą mężczyźni rzadko kiedy poznać się mogą. A że pan Marcin był także mężczyzną i to pozorne zawieszenie broni wziął za pokój, więc tak samo jak przedtem uprzejmym był dla panny Karoliny, co rozzuchwalona guwernantka brała za pewien rodzaj opieki przeciw samej pani. Ile biedna Marcinowa cierpiała na tem, trudno sobie wyobrazić, lecz składając to wszystko na ofiarę dobra dla dzieci — milczała.

Jednak i ta chrześcijańska cierpliwość miewa także swoje granice; proszę posłuchać co się niezadługo stało. Pewnego wieczoru, już po kolacyi, rozgadała się bardzo nasza guwernantka o elektryczności. Dzieci słuchały i pan niby słuchał drzemiąc z cygarem w ustach na kanapie, gdy Marcinowa zajęta gospodarstwem wchodziła i wychodziła z pokoju, bo ją takie gadaniny panny nie

wiele obchodziły. Naraz przychodzi do jadalnego pokoju i patrzy, nie ma nikogo, a z ciemnego salonu dochodzą ją głośne wykrzykniki dzieci. Co to jest, dla czego oni tam się wynieśli? — myśli sobie — i bierze za klamkę aby wejść do sali. ~

— Nie można! — woła Emcia, trzymając drzwi z drugiej strony.

Nie można, bo panna Karolina pokazuje tacie elektryczność!

No, spodziewam się, że taka rzecz mogła oburzyć Marcinową, więc popchnąwszy drzwi z całej siły, weszła przebojem do pokoju... Okropność, co się tam działo! Guwernantka z rozpuszczonymi włosami stała w najciemniejszym kącie salonu, a pan Marcin koło niej i dwoje młodszych dzieci.

— Co to za komedye?

— Pójdź-no tu Winio rybenko! — pójdź-no bli- żsj! — woła zachwycony małżonek — a zobaczysz jak z włosów panny Karoliny sypią się iskry. Jak honor kocham, to ciekawa historia, nawet trzeszcza... Emciu, Emciu zamykaj drzwi... A pójdźże prędko moja Winiu!

— Ze też panna Karolina, zawsze musi jakąś niedorzeczność wykonywać — odzywa się kwaśno Marcino- wa i rozkazuje wnieść światło.

— Jak ciebie kocham Winiusiu. takie były iskry jak z koła — dodaje Marcin podkrecając węża, gdy panna guwernantka zaczyna sobie z najlepszą miną skręcać na głowie rozpuszczone warkoczki.

Ha, tego już zanadto — powiedziała sobie Marci- nowa, zaciskając zęby, i w tej samej chwili postanowiła, że bądź co bądź musi się pozbyć tej zalotnicy... Okropność, jakie to wybiegi, jaka finezyja! Sprowadzać męż

czynną do ciemnego pokoju, rozplatywać włosy, kazać mu szukać iskier... rozumiemy doskonale, co tam przy tych iskrach być mogło.

Parę razy Marcinowa próbowała łaprzekonać męża, że panna Karolina się zaniedbuje, że po francuzku z Emcią nie mówi, że Kazia zanadto pieści...

— Proszę cię, zkań takakonfidencya familijna wy- całowywać moje dziecko... Ja tego nie lubię, Bóg wie co ona za jedna, tembardziej, że to wszystko jest fałsz...

Lecz pan Marcin całą tę rzecz obracał w żarty, wsa podkręcał, do żony się umizgał, powtarzając figlarnie:

— Niech się berbeć uczy całować za młodu... Jak dorośnie, to jakby znalazł... Jak honor kocham, ja tak samo całowałem wszystkie kuzynki. Cóż ty myślisz, że całowanie nie jest rzeczą przyjemną, hę? Daj buzi, moja ty ładna dąsalska...

Znasz panią Marcinową—mówi stryjenka—i wiesz jak z gruntu jest dobrą kobietą, ale trudno i od najlepszej żądać miłości dla kogoś, kogo się nie lubi... Wiedziała o tem cała służba w Sinowoli i dlatego też zaczęła lekceważyć pannę Karolinę. Zresztą nie było za kogo się rozbijać. Nieraz woła guwernantka i woła pokojówki— a ona nie przychodzi;—potrzebuje, żeby jej uprano drobiazgi jakieś, np. kołnierzyki, mankietki, to służąca bez ceremonii powiada, niech panna czeka jak będzie duże pranie. A jak znów było to duże pranie— to zawsze czegoś zapomniano, coś się splamiło, coś przypaliło w prasowaniu. Nasze służące jak chcą, potrafią dokuczyć, a Marcinowa znowu myślała, jeżeli jej źle, to niech idzie z Panem Bogiem, czego tu siedzi!

Na wsi, jak wiadomo, ludzie wcześniej spać idą,

A. Wilczyński—Tom XIV.

a rano w staję, ta zaś Francuzica paliła lampę do północy i a Ibo się fiokowała, albj^czytała w łóżku... Proszę cię, co to za lenistwo i nildelikatność, jakie lekceważenie cudzego grosza, bo przecież nafta kosztuje... Ale mówże tam o oszczędności takiej pannie, która przywykła lekko brać pieniądze; więc kiedy powiedziała jej Marcinowa, że niepotrzebnie po nocach świeci, i szkodzi zdrowiu Emci, która jest bardzo nerwową, to tyle było dąsów, płaczów i narzekań, że, myślałby kto, skrzywdzili ją ciężko tem, że pani kazała nalewać tylko połowę lampy, aby nie miała przy czem siedzieć...

Dziwna rzecz, te wszystkie nieprzyjemności i wiele innych, jakie się z podobnego rodzaju stosunków co godzina prawie wywiązywały, nietylko że nie zrażały panny Karoliny, lecz przeciwnie robiły ją coraz bardziej ustępującą i pokorniejszą. Udawała, że tego nie widzi i nie słyszy, że niczego się nie domyśla, a za to względem Marcina grzeczność swoją posuwała do służalstwa.

Jak tylko miała czas wolny, siadała do stolika i pisała listy czasami po kilka na dzień, i sama odnosiła do arendarza, aby odwiózł na pocztę. Toż samo było, gdy ten arendarz wracał z miasteczka: całemi godzinami stawała w oknie, czatując rychłoli przechodzić będzie do dworu z pocztą, a wtedy wybiegała do ganku, odbierając listy do siebie adresowane, żeby ich przypadkiem ktoś nie zobaczył. — Czego ona się tak obawiała? Czy żeby przypadkiem nie dowiedziano się, z kąd one przychodzą, czy też by ich nie przejęto? — doprawdy trudno wiedzieć. Musiała ona kiedyś te rzeczy praktykować sama, skoro była przemądrze ostrożną. Już-to człowiek zawsze innych podług siebie sądzi!

Pani Marcinowa, znasz ją jak jest szlachetna i de-

likatna kobieta, swoją drogą niezmiernie była zaintrygowana tą tajemniczą korespondencją guwernantki. I nic dziwnego; jest matką swoich dzieci, a zatem obchodzić ją musi konduita osoby, której się powierzą prowadzenie tych dzieci. Parę więc razy starała się delikatnie wybadać Emcię, co to wszystko znaczy, bo Em- cia sypiał a w jednym z nią pokoju. Ale naiwne dziew- czątko, mogło tylko powiedzieć, że panna Karolina ciągle coś pisze, często pieniądze wkłada do kopert a jak odbierze list z poczty, to odczytuje go kilka razy, potem do kufra zamyka i tak po nocach płacze, że Emcia nawet z tego powodu kilka razy się budzi. W dobrej wierze, wydała jeszcze Emcia guwernantkę z pewnych sekretów toaletowych, o czym Marcinowa nie omieszkała w potocznej rozmowie uwiadomić męża.

Przypadek, ale to czysty przypadek zdarzył, daję ci słowo, że Marcinowa, potrzebując jakichś drobnostek z miasta, pojechała sama z dziećmi na spacer. Wracając zatrzymała się przed stacją pocztową i kazała sobie wynieść listy i gazety do Sinowoli adresowane, wiedząc że Marcin zajmuje-się polityką i lubi mieć świeże gazety.

Otóż zabrawszy to wszystko, zaczęła w drodze rozrywać koperty i czytać; a że jest prędką i trochę roz- trzepaną, więc nie patrząc na adres (przysięga się że tak było) stworzyła jeden należący do panny Karoliny, co zaraz spostrzegła wyczytawszy napis „kochana Ka- rolciu!”

Przykro jej się zrobiło, ale cóż zrobić — stało się, będzie dąsów niemało. A że panna Karolina nigdy nie uwierzy temu, jakoby list nie był czytany, więc myśli

sobie, mam być czy tak czy owak podejrzaną — to już przeczytam.

List, którego^ słów pewnie do śmierci nie zapomni, był tej mniej więcej treści:

„Czy się to godzi, moja droga, abyś ty cierpiała tyle dla nas. Wyobrażam sobie jak ci ta pani Marcinowa musi dokuczać, jeżeli już ty, anielskiej cierpliwości kobieta, narzekasz. Proszę cię więc na wszystko, zostaw nas swojemu losowi i uciekaj z tego domu. Podzielałam twój zachwyty dla pana Marcina, pokazuje się, że zawsze mężczyźni są lepsi od nas, choć ta niegodziwa sama jest matką i powinna mieć więcej serca. Nie uwierzysz jak się twój Ignas cieszy nadzieją, że może niezadługo przyjedziesz; biedny chłopczyna tylko myśli i marzy o swojej dobrej mamie, a uczy się tak, że zawsze jest pierwszym. Zosia trochę lepiej stąpa na nóżkę, ale boję się czy to nie są skrofuły i czy nie wywiążą się z tego suchoty. Nie piszę ci o moim położeniu, bo to cię jeszcze bardziej pobudza do ofiarności: źle jest i inaczej być nie może z temi, którzy jak lilije polne czekają tylko rosy Ojca Wiekuistego. Na co cię ludzić? Ja dogorywam i jeszcze bardziej dręczy mię myśl, co będzie po mojej śmierci. Ze stołowników moich jeden pan Antoni trzyma się dotąd. Zaczny to charakter i zawsze w kłopotach po uszy z powodu długów i dziecka. Nieraz myślę sobie, jakby to dobrze było, Karolciu droga, żebyś mogła marzenia swoje na bok odłożyć. Tamten w żaden sposób nie może być twoim, Antoni zawsze mile o tobie wspomina i ożeniłby się, gdyby mógł dostać z tysiąc reńskich na spłacenie długów. A ty, Karolciu, jużbyś te pieniądze dawno miała, gdybyś nie chciała być hojną dla nas. Wierz mi, zdecyduj się... Kończę,

bo siły mię opuszczają, chodzę-to niby i wszystkim się zajmuję, ale to mię bardziej wyczerpuje, boję się znów położyć, gdyż jestem przekonana, jużbym więcej nie wstała..."

Dalej nie była w stanie czytać Marcinowa, tak ją oburzyła nieszczemność guwernantki. Mówiła mi, że nigdy nie czuła się tak rozczarowaną jak wtedy, bo nawet w żaden sposób nie mogła listu włożyć napowrót do koperty... Powiada, ręce mi drżały jak w febrze... Nie dość, że trzymam to czupiradło, myślała z goryczą, że znoszę jej kaprysy, jej próżniactwo i umizgi do męża, to jeszcze mię szkaluje przed obcemi ludźmi... Aten Ignas, twój Ignas, który czeka swej mamy... Śliczna mi guwernantka, moralna i uczciwa... nie ma co powie* dzieć!... Zachwycona jest Marcinem? — wierzę... Radzi jej pozbyć się marzeń, bo tamten w żaden sposób nie może być twoim... Zapewne bo jest moim... Okropność, jakie my to osoby musimy brać dla edukacji naszych dzieci! Zarzuca mi że jestem matką i nie mam serca... "Wyborna, ja mam jeszcze kochać zalotnicę mego męża!

Emcia jechała razem z Marcinową i widziała ten list w rękach matki, więc też gdy zatrzymali się przed gankiem odzywa się do niej:

- Oddaj to guwernantce, i powiedz, że przez pomyłkę otworzyłam kopertę, ale nie czytałam.
- Kiedy mameczka czytała? — mówi naiwnie Emcia.
- Skoro matka powiada że nie czytała, to nie czytała, rozumiesz?—wyrzekła, surowo spoglądając się w oczy zawstydzonej panience. — Oddasz, i powiesz to co ci mówię, bez żadnych uwag!

Z wielką nieśmiałością wypełniła Emcia rozkaz matki, a panna Karoliną odbierając list, tylko się uśmiechnęła ironicznie, gdy na lica dziewczynki wystąpił niezwyklej czerwoności rumieniec.

n.

Darują kochani czytelnicy, że nie mogę dalej opowiadać historii państwa Marcinów słowami stryjenki. Wiadomości jej o tem co się dalej stało, jużby nie wystarczyły do zaspokojenia ich ciekawości, więc poważylęm się spytlować je na swój sposób.

Nie mogła pani Marcinowa skorzystać publicznie z treści listu, któryśmy wyżej przytoczyli, bo jakoś niewypadało, skoro się tego listu miało nieczytać; lecz łatwo sobie wyobrazić, jak stosunki codzienne tych pań musiały się jeszcze zaostrzyć. Marcinowa już nie pa* trzymała wcale na guwernantkę, nie mówiła do niej ani słowa, nie zważała, czy jest w jej domu, czy jej niema, a w końcu kazała wynieść łóżeczko Emci ze wspólnego pokoju, aby się przy niej panienka nie zepsuła. Podług opinii stryjenki, panna ta pozbawioną była wszelkiej ambicji i poczucia godności osobistej, jeżeli mimo tak wyraźnych oznak pogardy i lekceważenia siedziała jeszcze w Sino woli. Nawet dzieci same z siebie już jej unikały, i przestały kochać, a jeżeli mały Kazio nie kopał odtąd nogami, to tylko dlatego że był o rok starszy i rozumniejszy.

Nareszcie gdy góra uie chciała przyjść do Mahometa, sam Mahomet pofatygował się do góry, bo pani Marcinowa widząc, że mąż stanowczo jest przeciwny

oddaleniu guwernantki, której nie pracę i zdolności, ale pochlebstwa oceniał, pojechała do Lwowa na naradę do dawnej sąsiadki i krewnej, którą niżej podpisany ma honor nazywać stryjenką.

Co one tam radziły i jak się pani Marcinowa wypowiadała ze swoich dolegliwości, tego nie wiem, bo podówczas historia ta zupełnie mnie nie interesowała, lecz łatwo odgadnąć to wszystko z- dalszego ciągu powieści.

— Marcinie! wiesz cośmy uradziły z panią Flory a - nową?—odezwała się po przyjeździe do męża.

— Nic nie wiem.

— Od wakacyi przenosimy się do miasta dla edukacyi dzieci.

— Kto? My?

— Tak, my... Tylko się, mój drogi Marcinku nie rzucaj tak bardzo — mówi głaszcząc go pulchniutką rączką po twarzy.—W tem nie ma nic strasznego. Alfredowie już dwa lata mieszkają we Lwowie i bardzo są zadowolnieni.

— A cóż ja?

— I ty z nami.

— Ależ to być nie może — zawoła brwi marszcząc.—Któż tu będzie gospodarował?

— Usiądź-no, mój drogi—rzecze przyciągając go za rękę do kanapy. — Ja nie mogę rozmawiać gdy ty biegasz, jestto rzecz ważna...

— Właśnie dlatego że ważna, to niepodobna.

— Proszę cię, tylko usiądź! Zgodzisz się, dobrze; nie zgodzisz, drugie dobrze; ale trzeba, wprzód wysłuchać. Tak mało teraz ze mną rozmawiasz, że doprawdy, całemi dniami cię nie widzę.

- Mam zajęcia przy gospodarstwie... łąki koszą...
- Wiem i nie mam pretensyi. A choć nie jestem tak uczona i mądra jak panna Karolina i iskier z głowy nie puszczam w ciemnym pokoju, to czasem warto i dla mnie kilka chwil na rozmowę poświęcić.
- Doprawdy, że dziwną jesteś, Winiu, ze swoją zazdrością! — rzecze pan Marcin siadając na drugim końcu kanapy.
- Z zazdrością? — powtarza pani z ironicznym uśmiechem—miałabym też o kogo?
- No, to o cóż ci idzie i dlaczego jej nie lubisz?
- Mój kochany, żebyś ty wiedział o niej to co ja wiem, inaczejbyś sądził... A zresztą co się mam tłómaczyć, mam do niej wstręt nieprzewyciężony.
- Uprzedzenie, moja droga i nic więcej. Cicha kobieta, porządna; widzę, stara się na każdym kroku, z dziećmi pracuje po całych dniach... Cóż więcej chcesz?
- Ależ ja nic nie chcę, daj że mi święty pokój!
- Więc dlaczegoż mamy się wyprowadzać do miasta, skoro i tu mogą się dzieci uczyć w domu?
- Głodnemu to zawsze chleb na myśli — rzecze z markotną miną Marcinowa. — O czembądź zacznę mówić, to ty zawsze skręcasz na pannę Karolinę. Dobrze, niech będzie panna Karolina, niech Emcia zdziczeje, niech Kazio nauczy się całować kobiety w siedmiu latach, niech Julcia zapomni języka niemieckiego, ja niech się zapracuję, byle pan Marcin i panna guwernantka mieli wygody!...

Nastąpiła chwila milczenia, pani zaczęła polykać własne łzy, szukając gwałtownie chustki po wszystkich kieszeniach, a pan przygryzając wargi, przesuwał ręką po gęstwinie czarnych włosów sterczących mu nad czołem.

A

— Mówże w!ęc dalej, coś chciała powiedzieć—odzywa się po chwili spoglądając na ciche łyzy staczające się brylantowo po gładkiej twarzy Jad wini.

— Już nie mam nic do mówienia —' rzecze z westchnieniem wstając z kanapy.

— Winiu, usiadź-no troszkę — mówi przytrzymując ją za rękę, żeby nie odchodziła.

— Na co mam mówić, jeżeli zamiast dobra dzieci, pierwszą jest u ciebie panna Karolina. Niech będzie, niech uczy dalej!

— Ależ czy chcesz, moja droga, przewrócić cały porządek naszego życia! Cóż mi tam panna Karolina! Jest, — nie ma jej, — wszystko jedno... Rzucać Sino- wolę, tak dla fantazyi...

— To u ciebie edukacja dzieci jest fantazyą? No, nie przypuszczałam... Otóż ja ci powiadam, że dla mnie na świecie nie zostało już nic innego prócz dzieci! Tak, nic innego — dokończyła szukając znów chustki po kieszeniach.

— A ja co? A ja? — pyta rozczulony małżonek odciągając jej rękę z chustką od oczu. A ja to nic? Słuchaj Jadwiniu, tak nie jest!

— Eh! daj pokój, nie całuj! Proszę cię, nie całuj... Czego się przymuszasz...

Tu znowu pan Marcin zerwał się z kanapy i zaczął chodzić szybkim krokiem tu i tam, co mu jednak nie przeszkodziło zobaczyć na wypadek zemdlenia, gdzie stoi karafka z wodą i dostrzedz w zwierciadle, że jeden wąż cokolwiek opuścił się ku dołowi. Zmartwiony zatem płaczem i nieufnością żony, przy wróciwszy nieznacznie porządek wąsom, zbliżył się do niej, a uklę

knąwszy na jedno kolano, zaczął przeproszać i całować po rękach, dopóki się nie uspokoiła.

— Dobrze, moja Winiu, wyprowadzamy się jak chcesz... Głupstwo, parę tysięcy dochodu mniej, parę tysięcy więcej się wyda, ale skoro idzie o dobro dzieci,— masz rację.

— Więcej się wyda?—powtarza z uśmiechem niedowierzania Marcinowa — zdaje ci się. Chcąc dać edukacją czworgu dzieciom, bo przecież i te dwoje przyjdzie gdzieś oddać po wakacjach, to zobaczysz, co to będzie kosztowało. Choćby tylko po sześćset reńskich liczyć od jednego, to masz dwa tysiące czterysta, a ja» ci za te pieniądze cały dom utrzymam we Lwowie. Alfredowa powiada, że ich kosztuje rocznie cztery, ale oni też trzymają konie, starą matkę, powóz... Zresztą powiem ci, że trzeba przecie i Em cię w świat wprowadzić; za kogoż ją tu wydasz? Może za takiego kulfona jak Staś? Tańczyć nie umie dobrze, muzyki szkoda zaniedbywać i głos ma niezły...

— No, a Toperek? — wtrąca pan Marcin, który miał słabość do owego nauczyciela szkółki.

— Toperek? — powtórzyła pani przeciągle.

— Tęgo śpiewa hultaj! Proszę cię, nie uśmiej się; słyszałem ja wielu artystów i we Lwowie i w Peszcie, no i w różnych teatrach i powiem ci znam się na śpiewie. Ale jak on-ci wyciągnie „Oj Halino, oj jedyno," a głos zacznie mu się trząść „dziewczyno moja," to jak honor kocham, po sercu mię drapie...

— No, no, a ja ci mówię, że to samouczek, tak sobie. Zresztą do śpiewu trzeba własnej metody... On nawet nie wie jak trzeba usta otwierać, — uważałeś jak Emcia brzydko krzywi temi ustami. Dzisiaj taka pa

t

nien^a, córka obywatelska, musi być we wszystkim wyćwiczona, żeby znalazła jaką partycję — to nie dawne czasy..., Albo i Ludwik, który stoi u profesora, czy myślisz, nie potrzebuje dozoru? Nasłuchałam się dosyć, jakie tam jest zepsucie teraz w szkołach między tą zbieraniną różnych stanów, niech Bóg broni. Jeżeli Pan Bóg dał nam dzieci i jaki taki majątek, to trzeba się pchać naprzód... Wszyscy na Sinowoli siedzieć nie będą.

— Dobrze, ale cóż z tą Sinowolą zrobimy? przecież tak na łasce ekonoma nie zostanie.

— Właśnie chciałam ci powiedzieć, że Szmul Mo-rensztajn chce wziąć dla zięcia.

— Kto? Szmul? Ja żydowi nie wypuszczę! Stajnię cugową zacząłem stawiać, jakże to będzie.

— Więc dajmy pokój...

— A słuchaj no Winiu — mówi po chwili milczenia — czyby nie dobrze było tak, żebyś ty z dziećmi wyprowadziła się do miasta, a ja tu zostałem i gospodarowałem z Kluczyńską. Posyłałibyśmy wam różne leguminy, ja bym czasami dojeżdżał...

— Marcinku, jak ty siebie samego nie znasz! I ty- byś tu wytrzymał sam jeden?

— Hm, możebym i wytrzymał.

— Tak, bez nas?

— Hm, trudno! Jak trzeba dla dobra dzieci, to trzeba! Ale stajnię-bym skończył, bo materiał mam gotowy.

— Zdaje ci się... Tygodnia-byś nie wysiedział. Ty nie wiesz, co to jest być samemu mężczyźnie, który już przywykł do opieki i wygod życia rodzinnego.

Pan Marcin zadumał się trochę słysząc podobną

argumentacją żony, a choć w duszy był przekonany, żeby wysiedziać sam jeden w Sinowoli, to jakoś nie wypadało oponować. Zaczął więc z innej beczki:

— Przypuśćmy, żebym oddał w dzierżawę, to jakże można żydowi? Będą krzyżeć w powiecie, po gazetach szkalować...

— Krzyczą ci, co nic nie mają. Zresztą może się trafi kto inny, choć jabym wolała żydowi. Szmul już trzyma od Alfredostwa Trzęsiankę.

— To też huncwot żyd tak ją wytrząsał jak w febrze. Ani jednego płota we wsi, dwór obszarpany, w ogrodach chodzą cielęta i konie.

— Tak ci się zdaje! AlfrM sam już zapuścił ogrody, trzeba być sprawiedliwym. Krzyczą u nas na żydów, a to poprostu z zazdrości. Jednak oni więcej płacą i nie bankrutują, ani się procesują z dziedzicami* Nic podoba ci się co, to takiemu Szmulowi nawymyślasz i on w kieszeń schowa, a taki nasz dzierżawca chce zaraz być większym panem od ciebie. Jakieś fochy, obrazy, szykany, plotki, sądy polubowne... Wierz mi, Alfred jest zupełnie kontent ze Szmula; a jeżeli mu już jakąś szkodę w majątku zrobi, to Alfred za to ma pensję z urzędowania.

— To też, że ma, a ja nie będę miał! — odzywa się markotnie pan Marcin.

— Dlaczego? Owszem mówiliśmy z Floryanową, że porobiwszy we Lwowie stosunki, da się wynaleźć jaką dla ciebie posadę. Ona, wiesz, jakie ma koligacje, a teraz obywatele u nas wszystko mogą; więc pochodziwszy trochę za sobą, zostaniesz bardzo łatwo jakim urzędnikiem, czy przy Banku, czy w Towarzystwie jakim, czy w Autonomicznych Władzach. Zresztą powiem ci

f

Marcinie, tylko się nie obrażaj, że ty nie jesteś* na gospodarza...

— A to z kąd?

— Prosiłam, nie obrażaj się... Jesteś za miękki, za dobry, za nerwowy... i wszyscy z ciebie korzystają.

Chłopi nie chłopi, żydzi nie żydzi... Lubisz spać długo...

— Przepraszam, wstaję o siódmej.

— A inni wstają o czwartej. Ale ja ci, mój drogi> tego nie mam za złe, wiem, że zdrowie ci nie pozwala. Zamoczysz się trochę — już kaszlesz; zgniewasz się — tracisz apetyt i dostajesz pokrzywki. Wierz mi, daleko zdrowszym będziesz, mieszkając we Lwowie. Lubisz i potrzebujesz zjeść dobrze, a tu na wsi nigdy pocziwego mięsa nie dostanie...

— Tylko co do tej posady, Jadwiniu — przerywa mąż widocznie przekonany o szczęśliwości życia miejskiego — to ja bym u dyabła byle czego nie przyjął. Uważasz, człowiek ma swój honor i wie co wart... Tegobym nie zniósł, żeby mi tam jakiś urzędniczyna lub adwokat miał przewodzić. To ja znowu, panie dobrodzieju, nie tego.

— Bądź spokojny, Floryanowa ma takie stosunki i bywa w najpierwszych domach, że ci wynajdzie coś odpowiedniego naszemu stanowisku. Mój drogi, czyż ja bym pozwoliła na coś podobnego? Musisz być jakim dyrektorem lub radcą. Dla mnie ty jesteś takim mądrym, takim pięknym, że ja bym cię królem zrobiła...

Otóż na tem dyrektorstwie zakończyła się tego wieczoru małżeńska konferencya, po której pan Marcin już zupełnie pogodzony został ze swoim przyszłym położeniem. Nie mogąc prędko zasnąć, medytował długo, przewracając się z boku na bok, a w końcu doszedł do

przekonania, że on w Sinowoli na tem głupiem gospodarstwie zmarnował najpiękniejsze swoje lata i to go na seryo zmartwiło. Jeszcze przed dwoma laty, mówił mu hrabia Stanisław, u którego z bratem swoim był na obiedzie: czemu pan nie starasz się dać poznać szerszemu kołu publiczności, ale na drobnych powiatowych usługach zużywasz swój rozum? Pan, przy tak sympatycznej i okazałej powierzchowności mógłbyś imponować na ławach Rady Państwa... Nam właśnie takich osób potrzeba... Chcesz pan, poprę jego kandydaturę... Głupstwom zrobił, żem podziękował hrabiemu i dał pokój... Skromność ta, ta szelmowska skromność trzymała mię za poły... Dziś, kto nie ma dobrych łokci, aby sobie torować drogę między ludźmi naprzód — nic nie zrobi... Szkoda!... Jadwisia, to kobieta jest z głową, jak honor kocham... Mówią o tym: tęga głowa, finansista, zdatny, statysta, ten znowu ekonomista... Tfu! do dyabła, toć przecie wszystkich ich znam i widzę co oni robią. Przyjdiesz do którego z nich do biura, siedzi w dużym fotelu przy zielonym stole między papierami i czyta gazetę... A panie dobrodzieju, proszę siadać, zaraz, natychmiast... co pan sobie życzy?... I każe zawołać urzędnika: proszę pana, mówi do niego, jak to jest ta sprawa? Poszukaj pan tych papierów i przynieś prędko... Przychodzi znowu suplikant, a zaraz to poznasz, bo ma nieśmiałą minę, i fraczek i jasne rękawiczki, to się go nie widzi, kiwnie głową, albo i nie kiwnie — niech czeka. Tylko minę mieć, panie, dygnitarską, zmierzyć go od stóp do głów, a jeszcze lepiej przez lorynetkę—to imponuje... . No, co do miny, to u dyabła, nie znajdzie się taki, któryby nie powiedział, że jej nie mam... I przy tych myślach, pan Marcin zapomniawszy że to było w łóżku, machi-

r

nalnie głowę zadarł do góry na poduszce, piersi wystawił naprzód i wąsa podkręcił... Dałoby się radę: tylu innych głępszych odemnie wypłynęło, dlaczegoż jaby nie wypłynął?... Na ministra możebym się nie odważył, ale na jakiego dyrektora lub coś podobnego, jeszcze mi rozumu starczy... Zresztą od czegoż książki i ustawy? Fałdów-by się przysiedziało, to wszystko przewertowa- ło, i już... Mój miły Boże! czegoż to się nie robi dla do- bra. dzieci. Grunt mina i pański ton, reszta się dopełni.

Nie potrzebuję zapewniać czytelników jak smacznie przespał tę noc pan Marcin i jakie przyjemne sny go nawiedzały. Obudziwszy się, zapomniał wprawdzie o ich treści, lecz czuł, że humor ma wyśmienity, a myśl tak lekką, jak u studenta na wakacjach.

- Wiesz Jadwiniu—mówi przy kawie do żony— moja głowa dziś, to jest jak armata Kruppa.
- A to z kąd?
- Takeś mi ją nabiła wczoraj temi projektami, że chciałyby już jednej godziny być we Lwowie.
- A widzisz, że czasami i rozum żony na co się przyda?
- Jak sobie pomyślałem w nocy, •— to ja przez te lata poprostu gniłem w Sinowoli...
- Śliczny komplement dla mnie.
- Winiu droga, czekaj, tu nie o ciebie idzie, ale naprawdę gniłem!
- Przy mnie, naturalnie...
- Eh! nie dowcipkuj... A jeżeli już chcesz, abym dobrze powiedział, to oboje gniliśmy...
- Coraz lepiej Marcinku, coraz lepiej — mówi na to żona z uśmiechem.
- Tak jest... proszę cię, żart na stronę, ale czem

jabym już nie był do dzisiaj, żebym tak mało nie trzymał o sobie! Moi szkolni koledzy, a trzeba ci wiedzieć byli hebesami przy mnie, są już dziś prezesami, hofra- tami i t. p., a ja co? JBodajto, jak człowiekowi wcześniej nie przyjdzie dobra myśl do głowy... Jak sobie przypomnę, ile-to już świetnych pomysłów moich zmarniało, albo kto inny z nich korzystał,—to mię prawdziwa złość napada na siebie. Nieraz myślę to i owo w sprawach publicznych, w systemie opodatkowania, w rozkładzie szarwarków, a tu jak raz czytam potem w gazetach, że toż samo słowo w słowo powiedział ten a ten deputowany, ten a ten minister... Mówię ci, dyabli mię biorą.

Wiadomość o projekcie państwa przeprowadzenia się do miasta, rozniosła się prędko po całym dworze i spadła jak piorun na głowę panny Karoliny, której jeszcze przed śniadaniem, tak bez obwijania w bawełnę, z całą szorstkością wymówiła pani miejsce od 1 lipca. Zbladła, posmutniała i jak mówiła Julcia, przez całą lekcję do obiadu lzy miała w oczach. Zapewne, że sama sobie winna; trzeba się było szanować, bo o taką kondycję w dzisiejszych czasach nie łatwo. Zmartwiona tak niespodzianą odprawą, wieczorem wyszła do ogrodu na przechadzkę, i tam spotkał ją wracający ze stodoły pan Marcin.

— A co, nie wiesz mi pani? — zaczepia ją wesoło, co ze względu na jego powagę rzadko mii się zdarzało.

— Nie wiem czego? — odrzekła spokojnie.

— Zostaję dyrektorem banku we Lwowie. Pensya cztery tysiące reńskich, prócz tantiemy... No i wolne ręce... uważaj pani, kompletnie wolne ręce...

— W takim razie, jest czego wieszować — mówi

P

zakłopotana, spostrzegłszy ciekawą, twarz pani Marci- nowej, przylepioną, do szyby okna wychodzącego na ogród. — Ja sądziłam — odzywa się nieśmiało — że państwo wyprowadzają się dla edukacji dzieci.

— No, po części i dlatego... Bo widzi pani, gdyby mi nie szło o dzieci, tak małego urzędu nigdybym nie przyjmował... Ale za to ręce będę miał wolne, mogę kandydować na posła, i kto wie czy nie wyżej... Nieboszczyk nasz ojciec, zawsze mawiał: ty, Marcinie, stworzony jesteś na dyplomatę... bo trzeba pani wiedzieć, było nas dwóch braci i oba służyliśmy w wojsku.—Gdy zaszły znane wypadki w kraju, nieboszczyk ojciec, który pierwszego dnia zaraz powiedział, że to wszystko na nic się nie zdało, przywołał nas obydwóch i powiada do Jó- zefa: ty Józefie idź, — co będzie, to będzie, jednak się należy; a ty Marcinie podaj się do dymissyi i zostań w domu. Twojej głowy szkoda pod pałasz, ona się przyda na łatanie głupstw dzisiejszych. No i widzi pani, sprawdziło się, jak ojciec przepowiedział... Brat nie wrócił, więc i co do mojej głowy musi się sprawdzić. Podług mnie jedna tylko szlachta może nas wyratować.. Gdzież tu, pani, prócz niej masz jaką inteligencją?... No, gdzie? — Może ci z miasta?

Pan Marcin już tak się zapalił do wykładu guwernantce swoich politycznych poglądów, czego nigdy dawniej nie bywało, że gdyby nie Kazio, którego matka wysłała po ojca na kolacyą, byłby doszedł do objaśnienia panny Karoliny, że socyalizm jest takim samym wrogiem narodowości i szlachty jak i Niemcy; że tylko zaślepieni nie mogą się poznać na tem, skoro razem z niemi prześladują szlachtę. Wszystko to aż do samych drzwi jadalnego pokoju płynęło mu z ust tak gładko

A. Wilczyński.—Tom XIV.

i konsekwentnie, że doprawdy, dziwił się sam sobie, z kąd mu to wzięło się tak nagle. Wszedłszy już raz na tę drogę wysokiej polityki galicyjskiej, pan Marcin tak się zagalopował, że najsumienniej był przekonany, jako mu już ofiarowują posadę Dyrektora Banku czy Towarzystwa we Lwowie, i dlatego chwalił się z tem przed swoim ekonomem, przed arendarzem i przed sąsiadami, jako z rzeczą nieulegającą wątpliwości.

W parę dni, za staraniem pani Marcinowej, przyjechał stary Szmul Morensztein ze swoim zięciem dla obejrzenia Sinowoli i rozpoczęcia układów o dzierżawę. Ten Szmul, jest-to żyd już stary z długą siwą brodą, po pas sięgającą i nosem czerwonym jak pomidor. Ubrany w czarny atlasowy chałat, w pończochach i trzewikach, tak nisko się kłania jaśnie wielmożnemu dyrektorowi, tak słodziutko mówi i jeszcze słodziej się uśmiecha, krzywiąc ustami, że pan Marcin wobec tego tylko rośnie coraz wyżej, wąsa zakręca, jakby już siedział przy biurku dyrektorskim i trzymał dzwonek w ręku, aby zadzwonić na urzędnika, który ma dać wszelkie objaśnienia.

Zięć znowu pana Szmula, to dzieciak lat może siedemnastu, z rudemi pejsami, cały piegowaty jakby go kto żółtym piaskiem posypał i ani słowa nierozumiejący po polsku. Kiedy pan Marcin z wielką powagą zwraca do niego mowę, to on kiwa się tylko, przestępuje z nogi na nogę i uśmiecha głupowato, a podane przez łaskawego dziedzica cygaro zapala z cieńszego końca. Tymczasem, jest-to właśnie ów kandydat na dzierżawcę Sinowoli, ogromnie szanowana znakomitość przez Szmula, jako wnuk bardzo sławnego rabina z Bukowiny, sam już niezmiernie uczony.

— Słuchajno ty Majorek — odzywa się pan Mar-

P

cin protekcyjnym tonem do młodego rabinowicza, skoro się już o szczegóły dzierżawy ułożyli — tylko mi nie gospodaruj dobrze w Sinowoli, to ja ci dam!

— Z przeproszeniem jasnego pana — mówi na to z mizdrzącym się uśmiechem stary Szmul — ja tu będę za wszystko odpowiedzieć. Ja jemu dam pewnego wier- nika, który już kilka lat jest u mnie, i on jemu będzie uczyć gospodarstwo.

Potem obróciwszy się do piegowatego zięcia, coś mu tam detalicznie przekładał po żydowsku, na co młody szajgec jeszcze lepiej balansował swoją mizerną osobą i śmiał się w oczy panu Marcinowi, a dla nadania sobie większej powagi, ciągle myckę poprawiał na głowie i ręce za wążki pasek jedwabny zakładał.

Z pomocą pana adwokata sprowadzonego umyślnie do tej sprawy z miasta, wykoncypowano, jak mówi pan Marcin, nie kontrakt ale poprostu cyrograf na życie i to na pięciu arkuszach. Dziedzic wyłączył sobie dwór i ogród, utrzymanie dwóch krów na oborze, czterech koni na stajni, ma się rozumieć tylko co do słomy i siana. Pani zastrzegła pewną ilość legumin, które Majorek swoim kosztem powinien regularnie do Lwowa odstawiać. Ponieważ posesya ta oddawała się z inwentarzem żywym i martwym, więc tész Szmul złożył odpowiednią kaucyę, która łącznie z całoroczną summą dzierżawną wyniosła okrągłe dwanaście tysięcy reńskich.

Zamknąwszy tę summę w żelaznej ogniotrwałej kassie, pan Marcin odetchnął całą piersią i jak zapewniał, nigdy nie był tak szczęśliwym jak teraz, gdy pozbywszy się kłopotu gospodarowania, będzie mógł cały swój czas drogi poświęcić wyłącznie dla dobra dzieci i kraju.

Czy tam było co między nim a panną Karoliną,

w rodzaju pewnego pociągu wzajemnego, czy nie, o tem trudno mi zapewniać czytelników; jednak muszę tu skonstatować fakt, że przed nią lubił się wywnętrzać ze wszystkiemu Teraz więc, gdy żydzi już z kontraktem odjechali, a gospodarstwo w Sinowoli zupełnie go nie obchodziło, zaczepił ją z bardzo uprzejmą i współubolewającą miną:

— No, wie pani, skończyłem o dzierżawę!

— Wiem.

— Głupie żydziska dali się okpić. Nie będę Marcinem, panie dobrodzieju, jeżeli huncwoty nie wyjdą z torbami. Powiem pani, połowy tego dochodu nie miałem z Sinowoli, co oni będą płacić.

— To szkoda żydów — mówi guwernantka.

— Co szkoda? kogo? żydów! Dostyc oni się nas przez całe wieki nadoili, teraz idzie czas na nas... Ja zawsze utrzymywałem, że ta kwestya żydowska, to strachy na Lachy... Niech tylko oni się wezmą do gospodarstwa na wsi, to licho ich weźmie. Zatem, panie dobrodzieju, nie stawiać im trudności, lecz owszem pchać, pchać do roli, niech zakosztują szlacheckiego chleba... To jest, uważa pani, mój program polityczny i zobaczy pani, jak ja tę myśl rozwinę w szeregu artykułów, do których już mam wiele materiałów. Zgubić żydów, panie dobrodzieju, nie krzykiem, nie wyłącznemi prawami, nie ograniczeniem ich siły, ale przeciwnie zarazą szlachetczyzny... Co nasz brat, panie dobrodzieju, lekko strawi, to żyd huncwot musi się udawić. Uszlachcić żyda, uszlachcić, a dyabli go wezmą!

Panna Karolina zanadto była zmartwioną obecnem położeniem swoim, żeby mogła wdawać się w dyskusyę o kwestyi żydowskiej z panem Marcinem;

>

śluchała zatem milcząco jego dowodzeń potakując stereotypowym uśmiechem i kiwaniem głową, co on wzięwszy za niema adorację, rozszerzał się coraz bardziej, jakby już przemawiał z trybuny parlamentarnej, wobec zadziwionej Europy...

— Przyznasz pani — mówi ocierając pot z czoła — że potrafię, ten tego, jakby na to, hę?

— Nigdy o tem nie wątpiłam.

— Ja wiem, że pani, panno Karolino, jesteś zawsze poczciwa i rozumna kobieta — odzywa się oglądając na wszystkie strony.—Nie uwierzy pani, jaki ja mam dla niej szacunek i ten tego... Więc też niech pani wysłucha łaskawie i przebaczy...

Guwernantce łzy stanęły w oczach, widząc tak nieklamane współczucie dla jej doli.

— Zawsze -byłam i będę wdzięczną panu dobrodziejowi, za jego łaskę i względy...

— Ja tylko chcę prosić o chwileczkę cierpliwości. Pani mi nie odmówisz swej rady...

— Z całego serca... wiem, że pan tyle robi dla dobra dzieci, iż uważam za zaszczyt, gdy mogę mu być użyteczną.

Była bowiem pewną, że idzie tu o radę odnoszącą się do ich edukacji.

— Z żoną nie mogę o tem mówić, bo jej gustowi nie wierzę... ale pani tak wykształcona osoba powiesz mi prawdę.

— Słucham...

— Pani wiesz, jak ja mówię, uważała pani, że z pewną ekspresją, hę?

— Tak jest, z życiem i przekonaniem.

— No, widzi pani — szepcze już ciszej — a jednak

czuję, że mógłbym lepiej, gdybym miał coś, czego mi właśnie brakuje... Zgadnij też pani czego mi brakuje?

— Zdaje mi się niczego.

— No, w twarzy?

Panna, Karolina spojrzała zdziwionemi oczyma na niego — i wszystko znalazłszy w porządku mówi:

— Nic nie dostrzegam...

— Otóż powiem pani w zaufaniu, brakuje mi brody!... Nie śmiej się pani, jak dzieci moje kocham, czuję, że gdybym miał, ot tak brodę dotąd, postawa moja byłaby inną... Dlatego chciałem prosić kochanej pani o radę szczerą, przyjacielską, zapuścić czy nie zapuścić?

Guwernantka, mimo niewesołych myśli, musiała, całemi siłami sznurować usta, aby nie parsknąć śmiechem.

— Aaa... zapuścić, koniecznie zapuścić...

Pan Marcin tak był uszczęśliwiony tym wyrokiem, że gdyby to nie działo się na dziedzińcu, gdzie ktoś mógł zobaczyć, byłby ją ucałował w rękę, mimo że była guwernantką.

— Dziękuję pani — rzecze rozrzewniony. — Ja czuję, że broda wiele mi doda, aby tylko chciała być czarną... Ale przecie na to są sposoby... Od dzisiejszego dnia żegnam się z brzytwą; tak, tak, kochana panno Karolino, dla dobra dzieci i tę ofiarę zrobię. Bez brody nie mógłbym produkować się publicznie z mowami, a jeżeli chcę sławy i znaczenia, to dalibóg nie dla siebie.

W tydzień potem, dla objęcia dozoru nad sprzętem

i układaniem siana, sprowadził się zapowiedziany żyd, wiernik Szmula z całą dość liczną rodziną, i zakwaterował w wypróżnionej oficynie. Widok tych zapierzonych i pokędzierzawionych głów córek Lejbusia, tudzież pej-

satych bachorząt z flagami wiszącym i z tyłu, przykro uderzył panią Marcinową, albowiem z ciekawości wszystko to cisnęło się na dziedziniec dworski. Nie mówiła nic, lecz jednej godziny chciała już być we Lwowie, i dlatego co dzień kładła w głowę panu Marciniowi, żeby jechał czemprowadz do miasta i najmował lokal, do którego mogliby się nawet przed terminem wyprowadzić. Pan Marcin ociągał się składając winę na różne przeszkody i niemożebność wyprzedania resztek zapasów wyłączonych od dzierżawy, lecz my z panną Karoliną wiemy dobrze, iż chodziło mu głównie o to, żeby broda chociaż cobądź urosła, ot przynajmniej żeby ciało zakryła.

Tymczasem i dla guwernantki przyszła niejaka pociecha. Pan Ludwik sąsiad, ten sam, który ją nazwał profesorem uniwersytetu w spódnicy, zaproponował, czy- by nie pojechała z jego słabą żoną na kilka miesięcy zagranicę, ofiarując przy tem niezłe wynagrodzenie. Pro- pozycja choć na krótki czas, była jednak dosyć korzystną, a że pobyt jej w domu państwa Marcinów podwójnie teraz był nieprzyjemnym z powodu zwijania gospodarstwa i przygotowań do wyjazdu, więc przyjęła ofiarowane miejsce. Ta okoliczność, razem z bardzo czułym pożegnaniem się pana Marcina, który nie mógł jej zapomnieć owej skutecznej rady z brodą, jak równie łyzy w oczach Julii przy wsiadaniu, — rozdrażniły nieco panią Marcinową, i dlatego nie wyszła na pożegnanie. Wykrzyczawszy ślamazarną Julię, za jej niewczesne czułości, które w żaden sposób prawdziwemi być nie mogą, udzieliwszy jej naukę, że każdy fałsz, nawet ze łzami w oczach jest wadą brzydka, której unikać powinna jako grzechu, odezwała się do męża:

— A przyznam ci się, Marcinie, że takiego afrontu

nie spodziewałam się ze strony Ludwików. Niby żyli z nami w takiej serdecznej przyjaźni i wiedzieli, że tej zalotnicy nie cierpię, a jednak jakby na złość wzięli ją do siebie. Już-to ta Ludwikowa ma w sobie coś dyplomatycznego. I strzyże i goli, a zawsze żeby kogoś kolnąć... Nie zobaczą oni mnie więcej u siebie, o, nie! Czy myślisz, że ona chora?

— Naturalnie — odpowiada małżonek, oglądając swoją szcecinowatą brodę w lustrze — ciągle ma chrypkę.

— To tylko udane... Wierz mi, katar nic więcej. Ale, że pani Adolfowa pojechała do Maryenbadu, więc też i ona... Znam ja kobiety nasze, znam. Nic, tylko próżność i rywalizacja! Proszę cię, zostawić tak troje dzieci na łasce starej i ciemnej ciotki, czy to się godzi? Ja, że mojego Ludka parę miesięcy nie widzę, to już niewiedzieć co mi się dzieje, a ona niby je to kocha, przepada za niemi... Boże mój, jaki to świat teraz!

— To nie tak, jak my — odzywa się na to pan Marcin z uznaniem. Nie jedziemy do wód, ale na pracę i męki do miasta... Oj te dzieci, te dzieci, czy się to aby odwdzięczy kiedy!...

— Dobrze, żeś przypomniał, mój drogi. Czemu ty nie jedziesz do Lwowa, teraz o mieszkania łatwiej, panny Karoliny już nie ma...

— Zawsze ta panna Karolina...

— Przyznaj się Marcinku — mówi żona klepiąc go po plecach rączką — miałeś do niej słabość, co?

— Daj że mi pokój... cóż znowu...

— Oj miałeś, miałeś, mój ty ślicznostku. I gdyby nie ja...

— Bozumna kobieta, zobaczysz "Winiu, będziesz

jej żałować. To wyższa inteligencja, jak Boga Kocham. Mówię ci tak doskonale rozumie sprawy publiczne...

— Ko, sądzę że i prywatne... Oj bałamucie, kiedy się ty ustałujesz?

Pan Marcin uśmiechnął się tryumfująco, węża pokręcił, brodę pogłaskał i ruszył ku drzwiom z oświadczeniem, że pojutrze niezawodnie pojedzie do miasta.

— Ale, ale, mój drogi — woła za nim Marcinowa — powiedz też temu żydowi, żeby nie wieszali tych betów swoich na sztachetach dziedzińca. Patrz, jakie to kolory... nie mogę znieść tego... Zawsze ci żydzi... brm...

— Moje życie, ja ci powiadam, że tylko wpuścić ich na wieś, a dyabli ich wezmą, jak te woły na koniczynie, które do niej nie przywykły...

— Dobrze, dobrze, będziesz we Lwowie swoje zasady wygłaszał, Marcinku — mówi do niego z przymile- niem — a tymczasem powiedz wiernikowi, że tu jeszcze nie Brody ani Berdyczów, i niech tę pościel sprzątną...

III.

Pan Marcin już jest we Lwowie, stanął w hotelu Zorza i natychmiast kazał przywołać fryzjera, aby mu jakiś porządek zrobił z tą brodą, której włosy twarde jak druty, nie tylko że rozłazą się we wszystkie strony, ale co gorsza przybierają różne odcienia kolorów, począwszy od czerwonego, aż do czarnego... Niestety, musimy tu odkryć jeden sekret czytelnikom; pomiędzy niemi trafiają się i siwe, niewiele to prawda i to koło

ust tylko, ale trafiają się grube, bielutkie, z którymi zafrasowany pan Marcin nie wie co robić, wyrwać czy ufarbować. Farbować — czy wyrwać? Oto kłopot nie lada dla publicznego człowieka. A tu panny Karoliny nie ma, a ona tak dobrze umiała radzić.

Wieczór się zbliża, fryzyer nie nadchodzi i tak ważna kwestya pozostać musi w zawieszeniu, którą pan Marcin do tego stopnia jest rozdrażniony, że nie jest w stanie rozmówić się o lokal z faktorami. Od czasu do czasu wsadzają oni głowy do jego pokoju; jest ich dwóch: jeden stary, wysoki z długą siwą brodą i oczami czerwonymi jak u królika; drugi znów malutki, szczuplutki, w wytartym tużureczku, z miną prawdziwego krogulca. Chodzą koło siebie, ocierają się, laskami stukają, jak dwa koguty sposobiące się do walki... Ale nie ma się o co kłopotać—porozumieją się oni naprędce dla dobra publicznego, i pan Marcin będzie jak się należy oporzędzonym. My tymczasem, jeżeli łaska, pofatygujemy się na Łyczakowską ulicę.

Gdybym obrazki moje pisał tylko dla Lwowian, to na samą wzmiankę o tej przechadzce, czytelnicy tutejsi sięgnęliby do kieszeni po chustkę i przymrużyliby oczy wobec spodziewanej kurzawy, która ich tu zaraz na wstępie od placu Cłowego przywita. Nie chcę obmawiać mieszkańców tej części miasta, że mają jakieś stosunki z nieczystymi duchami, albo nieprzepartą chętkę do wieszania się; lecz proszę was, jak sobie wytłumaczyć inaczej te nieustanne harce wiatru z białymi tumanami pyłu, te wirujące młynki różnego śmiecia, które tu są już nie na dziennym, ale na godzinowym porządku. Wprawdzie sławetny magistrat Lwowski wysyła od czasu do czasu w te strony ogromną beczkę ze święconą

wodą dla zażegnania złego, lecz dyabły łyczakowskie żartują sobie z takiego kropidła, i jak dawniej, tak i teraz swawolą z kapeluszami mężczyzn, dokuczają sukienkom pańienek, dalibóg niekiedy wcale nieprzyzwoicie.

Łyczakowska ulica jak wszystko we Lwowie, zaczyna się prosto i grzecznie; ale im dalej, tem śmieiej puszczą się na zakręty. To się nadyma, to pokorniej, lub w bok usuwa: jednym słowem fantazyje—tak samo jak lwowianie. A gdy już kompletnie skaptuje przechodnia, musi go troszkę błotem obryzgać i zaprowadziwszy gdzieś na manowce ku Winnikom, zatrzyma nagle przy rogatce oświadczając: halt—zapłać!

Ogólnie rzecz biorąc, Łyczakowskiej ulicy i pewnej filuteryi nie brakuje. Naprzykład obdarzywszy swoim imieniem cmentarz główny we Lwowie, smutny zaszczyt prowadzenia obywateli nieboszczyków odstąpiła Piekarskiej ulicy, której przeznaczeniem było piec bułki dla biedaków, a dymem kopcić pańskie pałace, żeby się więcej starożytnemi wydały. Za to zostawiła sobie główny eksport klientów dla swego łyczakowskiego imienia, z różnego rodzaju szpitali trzymanyh tu dla uleczalnych i chronicznych. Do tych ostatnich zaliczyć trzeba Instytut głucho-niemych i szereg biur dekastral- no-serwitutowych od lat tyłu urzędownie kaszlących. Ztąd o każdej porze dnia spotka się tutaj jadących i idących, prowadzonych i niesionych biedaków na kurację, jakby w tych stronach wieczna panowała epidemia.

Łyczaków ze swoim ruchem furmanek i bryk frachtowych zdążających do miasta, ze swoją ludnością przeważnie złożoną z rodzin listonoszów, woźnych biurowych, piaskarzy i ponuro usposobionych żałobników,

radzących głośno przed sieniami domów, bardzo przypomina prowincjonalne miasteczko w dzień targowy. Dla rozmaitości zatrzyma się tu czasem przed szynkiem wracający karawan z pogrzebu, karawan czysto lwowskiego gustu z dwoma modiącemi się maskarami w połączonych tunikach. Żałobnicy wstąpili do szynku znegocycyowaó świece pogrzebowe, a chude konięta pokryte ze wstydu smutnymi kapami, zbierając rozrzucone siano po ulicy — ciągną za sobą anielski wehikuł o kilka kroków, i przypominają przechodniom, że wszystko jest marnością na tym świecie.

Już-to każdy sprowadzający się na mieszkanie do Lwowa, tutaj odbywać musi lokatorski nowicyat. Nie ma dnia w miesiącu, od któregooby na Łyczakowie nie było mieszkań do wynajęcia, i nie ma domu, na którym- by brakowało kart zapisanych galicyjskim językiem o lokalach mających trzy pokojów, o lokalach nawspułek, kontem z drewnutnią, z nezą i t. p.

Wejdzmy do jednego z takich zbudowanych w kwadrat, lecz idąc po deskach, któremi główna sień jest za- pełniona, trzymajmy się zasad nauki o równowadze, aby gdzieś między tym materiałem stolarskim głowy nie położyć.

Stanąwszy już w dziedzińcu i spojrzawszy do góry, drugi strach przejmuje na widok tych trzęsących się galeryi, po których odważnie harcuje dziatwa loka- torów. Począwszy od piwnic aż do strychu, wszędzie mieszkają ludzie, a wszystkim tak ciasno i kuso, że zdawałoby się, iż tam i szpilki nie ma gdzie wsadzić.

W tym domu mamy dwoje znajomych — jednym jest pan Antoni oficjał pocztowy, od roku wdowiec mieszkający na drugim piętrze, do którego aby się do

stać wieczorem, trzeba mieć zdrowe nogi i paczkę za* pałek do świecenia po ciemnych schodach. Zajmuje pokój mały, niski i tak zapchany meblami, które mu z dawnego małżeńskiego gospodarstwa zostały, że na przykład chcąc przejść koło stołu, trzeba wprzód stojące przy nim krzesła pod ten stół podsunąć. Pan Antoni jeżdżąc wagonem pocztowym ze Lwowa do Krakowa tak przywykł do oszczędnego dysponowania miejscem, że każdy mebel jego, każdy przedmiot domowy znalazł tu wygodne pomieszczenie i nie zawadza.

"Właśnie w tej chwili siedzi przy stole, zajęty grą w loteryjkę z sześciolletnią córeczką swoją. Jest to mężczyzna lat trzydziestu kilku, brunet, wysoki, kształtnie zbudowany, z twarzą o wydatnych rysach matowej białości, która przy czarnych oczach jego i przy takicliże wąsach z żołnierską podstrzyżonych, jeszcze bielszą się wydaje. Obok niego, klęcząc na siatkowym krześle Maniusia, istny cherubinek z niebieskimi oczyma i jaśnoblond włoskami, spadającymi jej nieustannie na oczy — wyciąga z niezmiernem zajęciem drewniane numery, które odczytawszy głośno, ustawia na rozłożonych przed sobą tabliczkach.

— Tatusiu! mam terno! — zawoła radośnie.

— Jakie? — pyta ojciec, zaglądając ciekawie do jej tabliczek. — W pięciu numerach, to niepodobna!

— Patrz, tatuńku: 7, 22, 84...

— Czekaj, czekaj, zapiszę — mówi szukając ołówka po kieszeniach. — Szczególniejsza rzecz, w pięciu numerach. — A wydobywszy notatkę, wypisuje na niej to osobliwsze zdarzenie.

Gra idzie dalej, pan Antoni kto wie czy nie więcej jest nią zajęty niż córka, bo nie odwracając oczu od

swoich tabliczek, brząka szkiełkami i niecierpliwi się, że jego numera nie wychodzą. Manusia wyciągnęła jeszcze dwa i już ma quaterno; pan Antoni znów zapisuje, a gdy potem zaraz wychodzi piąty i dziewczyna krzyczy: wygrałam! — on wstaje z krzesła, kompletnie wypadkiem tym zaalterowany. Nachylił się nad jej tabliczkami, drewnianka z cyframi sprawdził, i pokiwałszy głową, z uśmiechem odzywa się do córki:

— No, moja Maniusiu, dosyć będzie tego na dzisiaj! Nie trzeba psuć szczęścia. Ot, weźmy się lepiej do herbaty, bo ja dzisiaj jadę z pocztą... — Manusia wielką ochotę miała grać jeszcze dalej, lecz że ojciec kazał, więc nadawszy trochę usteczka, wzięła się do uprzątnięcia stołu. Bardzo zręcznie zebrała wszystkie numera do woreczka, złożyła tabliczki, umieściła je w pudełku, potem ulokowała szkiełka w oddzielnej przedziałce, a zasunawszy wieko pudełka, ustawiła je w swoim miejscu na komodzie. Tymczasem pan Antoni, zdjawszy surdut i zakasawszy rękawy, ze zręcznością oficerskiego sługi, nałożył kilka drewniaków do pieca, te przykrył węglami, a zapaliwszy zapałką, wy dobył samowarek z za pieca. Woda była gotowa w dzbanku, więc napełniwszy nią samowar, szczypczykami wrzucił do niego rozżarzone węgle, gdy mała dziewczynka, plon-drując po półkach kredensowej szafki, wynosi ztamtąd różne przybory do herbaty. Na brząk łyżeczek i szklanek, znalazł się i trzeci mieszkaniec tej stancyjki, duży bielutki pudel, spoczywający dotąd na kanapie. Podniósł się, ziewnął, a zeskoczywszy na podłogę, poszedł wesoło ku Manusi, jakby jej chciał pomagać.

W kilka minut, już samowarek syczał na stole, a pan oficyał zasypawszy herbaty w imbryku, wodą go

napelnił, do środka zaś samowara wpuścił dwa jaja, aby się tam naprędce ugotowały. Gdzie i kiedy wyuczył się pan Antoni takiej gospodarczej manipulacji, trudno powiedzieć; dość, że nie zapomniawszy o niczem, nawet zasłonięcia serwetką Maniusi, urządził całą kolację lepiej i zręczniejszą niż niejedna gospodyni domu. Jaja były ugotowane jak potrzeba, więc wydostawszy je łyżką z samowara, rozbił na spodeczku dla dziewczynki, a sam poprzestał na herbacie i bułce z masłem. Nawet biały pudel dostał swoją kolację składającą się z chleba i posolonej wody.

Wesoło, przyjemnie, wśród nieustannego szczebiotania dziewczynki odbyła się rodzinna herbatka, a gdy już ukończono jedzenie, sam pan oficjalnie pozmywał szklanki, samowar zalał wodą, a kochana Manusia znów wszystko poodnosiła do kredensowej szafki.

— Teraz trzeba się przebrać, moja pieszczotko — mówi do córki — żebyś pani Wójcickiej nie robiła subiekcyi.

— Prawda, tatusiu — odzywa się Manusia rozwiązując sznurowadła u trzewiczków — że pani Wójcicka jest bardzo chora i niezadługo umrze?...

— A kto ci to mówi?

— Wiktusia od pani konsyliarzewej rozpowiadała stróżowi, że ona ma suchoty i że tak ciągle krwią pluje...

— Wiktusia głupstwa plecie, a ty takich rzeczy nie słuchaj — odpowiada czyszcząc zawzięcie trzewiczki szuwaksem. — A proszę cię bardzo, żebyś mi o tem przed nikim nie wspominała, szczególnie przed Zosią i Ignasiem.

— O, ja wiem, że oni i tak biedni, bo nie mają tatki. Stróż mówił, co to będzie, jak stara umrze.

— Prosiłem cię, nie rezonuj o tem, bo to do dzieci nie należy. Ot, lepiej zawiążuj trzewiczki...

Dziewczyna milczała już przez cały czas ubierania jej przez ojca, który jak najtroskliwsza matka poskładał zdjęte ubranie, do szafy pochował, a wyjąwszy trochę bielizny zawinął w sypełek, aby wziąć z sobą. Potem wyładował dla siebie worek podróżny, nałożył tytoniu do portmonetki, komodę zamknął, gdy mała gramoląc się w kąci pod oknem, robiła taki sam porządek z lalką, kładąc na nią świeżą bieliznę i sukienki.

Pokończywszy wszystkie przygotowania i uczesawszy dziewczynkę, pan oficynał zarzucił burkę na plecy, w jedną rękę wziął worek, a zgasiwszy lampę na stole i przygotował zapalki, drugą poprowadził córkę po schodach aż na dół. Na dziedzińcu było ciemno i mokro, więc przeniósł ją do bramy, zapukał do drzwi na prawo, na których przy świetle latarni można było wyczytać: „tu się przyjmują do prania kołnierzyki i manszety na sposób wiedeński.”

Wysoka i nadzwyczajnie wychudła kobieta otworzyła drzwi z klucza, a nasi znajomi weszli po schodkach do pokoju. Na wstępie uderzył ich dziwnego rodzaju zaduch pomieszany ze stęchlizną jak w łaźni parowej. Pokój był nie wielki z dość głęboką nyżą, gdzie stały dwa łóżka dziecinne. Wprost drzwi kuchenka angielska, obok niej szafka śpizarniana, a do koła ścian stara szafa na suknie, zapadnięta sofa, drelichem w pasy pokryta i proste olszowe łóżko. Na środku stoi stół sosnowy czworokątny, na nim lampa z umbrelką, dokoła

krzesła, a pod oknem odkryte półki z różnemi statkami kuchennemi.

— Całuję rączki pani dobrodziejki! — odzywa się pan oficyał wprowadzając dziewczynkę.—Znowu jesteśmy w gościnę do pani...

Wysoka kobieta ucałowała Maniusię, a podniósłszy z trudnością na krzesło, zaczęła rozbierać z płaszczyka i odwiązywać wstążeczki od kapelusza.

— Czy to już czas na pana? — mówi zanosząc się od kaszlu.

— Jeszcze mam z godzinę wolną, ale myślę sobie, pogadam trochę z panią... No, jakże się pani dziś miewa?

— Et!—machnęła ręką—zawsze toż samo, będę się miała lepiej na cmentarzu... Niechże pan siada. Ignasiu, podaj że krzesło.

Ten Ignasz jest-to syn pani Wójcickiej, chłopiec lat trzynastu, małego wzrostu, krępy, rumiany, z dużą głową i lasem białych włosów sterczących mu jak szczecina nad czołem. Zażenował się trochę, gdy przyszło ruszyć się od stołu, albowiem nie miał na nogach butów, a z całego ubrania tylko koszulinę i majtki...

• — Wzięłam się do oporzędzenia jego ubioru — mówi pani, układając dziewczynkę w przygotowanym dla niej łóżeczku. — Ma tylko jeden garnitur, a ten już leci z niego tak, że codzień muszę coś poreperować...

— Liderlich z acpana, liderlich — mówi wesoło pan Antoni, pukając w głowę Ignasia — wisusujesz się kawalerze, drzesz, a biedna matka musi po nocach śle- piac, hę?

Chłopiec tylko się uśmiechnął pokazując dwa rzędy zdrowych jak kukurydza zębów. ,

A. Wilczyński.—Tom XIV.

— Daj Boże, żeby każdy tak oszczędzał jak Ignasz... Dwa lata już chodzi w tej surducinie, ale to wszystko już tak stare, że się pod igłą, rozłazi... Ceruję, łatam, aby jeszcze... .

Tymczasem Manusia, zobaczywszy, że na drzemieniu łóżeczku już zasypia spokojnie córeczka pani Wójcickiej, Zosia, choć nie miała wielkiej ochoty do spania, jednak na prośbę ojca ukłękła do pacierza, a odmówiwszy go z całą uwagą, ucałowała w oczy, i w nos, i w czoło, i w usta drogiego tatusia, zarzuciła rączki na szyję pani Wójcickiej, pozwoliła się nakryć kołdrą, a ułożywszy obok siebie lalkę, nagadała jej tyle morałów, żeby leżała spokojnie, oczy zamknęła, a skoro nie umie całego pacierza, przynajmniej żeby się porządnie przeżegnała.

Wypadałoby teraz przypatrzeć się trochę pani Wójcickiej, która owdowiawszy przed trzema laty po mężu swym nauczycielu szkółki ludowej, sprowadziła się do Lwowa aby Ignasiowi swemu dać jaką taką edukację. Nieboszczyk mąż umierając prosił ją o to, żeby ich syn przynajmniej cztery klasy skończył i poszedł do seminarium, albowiem uważał, że to jest głowa nadzwyczaj otwarta i ma naturalny pociąg do życia duchownego. Chłopczyna bowiem od najmłodszych lat bawił się tylko w księdza, odprawiając mszę w papierowych ornatach.

Twarz pani Wójcickiej, jakkolwiek pierwszy raz ją widzimy, jednakże nie jest nam obcą. Mimo niezwyklej bledności i wyniszczenia spowodowanego piersiową chorobą, tak jest podobną do panny Karoliny, guwernantki u państwa Marcinów, że nie omylimy się biorąc ją za siostrę jej rodzoną, tę właśnie, której list, dzięki

roztargnieniu pani Marcinowej mieliśmy sposobność dawniej już przeczytać. Też same ostre rysy właściwe rasie południowych mieszkańców, ten sam nos orli, też sama cera ciemna, i wreszcie też same czarne świecące oczy, przypominają naszą guwernantkę, jadącą w tej chwili z panią Ludwikową za granicę.

Pani Wójcicka jest starszą od siostry o lat dwa, ale choroba tocząca jej piersi tak dalece już postąpiła, że zamiast kobiety, zostawiła szkielet, skórą pokryty, na którym skromne jej ubranie, już nie leży, ale popro- stu wisi.

— Cóż tam w szkole, dobrze biją? — pyta pan oficyał powtarzającego jakieś wiersze niemieckie chłopa.

— Eh, nie biją...

•— To źle, powinni bić, oj bić, przynajmniej dwa razy na dzień, panie dobrodzieju.

— A jak nie ma za co?—przerywa matka, zasiadając znów z igłą do roboty.

— To nic, choć niema za co! Bić powiadam, żeby się nie psuli. Myśmy mieli księdza prefekta, który zawsze co piątek kazał rznąć po pięć, do pięciu ran Jezusa Chrystusa, i powiadam pani, nie było żadnego łotrostwa... A dzisiaj, co? papierosy ćmią, na wagusy chodzą...

— Niechże Bóg broni, żeby Ignas — przerywa matka.—Ale może pan Antoni zapali... przynieś-no za- pałki.

— Pokornie dziękuję, pani dobrodziejce, pokornie... chcę się odzwyczaić, nie podawaj, nie... A który jesteś w klasie, pewnie na szarym końcu?

— Drugi z kolei—odzywa się Ignas...

— To mało, powinienes być pierwszym, hultaju. Głowę masz taką jak pudło, to tam rozumu nie brak. Pamiętaj, niech-no świadectwa nie będzie do pierwszej klasy, nie dam ci do konia przystąpić na wakacyach.

— A gdzie ten koń?

— Już będzie, ty się o to nie turbuj... Ale, ale, wie też pani — rzecze odwracając się do szyjącej kobiety—że dziś graliśmy w loteryjkę z Maniusią, i w pięciu numerach miała terno... Wczoraj postawiłem na Wiedeńską trzy reńskie, i jeżeli nie wyjdą, to pani powiesz mi w oczy, Antoni jest głupiec. Niechże pani się nie śmieje, a słucha: Piątka w tym roku jeszcze ani razu nie padła; trzydzieści dziewięć wyszło w przeszłym ciągnięciu na Berno, a Wiedeń, panie dobrodzieju, zawsze jedną liczbę z Berna powtarza, jak Boga Kocham, trzy razy już tak było... No, siedmdziesiąt cztery, to moja cyfra ulubiona, do której mam zawsze predylekcyę. Słuchaj-no pani, w sobotę wracam z pocztą z Krakowa, a moje terno jest: okrągłe piętnaście tysięcy reńskich bez czegoś. Zaraz tedy, panie dobrodzieju, sakum pa- kum, marsz do Stryja albo do Samborza. Kupuję dworek z ogrodem za sześć tysięcy i tam osiadamy wszyscy. Pani dobrodziejka cały dzień siedzisz na świeżem powietrzu, w altance; z rana pijemy wody szczawnickie... Pamiętaj pani, że do niczego się jej wtrącić nie wolno; ja sam wszystkim się zajmuję, sam dysponuję obiadem, sam pokazuję kucharce, a dla pani dwa razy na dzień surowo mięso, jak mówił doktor... Nie bój się pani, wiem jak to trzeba; uskrobać nożem delikatnie, potem przez gęste sito, posolić trochę, i albo łyżeczką raz dwa, albo gałki robić i połykać...

— Panie Antoni — przerywa z uśmiechem serdecznego politowania wdowa.

— Jak Boga kocham, tak pani musisz! Uklęknę przed tobą, panie dobrodzieju, i musisz... Pani kochana, ja się na tem lepiej znam, niż doktor... Nie będzie pani mogła trawić, to, panie dobrodzieju, mięso do butelki, korkiem się zatyka i w gorącą wodę... Bano sadzam panią do maszynki inhalacyjnej, nie tak jak teraz, co to pani udajesz, że robisz, a rzeczywiście aby zbyć. Ja nie będę jeździł z pocztą wtedy, i sam siądę przy niej, i dopilnuję przez całe pół godziny. Jak mię tu pani widzisz żywego, jednej minuty nie daruję... No, a jak już pani będziesz chciała się czem zająć, to pozwolę sypać ziarno dla drobiu.

— Mojej kurce, ja sama będę sypała—odzywa się Maniusia z łóżeczka.

— To ty jeszcze nie śpisz?—zapytuje wdowa.

— Dobrze, dobrze, twoja kura będzie się karmiła oddzielnie...

— Zamknij oczki, moje dziecko, i uśnij, tak późno—dodaje pani Wójcicka spoglądając ku nocy...

— Kiedy lalka mi się tak wciąż kręci — sumituje się dziewczynka, prowadząc dalej rozmowę ze swoją towarzyszką.—Czego się tak na mnie pakujesz, ty smarkata! Będziesz ty leżeć spokojnie, będziesz, co? Zobaczysz, że jutro każę klęczeć i nie dam koralików, które tatko przywiezie z Krakowa...

Odezwanie się Maniusi z łóżeczka przerwało naukę Ignasia, który wciąż zatkawszy sobie oba uszy palcami, powtarzał jedno i toż samo: Eine Jdeine Biene Eine kleine Biene...

— Ucz się, Ignasiu, ucz! — rzecze don matka — musisz jutro rano wstać...

— Pamiętaj, bo do stajni ani pozwolę zajrzeć.

— Ze też-to pan Antoni tak się potrafi łudzić?— odzywa się smutnie uśmiechnięta pani Wójcicka wywijając igłą.

— Ja się łudzę, ja?—powtarza uderzając palcem w piersi nasz oficyał. — Pani dobrodziejko, ja stawiam na pewne podług mojego rachunku. Prawda, że tak odrazu, panie dobrodzieju nie trafisz, ale żeby tam dyabeł na dyable miał jechać, sforsuję... Tak, tak, śmieję się pani, śmieję, a pamięta pani tak samo się śmiałaś, kiedym wygrał trzysta reńskich...

— Właśnie to było całe nieszczęście pana, ile pan wprzód przegrałeś, a ile potem?

— Ile przegrałem? głupstwo, może tam jakie kilkadziesiąt reńskich. Nie bój się pani, prowadzę ja porządne conto z cesarsko-królewską loteryą. Zresztą, proszę pani, każdy człowiek ma jakąś pasyą i na nią traci. Ja nie chodzę po knajpach, w karty nie gram, teatru nie widzę, więc jak się wyda te kilka reńskich miesięcznie na loteryą, to cóż to znaczy! A mogę wygrać; zna pani przysłowie, kto nie ryzykuje, nic nie ma. Widzi pani, ja nie gram na jakieś tam sny i inne głupstwa, ale mam swoją niezawodną kombinacyę.

— Ile razy ona zawiodła... I do tego profesora w Berlinie, co się to w gazetach ogłasza, pan pisałeś i książkę od niego kupiłeś... Ozyby-to nie lepiej było, panie Antoni, odkładać te kilka reńskich co miesiąc i spłacać długi.

— Najprzód ten profesor Orlice nie jest głupi, a z książki jego wiele skorzystałem. Powtóre, pytam

się pani, co ja złożę z tych trzech albo czterech reńskich na miesiąc? Taką drobnostką nie splcę półtora tysiąca długów, a niech raz, panie dobrodzieju, łupnę terno, to i długi pójdą i odrazu stanę na nogi. Tyle ludzi wygrywa, choć niepotrzebuje, dla czegożby mnie szczęście miało opuścić?

Pani Wójcicka umilkła, a nasz wdowiec biorąc to za dowód, że ją przekonał, coraz bardziej rozwodził się nad obserwacjami swojemi co do kombinacji loteryi liczbowej. W miarę stawianych przez siebie argumentów, zapalał się, różne szpargały z kieszeni wyjmował, a twarz jego, zwyczajnie blada i wesoła, ożywiła się nieznacznie pokrywając rumieńcem.

— Nawet panna Karolina—mówi w końcu—która jest bardzo uczona i rozumna osoba, powiada, może być, wszystko na świecie ulega pewnym prawom...

— Ale, ale, zapomniałam powiedzieć panu, że mam od niej list z Wiednia, i że przesyła panu ukłony.

— Już z Wiednia? więc tu do Lwowa nie przyjedzie?

— A nie.

— Tak się nie godzi, panie dobrodzieju! Cóż-to, nie mogła wpaść choćby na parę godzin... A jeżeli w sobotę wyjdzie moje terno, to gdzie ją z telegramem szukać?... Postanowiłem sobie, że zaraz jej doniosę: „Wygrałem. Przyjeżdżaj pani!”

— Poczciwa dziewczyna — mówi dalej Wójcicka, jakby nie słyszała, co powiedział pan Antoni. — Wiele ona doznała przykrości od tej Marcinowej. Pisze mi, że nawet z dziećmi nie pozwoliła jej się pożegnać... Przysłała mi wszystkie pieniądze, jakie miała; Boże kochany, kiedyż ja jej to odwdzięczę. Powiada, dla do

bra dzieci, bo twoje dzieci są także inożem, czegożym nie zrobiła? Mogłam przyjechać i nacieszyć się z wami, lecz obliczywszy, ileżym mnie droga tam i napowrót kosztowała, pomyślałam, że za to Ignas może mieć całe ubranie na zimę, i wolałam zostać. Mam miejsce tylko na trzy miesiące, kto wie, czy zaraz znajde inne, a tu każdego centa szkoda...

Pan Antoni zmieniwszy poprzednie wesole usposobienie na powazne, spogladal dziwnie rozczarowanym wzrokiem dokoła.

— Et, głupi świat i człowiek na nim, panie dobrodzieju! — zawoła wstając nagle. — Żyjesz jak pies, pracujesz jak pies i nigdy nic nie masz! Ot, bagatela, dwa tysiące reńskich wygrać, a zaraz co innego. Niech pani Wójcicka kłania się jej bardzo grzecznie i napisze, że ja, Antoni, zawsze ten sam, rozumie pani, ten sam. I niech tylko spłace moje długi, to zaraz... albo lepiej niech pani tego nie pisze, dyabła je tam kiedy spłace...

Szyjąca kobieta, znowu dostała zwykłego ataku kaszlu, z czego korzystając pan ofieyal, zbliżył się na palcach, do łódeczka córki. Śliczna dziecina obłana świeżym rumieńcem, spała rozkosznie tuląc do siebie lalkę, więc też popatrzwszy na nią z niewysłowionem uczuciem zachwytu, nachylił się ostrożnie nad łóżkiem, i delikatnie, aby jej nie rozbudzić, w czoło ucałował.

— Moja droga pani—odzywa się biorąc rękę zmęczonej kaszlem kobiety—co jabył dał, panie dobrodzieju, za to, żeby pani tak nie kaszłała. Pani jesteś tak dobrą dla mojej Manusi...

— Bo też i ona jest bardzo dobrem dzieckiem i sierotą—odpowiada na to spoglądając na syna...—Jak mnie zabraknie, pamiętaj też pan o nich tak samo.

— Eh, to tam głupstwo—mówi już weselszym tonem. — Jeszcze nas wszystkich pani przeżyjesz... Ot, gdyby na wieś, na świeże powietrze... Czekaj-no pani, zobaczmy w Sobotę, ja wierzę w Opatrzność Boską... Cóż tam znaczy u Pana Boga jedno terno... A teraz gdy już czas na mnie, bywajcie mi tu państwo zdrowi... Oj psie to życie, psie, urzędnika pocztowego! Dalibóg, wolałbym piasek wozić po ulicach, drzewo rąbać, miałbym przynajmniej noc spokojną.

Wyszedł, ale wdowa jeszcze nie miała czasu drzwi za nim zamknąć, gdy znowu się wrócił.

— Zapomniałem, moja droga pani, zapytać, czy przywieźć Pędzichowskiego chleba z Krakowa?

— Jak zwykle, dwa bochenki, zawsze to taniej wypada.

— Dobrze, ale niech też pani uważa na Maniusię, czy się nie będzie krztusić. Nów teraz, boję się o robaki... Gdyby pani spostrzegła, że majaczy, najlepiej dziegiem posmarować pod szyją... Weź-no pani, co mam, te trzy reńskie, może co wypadnie...

— Dziękuję, mam od Karoliny...

— Eh, lepiej weź pani na rachunek! Jeszczeby mnie co skusiło przez drogę i gotowem postawić na Berneńską... No, całuję rączki pani... Ignasiu, bywaj zdrów, hultaju. A tego nowego ucznia swojego od stróża, ćwicz dobrze, za uszy...

— Jutro ma dostać reńskiego za pierwszy miesiąc — odzywa się matka spoglądając z rozkoszą na syna — i mówię panu, już mnie dwa dni męczy/co on ma za to kupić dla Zosi.

— Dobrze, dobrze mój mały... tylko na loteryą

nie stawiaj... A nie zapomni pani o co prosiłem, żeby napisać do panny Karoliny: Antoni ten sam...

Drzwi od głównej bramy skrzyknęły, pan Antoni jeszcze raz skinął głową świecącej mu pani Wójcickiej, potem owinąwszy się w burkę, szybkim krokiem podążył ku pocztce.

•— Eh «— myślał sobie — żeby tak były te głupie pieniądze, ileby tu dobrego zrobić można! Dwa lata znam już te kobiety, i niech tam co chce, kto o nich mówi, ale to, panie dobrodzieju, święte niewiasty. Wszystko dla tych biednych dzieci, aby to jakoś wypchnąć na ludzi... Trzymała studentów tanio; mówiłem, czego pani tak ich pasiesz, za te pieniądze nie obstoisz. Ale ona powiada, nie miałabym sumienia głodzić, to młode, potrzebuje dużo i smacznie, bo to rośnie... No i straciła i jeszcze nabawiła się choroby... Głupstwo to tam pranie kołnierzyków, co ona z tego ma?... Albo i ja, że się stołuję u niej; dwa obiady, bo Manusia także też niezły ma apetyt, za piętnaście reńskich na miesiąc... To mało, jak Boga kocham, za pół darmo... trzeba jej coś dołożyć... I dziewczyna tam nocuje, czasami kilka dni siedzi... ależ ona dokłada do nas... Ba dołożyć, kiedy mnie samemu zostaje tylko czterdzieści reńskich... Huncwot Waserberg bierze po dwa i pół na miesiąc... Co ten żyd już wziął odemnie procentami... mógłbym nie płacić więcej... Mógłbym, ale, panie dobrodzieju, słowo i honor, zobowiązałem się dobrowolnie, nikt mnie za czuprynę nie ciągnął... Niech będzie co chce, trzeba mu płacić... Dwa tysiące, więcej nie potrzebuję jak dwa tysiące, a stanąłbym na równe nogi, Karolina jest bardzo oszczędną i gospodarną osobą; patrzajże, nie chciała nawet przyjechać, żeby na kosza nie wydawać... Wykształcona, z talentami,

a w tych oczach ma coś tak pociągającego, że dalibóg, widzę je zawsze przed sobą... jakby na mnie patrzyły... Byłbym i o edukacją Maniusi spokojny, i ta Wójcicka pożywiłaby się przy nas... Ale cóż? — trzeba najprzód mieć te dwa tysiące... Żeby to padła wygrana... Gdzie- tam padnie! Bogaty wygra, a ty biedaku zdychaj z głodu pod płotem. Hm, wiem co zrobić! Nie stawiam więcej, i te kilka reńskich dodam na miesiąc Wójcickiej... Ona ma rację, że to marzenia... No, ale, zkadże u dyabła, taki biedny człowiek jak ja, panie dobrodzieju, może się kiedy czego dorobić... Przecież wygrywają różni... Stawiać zawsze trzeba, ale nie tyle... Panie Antoni, daj sobie uroczyste słowo, że tylko reńskiego na raz, i na jedno jedyne terno... ma co być, to będzie...

Szedł i dumął w ten sposób, ocierając pot z czoła, bo do dworca kolei żelaznej było daleko, a sakwojaż dość ciężki; więc też im dalej, tem bardziej czarniejsze myśli sunęły mu się do głowy, dopóki nie wpadł na Maniusię. Dziecina ta, kiedy ją przed oczyma duszy zobaczył wesołą, figlarną z niebieskimi i jak morze głęboko-przenikającymi oczyma, odrazu zmieniała czarny kierunek myśli ku czemuś weselszemu. — Boże daj— szepnął . westchnąwszy ciężko — aby tylko chowała się zdrowo... Reszta jakoś tam pójdzie; przecie ja coś takiego muszę wymyślić, że wszystkim nam lepiej będzie.

IV.

Po wyjściu pana Antoniego, wdowa Wójcicka, obejrzawszy jeszcze raz całe ubranie Ignasia, czy nie

przeoczyła jakiej reparacyi, kazała chłopcu ułożyć to wszystko na krześle i spać się położyć.

— Musisz wstać rano i jeszcze przynieść bułki, tu stoi w garnuszku mleko dla ciebie, a jak będziesz wychodził do szkoły, to stancę zamknij, i klucz oddaj stróżce. Ona o ósmej przynosi wodę, to nas obudzi.

Posłuszny chłopczyzna, ucałowawszy serdecznie matkę na dobranoc, ulokował się na owej kanapie i w kilka minut chrapać począł. Matka tymczasem przejrzawszy jeszcze garderobę Zosi, pocerowała gdzie co było potrzeba, a podkręciwszy lampę dla oszczędności, wyjęła pocichutku filaszeczkę jakąś z kieszonki i małą szprycę szklaną z szuflady stolika. Były-to krople morfiny, które jej lekarz dawniej dla ulgi w kaszlu za skórę wstrzykiwać polecił. Potrzeba tego wstrzykiwania już ustała, lecz wdowa pokryjomu kupowała wciąż te krople, bo po ich użyciu nabierała pewnych sił do pracy, których jej bez tego kompletnie niedostawało. Naciągnawszy do owej szpryki sporą dozę morfiny, bez najmniejszego syknięcia nawet, zapuściła koniec szpilki głęboko za skórę i wstrzyknęła trujący płyn, który tam dość znaczny białawy pęcherz na wierzchu sformował.

Rzeczywiście, w parę sekund, cała jej fizyogno- mia nabrała pewnej nieznannej dotąd żywości, od której i czarne jej oczy zabłyły szczególniejszą energią. Zupełnie jakby inna kobieta, przystąpiła do angielskiej kuchenki, a zdjawszy stojącą tam na blasze dużą glinianą miskę napełnioną bielizną mokrą, zaczęła odpierać kołnierzyki i manszetki, mydlić, znów przepierać, przelewając wodę z całą możebną cichością, aby się śpiące dzieci nie rozbudziły. Na wieży Bernardyńskiego kościoła wybiła już dwunasta, a kobieta wciąż prała

i farbowała i krochmalila owe kołnierzyki, a gdy już wszystko było skończone, wzięła się do wieszania na sznurku tuż nad kuchenką. Zimny pot lał jej się z czoła, gdy przyszło wejść na krzesło, aby dosięgnąć owego sznura, jednak opierając się na drugim krześle zrobiła to dość zręcznie...

Obtarwszy wychudzone ręce fartuchem, pocichu z lampką obeszła wszystkie łóżeczka gdzie spały dzieci; temu poprawiła poduszkę, temu kołdrę, a dla Maniusi przyniosła ze swego łóżka jakąś zniszczoną kapę i powierzchu jeszcze przykryła. We wszystkim tem znać było pewien stan roznerwowania, coś gorączkowo przyspieszonego, bo ręce jej drżały, a na bladą schorowaną twarz wystąpił mocny rumieniec i posuwał się ku czołu. Nareszcie przygasiwszy już lampę, zdjęła wierzchnie ubranie z siebie i klękawszy przy łóżku, modliła się długo, powtarzając prawie jedno i toż samo półszepem: „Orędowniczko strapionych, daj choć im szczęście na ziemi, a dla mnie trzy miesiące sił i życia... Trzy miesiące tylko, dopóki Karolina nie wróci... I Karolinie szczęście i wszelkie błogosławieństwo uproś Matko jedyna...”

Godzina druga wybiła, gdy pani Wójcicka nie rozbierając się więcej, położyła się na łóżku przykrywszy zdjętą suknią, lecz długo jeszcze usnąć nie mogła trawiona gorączką, bo w godzinę można było słyszeć ten szepot modlący: „choć trzy miesiące, tylko trzy miesiące...”

Godzina szósta rano, łoskot maszyny parowej z sąsiedniego domu rozbudza Ignasia. Aby nie przerywać snu matce, dębry chłopczyzna chodzi bosy po pokoju*

i dopiero zabrawszy książki do nauki, wynosi się czem- prędzej do sieni i tam kładzie buty na nogi.

Podworec kamieniczny w tej chwili jest pusty; liczne rzesze obdartych dzieciaków harcujących tu dzień cały, śpią jeszcze, a tylko stróż Tomasz, z ogromną miotłą w rękach a króciutką fajeczką w ustach, prowadzi bój ze śmieciem, zapędzając je pod stopy desek ustawionych w kozioł na środku dziedzińca.

A nielada figurą kamienicy jest pan Tomasz, były majster ślusarski: z warsztatów kolejowych, którego skutkiem utraty dwóch palców przy maszynie, jako niezdatnego do roboty wydano. Jest-to mężczyzna w sile wieku, krępy, z twarzą pokropkowaną od sadzy i ogromnymi faworytami, które jak dwa długie wiechcie spadają mu na piersi. Jako człowiek przez los zdradzony, jest zawsze zły i gderliwy, a przypisując wszystkie swoje nieszczęścia żydom, nie wpuszcza ani jednego handelesa do kamienicy, lecz goni ich po całych dniach z zawziętością godną lepszej sprawy. Między sługami na Łyczakowie, Tomasz ma reputacją uczonego człowieka, albowiem czytuje gazetę z woźnym Onufrym przy gazowej latarni, doskonale zna się na snach, i te na liczby loteryjne zamienia, a kiedy wieczorem zagra na harmonijce, to same nogi pokojówek rwą się do tańca.

W niedzielę znowu lub święto, pan Tomasz gdy się wystroi w granatowe zimowe palto i cylindrowy kapelusz, to z taką miną paraduje po Łyczakowie, że niktby w nim nie odgadł stróża kamienicznego. Sama właścicielka domu, gdy spotka go w takim stroju, kłania mu się i kłania, niby znajomemu panu, aż panna Aurelia musi ją trącać za każdym razem: ostrzegając:

•— Ażeż to, mameczko, nasz stróż Tomasz.

Jednakże, mimo tak nieprzyjemnych pomyłek, pan Tomasz jest faworytem gospodyni i to właśnie z powodu tak porządnego ubrania. Dama ta, przedtem obywatelka ziemska, od kilku lat nie żyje z mężem, który dość nieoględnie stracił swój majątek na spekulacjach. Dla dobra córki, panny na wydaniu, prowadzi dom otwarty, któremu Tomasz, jako pełniący obowiązki lokaja, dodaje wiele estymy. Zresztą i pan Stanisław młody koncypient adwokacki, rządca, plenipotent i przyjaciel pani, szczególnie faworyzuje Tomasza, więc połączywszy naraz wszystkie te okoliczności, sytuacja stróża w tym domu, mimo rozmaitych intryg kucharki jest niezachwiana.

We Lwowie istnieje ten arcy dogodny zwyczaj, że lokatorowie, prócz opłaty zwykłego czynszu, pośrednio utrzymują służbę właścicieli domów. Stróż, żona jego, dzieci, a czasami i krewni jego oddani są wyłącznie na ich osobiste usługi, którzy ofiarując im jakiś przytułek w piwnicy, dają monopol pobierania sobie pensji od każdego pragnącego wejść lub wyjść z domu po godzinie dziesiątej. Niechnoby się kto odważył przejść bramę nieuiściwszy należnego stróżowi haraczu — miałby się zpyszna. Nie dość żeby wysłuchał całą litanią wyrzutów, aleby się doczekał tego, że na drugi raz zamknięto- by mu drzwi przed nosem, a wtedy niech dzwoni i kołacze do rana.

Z monopolem takich opłat dla stróża, łączy się jeszcze przywilej obsługiwania kawalerów mieszkających w kamienicy, z prawem froterowania posadzek u zonatych lokatorów. Pan Tomasz tedy, co rano związał się jak w ukropie, wszędzie zaczynał robotę i biegł dalej zostawiając j[^]j dokończenie samemu panu. Ztąd też

słysząc było ze wszystkich pięter nieustanne wołania: Tomasz, Tomaszowa! — na które odpowiadały głosy obojga, mniej więcej w tym sensie: „zaraz zaraz, idę, natychmiast, duchem lecę” — ale nikt nie leciał, a panowie wymyślali na czem świat stoi, i zrzuciwszy pychę z serca, szli z dzbankami do pompy po wodę ku wielkiemu zgorszeniu woźnego Onufrego, który także mógłby podjąć się usługi, — gdyby Tomasz pozwolił.

Raz nawet pan sekretarz z katastru zjbuntował się przeciw stróżowi i przyjął jakiegoś faceta do usługi. Boże drogi, co to za piekło zrobiło się z tego powodu w całej kamienicy. Zaraz na drugi dzień ktoś stłukł szybę w sieni na drugim piętrze, a tego ktosia nie można było odkryć. Trzeciego dnia zginęła srebrna łyżeczka z kuchni pani konsyliarzowej. Czwartego gospodyni samej zabrakło dwóch koszul, z bielizny rozwieszanej na strychu. Rwetes, krzyki, pomstowania i śledztwa z przywołaniem policyjanta, na co Tomasz z okrutnie zagniewaną miną do gospodyni:

— To tak, proszę pani, jak się byle kogo wpuszcza do kamienicy. x Czy-to domowego złodzieja kto upilnuje? Dlaczegoż-to dawniej nic nie ginęło?

I w skutek takich, zresztą bardzo słusznych dowodzeń, pan Stanisław jako rządca domu, udał się w poselstwie do pana sekretarza, stawiając ultimatum: albo podejrzanego sługę odprawić, albo dla spokoju publicznego, samemu się od pierwszego wyprowadzić. Stary kawaler mieszkał tu już lat ośm, wołał więc poświęcić służącego i zostać, zdając się na łaskę i niełaskę Tomasza.

Ulegając ogólnemu prawu, i pan Antoni oficynał, i pani "Wójcicka, wdowa, korzystali także z usług Toma

sza, chociaż co do nich zachodził pewien wyjątek. Pan oficyał miewał czasami tytuó zagraniczny i tyle delika-
tności, że go nigdy nie zamykał, jak to robił pan kon-
sylviarz, u którego Tomasz froterował podłogi. To zaufanie
do stróza, podwoiło jego gorliwość przy sprzątanu, i jeżeli gdzieindziej nie miał czasu, to do pana Antoniego
zaglądał nie wołany, po kilka razy na dzień, i porządkował na komodzie, gdzie właśnie stała zawsze owa puszka
z zagranicznym tytuniem. Pani Wójcicka znowu, była-to osoba bez zółci, i taka dobra dla całej rodziny stróza, że
prawie sama szyla wszystkie sukienki dla jego dzieci, a raz nawet uprała mu bez pretensyi sześć kołnierzyków,
które pan Tomasz tylko od bardzo wielkiego dzwonu zakładał.

— Otóż to mi jest pani — mówił do woźnego — mnie, podłemu stróżowi, własną ręką uprała
kołnierzyki. A na to mówiąc, znać że to jest pani z panów, clióć zbiedniała.

Ignas z książką chodził po dziedzińcu, a że od miesiąca przyjął obowiązek nauczyciela do siedmioletniego
Jasia syna stróza, więc Tomasz faworyzował go niezwykle.

— Niech panicz wlezie sobie na deski — mówi do niego — można, można...

Było to szczytem łaski stróza, żadnemu bowiem z dzieci nie wolno się było zbliżać do tych desek.

Ignas korzystał z pozwolenia i recytował jakiś ustęp z historyi powszechnej o żydach. Stróza widocznie
interesowała ta lekcya, bo ile razy przytaszczał wał śmiecia w tę stronę, to się zatrzymał, fajeczkę z ust
wyjmował i słuchał...

A. Wilczyński.—Tom XIV.

— Co ja słyszę, paniczu—odzywa się naraz — te łapserdaki mieli króla i wojsko?
— Mieli, mój Tomaszu, a jeden to nawet był bardzo mądry.
— A bodajże ich, bodaj... żydowskie wojsko... Wie panicz, ja się podejmuję z tą oto miotłą rozegnać cały pułk żydowski... Oj, żeby oni sobie chcieli pójść do swego królestwa, to ja co biedny jestem, a dałbym na mszę świętą...
— Cóż Tomasz tak ich nie lubi?...
— Któżby to tałałajstwo lubił? Dawniej to jeszcze, znało to jakiś mores przed katolikiem, wybiło się żyda i nic; ale jak im dali wolność z Wiednia, to nie przystępuj do nich! Mój kum mularz, to już trzeci miesiąc siedzi w kryminale za żyda. Słychane to rzeczy... A to wszystko, paniczu, za owe sztachety złote.
— Jakie sztechety?
— No te, co sprawili gubernatorowi przed pałacem...
— Plotki, mój Tomaszu.
— He, he, gdzietam plotki!... ludzie o wszystkim wiedzą. Ten gubernator, co to umarł niedawno, to on im tę wolność u cesarza wyrobił. Powiadają, że terazniejszy hrabia nie lubi żydów, ale już nic nie może, bo oni mają takie plecy w Wiedniu, że ani rusz...
— Rozum mają, rozum, mój Tomaszu — rzecze Ignaś.
— Albo to rozum, proszę panicza! To i człowiek, na to mówią, ma rozum, a nic nie może. To, paniczu, nie rozum, ale rachunki. Żyd psiawiara, to się już rodzi z rachunkami w głowie, i taki mały bachor starego człowieka na rachunku oszuka. Żebym ja. tak umiał

rachować, to nie byłbym podłym stróżem; a tak, cóż człowiek ma robić? Dlatego też, niech panicz mojego Jaśka ćwiczy w rachunku, niech on choć zagna lepszego życia... Albo to Onufremu źle, że się zna na rachunku. Bierze dwanaście reńskich na miesiąc i stancję ma i opał, a co robi? Papiery nosi, kwiatki podlewa i gazety czyta...

Stróża zawołano na górę do gospodyni, więc też i Ignas skończywszy powtarzanie lekcji, przyniósł bułki ze sklepika i wcisnąwszy się cicho do pokoju, wypił mleko zostawione mu wczoraj przez matkę. Czas był już iść do szkoły, chłopczyna zamknął mieszkanie, a oddając klucz Tomaszowej, prosił, aby zachowała się spokojnie, bo matka późno spać poszła i całą noc kaszłała.

Żona Tomasza jest-to kobieta, zdaje się starsza od męża, ogromnie nieporządna i wiecznie zapłakana ze zmartwienia, że Tomasz cały dzień krzyczy na nią za ów nieporządek, i w domu i koło siebie. W poufnej pogawędce powtarzają sobie kumoszki, że pan Tomasz inaczejby stał, gdyby miał inną żonę, bo chętny do roboty i zapobiegliwy, a tak, to tylko ucieka z domu do piwiarni, i tam zgryzoty swoje zapija.

Albo i teraz, wzięwszy klucz od mieszkania wdowy, cóż z nim zrobiła? Schowała do kieszeni, i na śmierć zapomniała. Tu już dziewiąta, mąż jakby narwany biega po kamienicy, bo i panom trzeba usłużyć, i wody nanieść na kąpiel dla gospodyni, a żona jak sobie stanęła w bramie z przekupką, tak gada i gada o szczęściu listonosza, który codzień pięćdziesiąt centów najniższy przyniesie do domu od gości, i żonie oddaje.

— O rany Boskie! — zawoła, nagle przypomniawszy sobie, że pani "Wójcicka zamknięta jest w swoim

mieszkanii. Więc dalejże do drzwi odmykać, i łapes capes za konewki...

— Cicho, cicho!—mówi Zosia z łózcčka dając jej znaki — mama śpi: cicho!...

Przyniósłszy wodę, zaczyna rozniecać ogień pod blachą, a potem bierze się do zmiatania, chociaż to do jej obowiązku nie należy. Dziewczynki siedzą obie na jednym łózcčku, co chwila sprzeczą się głośno o ubranie lalki, którą się ba.wią. Tomaszowa zmiatając, kiedy niekiedy stuknie niechcący szczotką o nogę krzesła, a mimo to pani Wójcicka śpi jak zabita. Zaczyna to niepokoić usługującą, więc zbliżywszy się ku niej, nachyla się ostrożnie. Jakoś zdaje się jej, że nie słycać oddechu, próbuje więc poruszyć ją za ramię, nie budzi się; bierze za rękę: zimna!

— Rany boskie!—krzyknie na całe gardło—a toć ona chyba zemgłała!

Porzuciwszy szczotkę, wybiegła do sieni i narobiła takiego hałasu, że za chwilę już pełna była stancyjka ludzi. Nachylano się, próbowano cucić, poruszano — daremne troski, pani Wójcicka nie żyła. Spokojnie, bez żadnych oznak pasowania się w ostatniej chwili, leżała skulona z głową odwróconą ku ścianie, a na zsiniałych i nieco otwartych ustach, zdawało się, spoczywa jeszcze ostatni wczorajszy szept modlitwy, aby jej Pan Bóg dozwolił życia, choćby tylko na trzy miesiące.

Ktoś zwrócił uwagę, czy by nie zawołać lekarza, więc Tomasz zaaferowany i jakby w gorączce, wybiegł na ulicę w nadziei, że o tej godzinie spotka którego- bądź z doktorów spieszących do szpitala.

W stancyi tymczasem i w bramie coraz więcej zbiera się ludzi: zapomniano o dzieciach płaczących na

łóżku, a rozpoczęto, jak zwykle w takich razach, różne gawędki i biadowania o marnościach życia ludzkiego. A, co to? a kto to? Udusiła się poduszką, serce jej pękło, szlag ją trafił... troje dzieci zostało... To znowu, że ona śmierć swoją dawno przeczuwała, kiedy się od tygodnia nie rozbierała na noc... Czy też policya pozwoli pochować, czy jej dadzą białą suknię ślubną, czy czarną jedwabną?... Jednem słowem ciekawa i próżnia- cza gawieź znalazła doskonałą okazyjkę i temat do rozmów bez końca.

Pani gospodyni domu miała się kąpać, a Tomasz porzuciwszy konewki z wodą gdzieś zniknął. Skutkiem tego zjawia się na ganku panna Aurelia bardzo zirytowana.

— Tomaszowa, Tomaszowa! — zaczyna wołać zakrywając piersi rannym kaftanikiem.

Ktoś odszukał stróżową w tłumie, a ta biegnąc do panienki, już z dołu załamuje ręce, i rozpowiada, jakie to przytrafiło się nieszczęście.

— Proszę panienki, niebożątko tak jakby spało. Przychodzę rano...

— Gdzie Tomasz? Mama się gniewa, że nie ma dotąd kąpieli.

— Poleciał szukać doktora... Ale, co jej tam doktor pomoże! Mówię panience, zimniuteńka jak lód...

— Kto taki?

— A ta wdowa Wójcicka, umarła w nocy i nikt nie wiedział... •

Panna pobiegła z doniesieniem do pokoju, a za chwilę wypada na ganek, młody jeszcze, choć trochę otyły mężczyzna. Biegnie żywo, aż podłoga trzeszczy, a puszczając gęste dymy z papierosa, trzyma w ręce ja

kąś drukowaną karteczkę. Jest-to właśnie pan Stanisław rządcą i plenipotent gospodyni domu, młodzieniec dobrze karmiony, o ryżych rzęsach i włosach tak silnie pomadowanych, że idąc zostawia za sobą strugę fikstuarowego zapachu. Wiadomość o śmierci lokatorki, która dotąd nie zapłaciła komornego za bieżący miesiąc, tak żywo go zelektryzowała, że niedopiwszy nawet śniadania, porwał gotowy już kwit z biurka i dalej na miejsce. Rozpędziwszy tłum zalegający wejście do bramy, w szorstki sposób powyrzucił kumoszki stojące nad łóżkiem zmarłej.

— Gdzie matka ma pieniądze? — pyta siedzącej na łóżku Zosi, kiedy już nikogo nie było w pokoju.

— Pod poduszką—mówi zastraszona dziewczyna.

Z uwagą lepszą sprawę godną, sięgnął pan koncyjent pod głowę zmarłej, a wydobywszy z tamtąd bardzo wyszarzaną portmonetkę, zbliżył się do Zosi.

Patrz, biorę dziesięć reńskich za komorne, i kładę kwit na to miejsce. No, masz resztę i schowaj dobrze, żeby kto nie sprzątnął.

Dziewczyna machinalnie wyciągnęła rękę, a młody rządcą uszczęśliwiony takim fortem, wyszedł ani spojrząwszy na zmarłą, która, zdawała się w tej chwili uśmiechać gorzko, na tak bezczelną przezorność pana koncyjenta.

Nadszedł i doktor z Tomaszem, jak raz ten sam, który leczył gospodynię domu. Spojrzał, głową kiwnął i powiada:

— Nie ma tu co robić, ona już dawno nie żyje!

Zosia usłyszawszy ten wyrok skoczyła z łóżeczka z okropnym krzykiem, a że kulawą jest na nogę, więc jak długa runęła na podłogę.

— Moje biedne dziecko, nie płacz —rzecze biorąc ją na ręce i odnosząc napowrót do pościeli, a odwróciwszy się do stróża dodaje:

— Trzeba te dzieci ztąd zabrać... Jakże macie sumienie trzymać je razem z nieboszką... No, no, moje dziecko, uspokój się — mówi głaszcząc jej bladą twarzyczkę...

Potem rozpytał stróża o szczegóły sytuacji nieboszki i dowiedziawszy się, że pani Wójcicka utrzymywała się z pracy rąk swoich, powiedział wychodząc: •

— A jakby nie było za co pochować, to proszę cię, przyjdź do mnie... wiesz gdzie mieszkam, na Halickiej.

Na galery i przed swoim mieszkaniem stała sama gospodyni, osoba już niemłoda, szczupła, wynędzniała, widocznie kiedyś bardzo ładna, bo dziś jeszcze nie bez pretensyi.

— I cóż tam? — pyta wychodzącego doktora.

— Umarła. Krwotok wewnętrzny śmierć spowodował.. miała suchoty w ostatnim stopniu.

— Przyznaj panie doktorze, że ja mam szczęście do lokatorów. W tym miesiącu już drugi umiera.

Przyjemne będzie sąsiedztwo przez parę nocy.

— Pani się boi? — pyta zapalając podany sobie przez pana Stanisława papieros.

— Okropnie! Już cała moja noc stracona! Jestem przekonana, że oka nie zmrużę. Mój drogi panie, czy-
by nie można zabrać ją do szpitala?

— To już należy do sądu i policji. Jednakże wątpię, bo to śmierć naturalna i nie potrzebuje ob-
dukcyi...

— Pan Stanisław to zrobi — rzecze błagalnym

tonem odwracając się do rządcy. — Prawda? pan się postara o to. Można poprosić sędziego, żeby uznał śmierć nagłą...

— Widać, że to biedna jakaś kobieta — mówi doktor — taka tam nędza w mieszkaniu, a dwoje dziewczynek tak strasznie płaczą, że aż serce się kraje... Żeby to biedactwo pani kazała zabrać tymczasem... Czy nie mają krewnych albo znajomych tutaj?

— Nic nie wiem. Mieszka u mnie od pół roku, a przedtem utrzymywała uczniów na stancyi. Starszy chłopiec chodzi do szkoły, i dla jego edukacyi podobno sprowadziła się tutaj do Lwowa. Wie pan, że ta chęć kształcenia biednych dzieci zaczyna mnie przerażać. Wystaw sobie doktorze, mój stróż Tomasz, także przyjął nauczyciela... kto będzie robił, jak wszyscy zostaną panami?

— Wie pan, dziwię się policyi, jak może pozwalać ludziom bez funduszów, aby ściągali do miasta i nabawiali innych kłopotu... Tomaszowa — rzecze do stróżowej — zajmij się temi dziećmi...

— Iz lokalem będzie kłopot — dodaje pan Stanisław — po umarłych trudno wynająć.

— A niech też pan doktor nie zapomina o nas.. Ja zawsze czuję się mocno słabą.

— Ślicznie pani wygląda...

— To tylko pozory, doktorze — odpowiada krygując się na sposób młodej pensyonarki. — Dziś pierwszy raz miałam sobie pozwolić kurczęcia, ale powiedz pan, czy mogę w obec takich awantur domowych?... Straszne rzeczy, jak ja się muszę ciągle kłopotać... Mój panie Stanisławie — rzecze zwracając się do rządcy — zrób co takiego, żeby ją ztąd wyprowadzono.

Tomaszowa i inne kobiety wyniosły na rękach obie dziewczynki ze stancyi do mieszkania stróża, a wskutek interwencja pana Stanisława, postawiono przy drzwiach żołnierza policyjnego na straży, dopóki sąd nie zejdzie.

W południe, Ignas o niczem nie wiedząc, wracał z książkami pod pachą ze szkoły. Jak raz, przyjaciel jego, syn dyrektora gimnazjum powiedział mu pod sekretem, że on dostał stopień pierwszy w klasie, więc ta wiadomość niezmiernie go ucieszyła. Nastroił tryumfującą minę, idąc ręką machał i na samą myśl, że pan Antoni nie będzie miał powodu wyśmiewać się z niego, tylko oczy błyszczały mu z radości.

— Teraz już mamie nie pozwolę prac kołnierzyków—mówił do siebie — dostanę po wakacjach korepetycję przynajmniej za cztery reńskie... A może nawet dwie... U stróża, dam pokój... Głupi byłbym męczyć się za reńskiego... Albo nie, oni tacy dobrzy dla mamy... Co tam, będę go uczył dalej, bo chłopiec pojętny.

Tak sobie myśląc, cały zatopiony w przyszłych różowych planach, nie zwrócił uwagi na gromadę kobiet otaczającą stróżującego w bramie policyjanta, lecz śmiałą ręką sięgnął do klamki.

— Nie wolno — mówi żołnierz wstrzymując go za ramię.,.

— Jakto? do mojego domu nie wolno?

— Nie wolno—powtarza, zastępując mu drogę.

— To syn, to pan Ignas — odzywa się jakaś kobieta z tłumu. — Niech panicz nie idzie, stał się wypadek, pani nagle...

— Co?—zapyta bledniejąc jak chusta, gdy książki z pod pachy wypadają mu na ziemię.

— Już w niebie, paniczku, wola Boska... wieczne jej odpocznienie—perswaduje Tomasz zbierając książki z ziemi, a wzięwszy go pod rękę prowadzi do swej izdebki... Odurzony chłopczyna, zaczyna się naraz wyrywać i w płacz. Ale otoczyli go inni i perswadując, litując się, prawie siłą zaciągnęli na schody wiodące do piwnicy.

— No, no, no — mówi Tomasz — cóż robić, wszyscyśmy śmiertelni. Na to mówiąc, życie człowieka to marność, niby ten kurz na ulicy... dmuchniesz, i nie ma.

Nie wiem, czy te perswazyje pomogły chłopcu, ale przynajmniej już się nie wydzierał do matki, tylko dał się bezwiednie prowadzić, i dopiero gdy zobaczył siedzące na łóżku dziewczynki, rzucił się Zosi na szyję, a łzy rześiste popłynęły mu z oczu.

Stacyjka stróża, jestto rzeczywiście piwnica sklepiona z maleńkiem okienkiem wychodzącym na ulicę; wilgotna, cuchnąca i ciemna, którą to ciemność powiększa jeszcze cień migających się co chwila nóg przechodniów po trotuarze. Prócz rodziny stróża, mieszka tu tymczasowo brat Tomaszowej, kelner z piwiarni, zostający bez obowiązku, jego żona chorująca na febrę, i dwoje skrofulicznych dzieci. Jeżeli kiedy gościnność polska mogła rozszerzyć ściany, to tutaj możnaby ją śmiało zastosować, albowiem literalnie rzecz biorąc, nie było się gdzie obrócić. Co minutę wchodziły tu i wychodziły różne przyjaciółki Tomaszowej, aby zobaczyć, jak też sieroty desperują po matce, tudzież pogawędzić o urządzeniu pogrzebu.

Przekupka owoców, usadziwszy męża drwala za straganem, osoba znakomitych rozmiarów ciała i ponso-

wego koloru twarzy, przyniosła trzy wiązeczki gruszek małgorzatek, a wtykając je w ręce siedzących na łożku dzieci, rozpłakała się na dobre, przypomniawszy, jak to dwa lata temu umarła jej Antosia, któraby już dziś miała ośm lat, miesięcy sześć i dni trzy, rychtyk tyle, co i panna Zosia. Zona listonosza z urodzenia Czeszka, właśnie wczoraj kupiła z mężem w katolickim sklepie nową kanapę i dwa fotele; przyszła więc pochwalić się z tem przed Tomaszową. Zatem co kto odezwie się, jak biedne sieroty dadzą sobie radę bez matki, to ona wyjeżdża od niechcenia, że ta kanapa obita jest materią w pasy, i żeby nie to, że kazała iść mężowi do porządnego składu mebli, żydzi go, jak amen w pacierzu, oszukali... Pani Józeiowa, małżonka karawaniarza, pytlowała znów przy kominie z Tomaszową, jakto jej Józef w przeszłym tygodniu chował jednę hrabinę, a ta hrabina miała popielatą suknię jedwabną z koronkami, z czego wynika, że nikt tak wspaniale nie potrafi urządzić pogrzebu jak jej Józef, ma się rozumieć, podług ceny...

Tomasz siedział na skrzynce trzymając talerz przed sobą z jedzeniem, i zamiast jeść rachował w myśli, co trzeba będzie pieniędzy na pogrzeb. — A że wiadomo, jako nie był tęgi w owym rachunku, więc szósty raz już zaczynał: trumna tyle, a tyle; ksiądz tyle, kara- * wan tyle, światło... i na tem świetle ginęła mu summa ogólna.

Paniczu! — mówi poruszając za rękę płaczącego—niechno panicz weźmie ołówkę.

Ignasz tylko wytrzeszczył na niego załzawione

oczy.

r

— Na to mówiąc, trzeba uczciwie pochować nie- boszkę... Ja kalkuluję, panie, ale jakoś nie idzie.

Na wzmiankę o pogrzebie, wszystkie dzieci wybuchły na nowo głośnym płaczem, a Manusia ocierając łzy fartuszkami, to samo robiła z lalką w przekonaniu, że i ona płakać powinna.

— A możeby zatelegrafować do ciotki?—pyta delikatnie Tomasz, stawiając nad łóżkiem. — Bo widzi panicz, jak Bóg żywy, ta my nie mamy.

*— Ciocia jest za granicą, daleko — odpowiada chłopiec.

— To może do pana oficyna?

— On jedzie z pocztą wagonem —wtrąca żona listonosza.

— Ja tam — mówi przekupka do Tomaszowej — jak umrę, nie zrobię mojemu ambarasu. Mam odłożone na pogrzeb trzydzieści reńskich i powiedziałam, wa- ra-że od nich... Nie ruszę, jak mi Bóg miły, żeby nie- wiedzieć co, nie ruszę...

— Żebyśmy byli nie kupili tej kanapy — dodaje z żalem Czeszka — pożyczylabym Tomaszowi; ale mojemu zachciało się koniecznie... Powiada, musimy wyfro- terować podłogę... Ja mówię, na co to... a on koniecznie froterować i froterować...

W tem miejscu Zosia przypomniała sobie, że ma portmonetkę matki i wydobyła ją z kieszonki...

— Moi państwo — rzecze Tomasz wysypując pieniądze na stół—bądźcie świadkami, co tu jest.

Wszystkie ciekawe głowy nachyliły się ku niemu, a przekupka jako najwprawniejsza do takich rzeczy, obliczyła, że jest reńskich jedenaście i coś drobnymi; Tomasz odetchnął, bo dobre i to na początek; wziął so

bie bowiem za punkt honoru, żeby nieboszce pani uczci- wy pogrzeb wyprawić. Chodził, kręcił, chciał pożyczyć, ale sprawa nie szła tak łatwo. Pana doktora nie zastał w domu, gospodyni ani chciała słyszeć o żadnym datku, komisarz z piętra choć się kurczył, dał coś dwa reńskie, lecz dalej ani rusz. Kum woźny, osoba wyżej edukowana i znająca się na wielu rzeczach, poradził, aby się udać do jednej dobroczynnej hrabiny, która się biedne.- mi opiekuje. Tomasz ubrał się w granatowy surdut i poszedł, a po dwugodzinnem czekaniu na schodach, dowiedział się, gdy wychodziła z książką od nabożeństwa, że stowarzyszenie, w którym hrabina jest prezeso- wą, zajmuje się wyłącznie nawracaniem zbłąkanych dusz młodych penitentek; ponieważ zaś nieboszka Wójcicka była osobą porządnie się prowadzącą, więc pogrzeb jej należy do stowarzyszenia S-go Józefa z Arymatei.

- A czy też umarła po chrześcijańsku?—pyta go już na ulicy.
- Proszę jaśnie pani, tak nagle umarła w nocy, że nikt mb wiedział.
- Bez spowiedzi?
- A jużciż tak.
- W stanie grzechu?
- Ta to była święta osoba, proszę jaśnie pani... Baz uprała mnie, podłemu stróżowi, sześć kołnierzyków własną ręką. Cierpiała biedę taką aż strach pomyśleć, aby -tylko dać edukację chłopcu.
- W takim stanie rzeczy i stowarzyszenie S-go Józefa nic nie pomoże... do Magistratu, mój kochany...- Okropność, jak wy też nie dbacie o zbawienie wieczne... Pozwolić, aby umarła bez świętej spowiedzi... Pamięć

taj człowieku, że na twojem sumieniu będą grzechy tej kobiety...

Nie mógł tego zrozumieć poczciwy Tomasz, dlaczego jej grzechy mają być na jego sumieniu, ale jeżeli tak mówiła hrabina, pomyślał, to może i winien; a skoro winien, to obowiązkiem jego było przynajmniej pochować ją przyzwoicie... Nie namyślając się zatśm długo, zabrał korale żony i swój srebrny zegarek, a zastawiwszy to u żyda, już był spokojny, że choć w części zmaże grzech mimowolny względem nieboszki. — Da Bóg, powiedział sobie, że panna Karolina jak przyjedzie to mi podziękuje; jak będzie miała za co, to te rzeczy wykupi. A nie wykupi, to niech się dzieje wola Boża, nieboszka prała mi kołnierzyki za darmo, będzie jedno za drugie.

Jakoż wszyscy z całej kamienicy dziwili się nazajutrz, gdy kondukt pogrzebowy z dwoma księżmi na czele, z karawanem o dwóch aniołach złożonych i służbą w czarnej liberyi ruszył z przed domu na cmentarz. Nawet znalazł się wieniec świeżych kwiatów[^]iostarczo- ny bezpłatnie przez przekupkę i dwie dorożki jednokonne, w których jechała kulawa Zosia razem z żoną listonosza, ubrana w czarną sukienkę z białymi tasiemkami u dołu.

Deszcz trochę zaczął padać, pomimo to zebrało się dosyć ludzi, i świec dla znajomych nie brakło, pan komisarz zaś szedł piechotą aż na sam cmentarz. Mimo smutku malującego się na poczciwej Tomasza twarzy, widać było, że dumny był ze swojego dzieła, bo dopilnował wszystkiego, a nawet własnymi rękami zatknął dębowy krzyż czarny na mogile. Wracając dorożką z żoną i Ignasiem zacierał ręce...

— Woźny Onufry myślał, że ja sobie rady nie dam mówić do żony — gospodyni kiwała głową, a ja tak postawiłem na swoim. Sama. powiedz, czy na pogrzebie tego traktyernika z pod Raka było lepiej?

Tego samego dnia, późnym wieczorem, pan Antoni dźwigając torbę podróżną wypchaną kilku bochenkami chleba, z nietęgą miną powracał z dworca kolei żelaznej. Nie powiem, żeby ten smutek dało się policzyć na karb przecucia o śmierci pani Wójcickiej, bo rzeczywiście pochodził ztąd, iż przed kolekturą loteryjną na Łyczakowie zobaczył wystawione wcale inne numera, od tych, które postawił.—A byłbym przysiągł—myślał z goryczą, przekładając torbę z ręki do ręki—że siedm- nastka pewna jak amen w pacierzu... Niechże ją dya- bli porwą, jak ona majaczy. Albo te 46 na Brunskiej wyszło, na Linckiej wyszło, a tu jakieś zakazane cyfry... Tfu! nie można i nie można sforsować! Piętnaście tysięcy reńskich, to nie bagatela... mogłem wygrać. Co- by to szkodziło fortunie, żeby raz dopisała człowiekowi... Niech ją pioruny zabijają, szkoda pięciu reńskich i basta! Dobrze mówi Wójcicka, nie graj panie Antoni, tyle lu- * dzi się już zgubiło... Dam pokój... choć, panie dobro- dzieju, jeszcze raz ostatni spróbuję, ale podług swego przecucia... jak Maniusię moję kocham, nikogo nie słu- cham, nikogo się nie radzę...

^ W tem miejscu przypomniawszy sobie Maniusię, rozjaśnił twarz pan oficyał i przyspieszył kroku, wyobrażając sobie, jak ta najmiłsza jego dziecina ucieszy gdy jśj da cały buncik ponsowych koralików, które w Dominikańskich sklepach w Krakowie zakupił...

— Biedna sierota, bez matki... hm... mogłaby mieć matkę i jaką jeszcze matkę z tej Karoliny... Ale, panie dobrodzieju, żeń się tu mając dwa tysiące długów lichwiarskich... trzeba coś na to poradzić... ale jak poradzić?... Cóż, takiej sumy nie zarobisz, na ulicy nie znajdziesz... chyba tylko sforsować cesarsko-królewską loteryę... Nie ma rady! trzeba próbować jeszcze...

W tych myślach wszedłszy do bramy, zdziwił się mocno, że drzwi do mieszkania wdowy były zamknięte; słuchał, kołatał—nikt nie odpowiada; zajrzał do okna: ciemno. Gdzieżby ona poszła u kaduka? czyby do teatru, czy co?—pomyślał, zwracając się do oficyny. Już w sieni spotyka go ze świecą w ręku Tomasz windujący się z piwnicy, ale z tak niefortunnie wydłużoną twarzą, aż zatrzymawszy się przed nim oficyna, pyta: ^

— A co się to stało z Wójcicką, że jej niema?

— A niema...—odpowiada stróż.

— Wiem, że niema, tylko gdzie jest?

— Hm...—mówi drapiąc się w głowę—niedaleko, proszę pana oficyna... na cmentarzu...

— O tej godzinie? Czy i dzieci zabrała z sobą?

— Dzieci są u mnie...

— Pleciesz jak Piekarski na mękach!... cóż się stało?

— Ta to umarła.

— Gdzie, kiedy, jak? — pyta zdziwiony, a włosy na głowie zaczynają mu się podnosić niby druty.

— Umarła nagle i dziś my ją pochowali!

Niepytając o szczegóły, i skacząc po parę schodów naraz, pan Antoni już jest w izdebce stróża. Wszystkie troje dzieci odrazu rzuciły mu się na szyję— on przyciska ich główki do piersi, słowa nie może wy

mówić, a tylko duże łzy, niby ziarnka grochu, padają na ich włosy.

— A to się uwinęła, no! — mruczał. — Żeby mię kto w papę wyrznął, prędzejbym uwierzył.

Kazał sobie opowiedzieć wszystko jak było, lecz nieprędko dojść mógł jakiegoś w tem ładu, bo sześć osób naraz mówiło, poprawiało się wzajemnie i zaprze* czało.

◆ — Było aby za co ją pochować?

— Zostało wszystkiego jedenaście reńskich—mówił stróż z pewną dumą—ale jaki był pogrzeb, to niech się, na to mówiąc, jaka hrabina schowa.

— Za te jedenaście reńskich?

— Ta to, panie, postaraliśmy się... Człowiek ma przecież głowę od tego, i wysztuderował, to tak, to owak...

— No, wiesz co, Tomaszu—odzywa się wstając— miałem cię za większego durnia niż jesteś... a ja widzę, żeś ty dobry człowiek... No, podaj mi rękę.

— Wielmożny panie oficjale — bąka rozczulony i zażenowany stróż nachylając się, aby tę rękę pocałować—tego, jak się nazywa... taka dobra pani...

— Nie całuj, a uściśnij! Prawda, że kiepsko usługujesz, tytuń mój palisz... Czego się czerwienisz, ja wiem że palisz, ale wszystko ci daruję... Masz serce jak się należy.

— Ta to, jak Bóg da — mówi krygując się pociesznie. — Az tym tytuniem, to ja ino kapeczkę, proszę wielmożnego oficjale... jak się rozsypie...

— No, rft), pal, póki ja mam... Ale niechno ja raz trafię terno...

— Możeby z okazji tej śmierci, proszę pana, po-

A. Wilczyński—Tom XIV*

-

6

stawić 33 albo 77 — przerywa Tomasz jako zapalony także gracz loteryjny...

— Nie, ja swój mam rachunek... Więc jak trafię, wieś kupuję i ty Tomaszu jesteś moim ekonomem... Ignasiu, Ignasiu—rzecze zwracając się do szlochającego wciąż chłopca—uszy do góry, cóż? stało się, trzeba być mężczyzną. Szanuj pamięć matki, ale pomyśl, że ta biedna kaleka ma ciebie jednego teraz... Figle studenckie z głowy precz!... do roboty, chłopcze, do nauki, bo cię na wieś nie wezmę, zobaczysz! ^

Z pomocą stróża, który wziął chorą Zosię na rękę, wywindowała się cała kompania na drugie piętro, a pan Antoni wziął się zaraz do przyrządzania kolacyi. Jest-to człowiek nadzwyczaj praktyczny i tak wybredny w robocie, że nikt mu nigdy nie mógł dogodzić. Więc sam zajmuje się wszystkim, samowar nastawia, stół nakrywa, nalewa, cedzi, przyrządza chełpiąc się z tego, że nikt tak zręcznie tych rzeczy nie potrafi jak on. Jedyna to słaba strona jego charakteru, że pasyami lubi się chwalić, że jest praktyczny.

Jak w rękach paliła mu się robota, tak i myśli w głowie biegały niby błyskawice. Przygotowując posłanie dla sierot, w tej samej chwili myślał o tem, gdzie jutro będą jedli obiad, i o tem, jak wydawszy Maniusię za mąż, osiadzie na stare lata przy niej, i będzie sam gotował kawę na maszynie, bo tego nikt nie potrafi.

Zmęczone, spłakane i wygłodzone dzieci, zjadłszy mimo to z apetytem kolacyą, zasnęły prędko. Dziewczyny ulokował obie na swoim łóżku, Ignasiowi kazał się położyć na sofie, a sam zestawiwszy kilka krzeseł siatkowych do siebie, nakrył je dywanem, perswadując sobie, że nie będzie mu gorzej jak w pocztowym wagonie.

— Ot, zrobiła mi figła, panie dobrodzieju, zamiast jednego dziecka mam troje — myślał przewracając się na owych krzesłach.—Co tu z niemi robić bez gospodyni? Nie chciałem się żenić kiedym miał jedno, to teraz będę zmuszony mając troje... to tak jak na tego niedźwiedzia spadnie gałązka... nic, a jak cała gałąź, milczy... Tylko czy zechce Karolina? — Musi chcieć, -przecież to jej siostrzeńcy. Praktyczna z niej kobieta, nie ma co mówić, a choć nie tak jak ja, to zawsze praktyczniejsza od nieboszki. Ha, kupić nie kupić, potargować wolno—napiszę do niej!

"Widocznie, tak było mu pilno projekt ten wprowadzić w wykonanie, że wstał, lampę zapalił, a wydobywszy z biórka zapas papieru i kopert, zaczął medytować nad treścią listu. Najprzód powstała wielka wątpliwość co do tytułu: „Wielmożna panno—źle. Szanowna pani — również źle, boć nie jest starą matroną. Miał zamiar nie dawać wcale napisu — ale to może być niegrzecznie; więc po wielu wahaniach i medytacjach, stanęło na: Łaskawa Pani! Tytuł był, to prawda, lecz dalej ani rusz. Zaczął: „Okropny wypadek... No, na cóż ją straszyć tak z kopyta. Dumał więc, myślał, zaczynał, mazał, aż wreszcie zdawało mu się, że będzie tak dobrze: „Łaskawa Pani! Niezbadane wyroki Opatrzności, niby ten wichur co drzewa do ziemi nachyla— zrobiły mnie ojcem trojga sierot. Siostra, łaskawej pani, pożegnała jakoby na wieki wieków ten świat doczesny dnia 12 Lipca r. b., niewiadomo o której godzinie, bo* umarła nagle w nocy... Jesteśmy wszyscy przybici tym wypadkiem, a ja proszę, żeby się łaskawa pani. bardzo nie martwiła, bo to nic nie pomoże i zdrowiu jój łaskawemu zaszkodzi. Dla tych biednych sierot, ja

już"będę ojcem, to rzecz wiadoma, ale kto im zastąpi matkę? to rzecz niewiadoma... Niech, łaskawa pani, nad tem się namyśli. Mam długi, to prawda, ale i inni moi koledzy żonaci, także mają długi, jednak żyją... Nie ośmieliłbym się pisać do łaskawej :pani, która jesteś niby tą gwiazdą opiekuńczą naszą, §dyby nie ten wypadek. Jestem raptus, trochę może za lekki, ale człowiek praktyczny i niech panna Karolina wierzy, wcale niezły... Pomyślałem sobie już położywszy się na spoczynek, że bez gospodyni i matki dla tych dzieci się nie obejde, bo przecie, pani łaskawa, wie, że trzeba to i owo, a ja muszę z pocztą jeździć dwa razy na tydzień. Więc jakże będzie? Niech pani łaskawa się namyśli i przyjeżdża... na co tu robić ceremonie!... Jestem najniższym i najwierniejszym jej sługą... Antoni, oficjał pocztowy."

Przeczytał głośno i bardzo był zadowolony ze swego dzieła. Szczególniej zachwycił go ten wicher nachylający drzewa do ziemi i gwiazda opiekuńcza. To mi się udało... niech ona nie myśli, że nie potrafię się wyrażać poetycznie, choć służę na poczcie.

List włożył do koperty, adres napisał, ale gdy przyszło wyrazić miejsce gdzie się panna Karolina teraz znajduje, przypomniał sobie, że nieboszka w portmonetce miała kartkę z tym adresem. Budzi tedy Ignasia, pytając co się stało z portmonetką matki. Chłopiec miał ją w kieszeni i oddał. Przerzucając różne notatki, których tam było dosyć, natrafił na kwit pana rządcy domu, opiewający, że czynsz już za przyszły miesiąc z lokalu zapłacono.

— Jakto? dwudziestego dopiero kończy się ten

miesiąc, a tu już zapłacone za sierpień — mówi do Ignasia...

— Bo pan Stanisław sam sobie wziął dziesięć reńskich jak matka umarła i ten kwit włożył...

— A któż mu dał portmonetkę?

— Sam wyjął z pod poduszki mamy, bo nikogo nie było tylko Zosia z Maniusią.

— I to prawda?

— Zosia widziała. Powiedział, że mu się należy, bo nikt mieszkania tak prędko nie najmie.

Zaiskrzyły się oczy pana Antoniego, niby tygrysowi. Mimowoli spojrzął na dziedziniec, a zobaczywszy światło w oknach mieszkania gospodyni, wybiegł trzymając ów kwitek w rękę. Dzwonił dość natarczywie do drzwi, nim mu otworzyła panna Aurelia.

— Czy można się widzieć z mamą? — pyta dość energicznie.

— Mama jest słabą i leży w łóżku — odpowiada, cofając się po za jakiegoś gimnazystę, kuzyna pana Stanisława, który względem panienki odgrywał rolę niby konkurenta.

— Muszę się widzieć z panią... proszę oświadczyć.

Panna przestraszona nieco, wyszła do dalszych pokoi, a nasz oficyał wśród odurzającej woni różnych zapachów, chodził wielkimi krokami po miękkim dywanie. Zamiast gospodyni samej, pokazał się z butną i zagniewaną miną ów pan Stanisław z kilku kartami w rękę.

— A dobrze, że pan tu jesteś! — rzecze wzburzonym głosem Antoni.

•— Zwracam uwagę pana, że to jest niewłaściwym

dobijać się w tak późnej godzinie, do mieszkania chorej osoby, a zatem proszę mówić ciszej.

— Czy to pan ukradłeś z pod poduszki zmarłej Wójcickiej dziesięć guldenów?—mówi jeszcze donioślej-
szym głosem Antoni.

— A to co za napaść?

— Pytam, czy pan wyjąłeś, i ten kwitek włożyłeś?

— Ja, albo co? — odpowiada hardo koncypient adwokacki.

— Więc jesteś złodziej i zbrodniarz! Proszę mi natychmiast oddać te pieniądze... Mieszkanie zapłacone
do 20-go, a dziś mamy 13. Jakiem prawem, pytam pana, pozbawiłeś sieroty ostatniego grosza, tak, że biedny
stróż musiał żebrać o fundusz na pogrzeb?

— Pan mię obrażasz—zawoła, czerwieniąc się cały, pan rządca. — Teosiu, będziesz świadczył — dodaje
- obracając się do owego młodzieńca, który powoli rejte- rował się ku drzwiom.

— No, obrażam do milion dyabłów, boś z pod poduszki trupa wyciągnął te pieniądze!... Oddasz czy nie?

«— A kto upoważnia pana nachodzić mój dom o tej godzinie! — odzywa się stając we drzwiach sama
gospodyni z imponującą miną.

— Sumienie, łaskawa pani i obowiązek, bo jestem opiekunem tych dzieci, które centa nie mają jutro na
śniadanie... Taki rabunek tego faceta jest nikczem- nością...

— Proszę...

— I ja proszę oddać, zaraz, natychmiast, inaczej idę do prokuratora i wytaczam proces karny. Jak pa

ni miałaś sumienie obdzierać biedne dzieci? Dama wielkiego świata, obywatelka. Zamiast przyjść z pomocą, to się zabiera ostatni grosz sierotom...

— Mieszkanie nie było wymówione w swoim czasie—wtrąca chowając się za gospodynię rządu.

— Tak, i stać mi będzie puste—dodaje pani.

— Milcz ty szwindlerze adwokacki! — krzyknie uderzając pięścią w stół — ty pieezeniarzu starych gratów... Hańba sprzedawać się w ten sposób... Piękny z ciebie będzie adwokat...

Zrobiło się pewne zamieszanie w saloniku, pan Antoni występował coraz energiczniej.

— Panie—rzecze wzburzona imość—proszę nas uwolnić, bo zawołam policji.

— A i owszem, ja właśnie tego chcę: zaprowadzimy tego pana, gdzie potrzeba... Mam świadka... umar-
16j wyjął pieniądze...

Pani coś szepnęła do ucha faworytowi, ten się niby zżymał, lecz w końcu wyjąwszy dziesięć reńskich z pugilaresu rzucił je na stół Antoniemu...

— Za pozwoleniem, mój paniczku—rzecze chwytając go oficynał za rękę — tak się tylko psu podaje.

"Wprawdzie nie mam zaszczytu zajmować tak świetnej pozycji opiekuna starej pani, jaką pan zajmujesz... ale gotów jestem w honorowy sposób dać panu wszelką sa- tysfakcję... Pan wiesz, gdzie mieszkam...

— Awanturnik! — dodaje pani z pogardliwym uśmiechem.

— Dziwna rzecz, toż samo mówi o pani jej szanowny małżonek, którego mam zaszczyt być przyjacie-
lem... Ja przynajmniej awanturuję się za sprawą uczciwą... Zegnam.

Gdy powrócił do siebie nasz oficyał, drżał cały z gniewu, lecz z drugiej strony kontent był, że wydarł z gardła tych niegodziwców ową kwotę na pierwsze potrzeby sierot. Kasa jego była pustą, co się zowie, a tu trzeba żywić czworo osób. Nie mógł usnąć do rana, lecz myślał jak tu sobie dać radę, a gdy o godzinie siódmej pojawił się Tomasz, kazał mu sprowadzić żydów handlarzy.

— Muszę graty nieboszki sprowadzić tutaj, bo mieszkanie trzeba oddać; więc nie ma innej rady, jak posprzedawać trochę moich gratów. Sam przyznaj, gdzieby się to wszystko zmieściło razem?...

Poszła więc kanapa, poszła szafa, komoda i wielkie lustro. Bolesnem było patrzeć panu Ailtoniemu, jak te rzeczy wynosili żydzi, albowiem sprawiał je żeniąc się z nieboszką żoną i chronił jako jedyną dla córki pamiątkę.

—• Ha, cóż robić! Swojem mogę dysponować, przecież może kiedyś znowu się wspomogę na kupno innych. Tymczasem obejdziemy się, a na dwa miesiące już mam zapewnione pierwsze potrzeby dla sierot.

y. <

Zostawmy pana oficyała, jak on zajmując się niaóceniem dzieci, gotuje sam obiady, mimo protesta- cyi Tomaszowej, która utrzymuje, że przecie potrafiłaby ugotować rosól i sztukę mięsa. Nawet wyjeżdżając z pocztą zostawia już wszystko przyrządzone na te parę dni Ignasiowi, który ku wielkiej pociesze pana Antoniego okazuje wielkie zdolności do gospodarstwa domo

wego. Co dzień wyglądają wszyscy listu od panny Karoliny, dla której zawsze coś się zostawia z obiadu, aby przyjechawszy niespodzianie, przekonała się, że i mężczyźni nie są takimi niezdarnymi w zarządzie domowym, za jakich mają ich wszystkie kobiety.

Trzeba nam zobaczyć teraz, co też się dzieje z państwem Marcinostwem na bruku miejskim.

Musiało im być bardzo pilno do Lwowa, skoro nie zważając, że to jest lipiec i każdy kto może ucieka na wieś, oni dość hałaśliwie zainstalowali się w nowym mieszkaniu, także na Łyczakowskiej ulicy. Kroplisty pot lał się z twarzy pani Marcinowej, pan Marcin tylko stękał, pychał z gorąca, a swoją drogą chodzili od rana do wieczora po składach i sklepach kompletując obywatelskie swoje urządzenie. Dwaj żydkowie, ciż sami, których widzieliśmy w korytarzu hotelowym, gdy pan Marcin przyjechał szukać mieszkania, stali się całego domu nieodłącznymi opiekunami. Do pokoju nie wpuszczala ich pani, bo walali świeżo wywoskowaną posadzkę, ale niech tylko pokaże się pan Marcin na ulicy, żydkowie zaraz niewiadomo z kąd i jak już są koło niego, i kłaniają się do samej ziemi, i pytają delikatnym głosem o zdrowie pani, panienek, paniczów, a nawet ulubionej suczki państwa zwanej Zolką. Szlachcic nasz, wyprostowany jak struna, z wąsami zakręconymi w pierścionek, idzie z zadartą głową ani się patrząc na żyd- ków, a tylko od czasu do czasu rzuci im jakieś słówko dowcipne, z którego faktorowie uważają za obowiązek śmiać się do rozpuku. W ten sposób otoczony switą kłaniających się żydów, pan Marcin zwracał na siebie uwagę przechodniów; pytano się: a kto to taki, a z kąd, a co za jeden, z czego duma jego rosła... i kontent był,

J

że tak od razu poznano, jako nie jest sobie zwyczajnym człowiekiem jak inni.

Czując dwanaście tysięcy reńskich w biurku, państwo Marcinowie nie żalowali sobie niczego. Mieszkanie umeblowano z komfortem, pani i panienki posprawiły najmodniejsze ubrania, a sam pan codzień wstępował do krawca, który mu w żaden sposób nie mógł w kroju garniturów dogodzić. Skutkiem więc podobnych zajęć i okoliczności, pan Marcin jakoś w tydzień po przybyciu bez żadnych starań, bez patentów—ot tak, samą siłą wypadków, został awansowany na hrabiego. Nobilitację taką rozpoczęli żydzi faktorzy, za nimi poszedł stróż kamieniczny, potem chłopcy odnoszący sprawunki, potem pryncypałowic handlów, a wreszcie dorożkarze hojnie obdarzani tryngieltem.

Ze swej strony pani Marcinowa nie mogła się odchwalić grzeczności i uniżoności kupców po sklepach. Niech tylko gdzie się pokaże na progu, już cały personel służbowy wybiega na jej usługi porzucając zwyczajnych gości. Nawet stary Szmul, rachujący ciągle za kantorkiem, kładzie pióro za ucho, nadziewa okulary i powstaje z ukłonem dla jasnej pani hrabiny, a kupcowa z wielkiego szczęścia, każe z salonu swego przynosić krzesło aksamitem wybite umyślnie dla niej. Za każdą bytnością pani Marcinowej w sklepie, coraz nowsze odkrywano przymioty w charakterze i delikatnym rozumie hrabinśj; a co się tyczy powierzchowności, to już piątego dnia, taż sama kupcowa nie mogła rozróżnić matki hrabiny od córki hrabianki, które podług jej widzenia rzeczy, wyglądają jak dwie rodzone siostry. "W tydzień potem, już brała pannę Jadwigę za matkę, a matkę za pannę.

Nie mogę utrzymać, żeby panią Marcinową gniewały bardzo takie pomyłki. Wprawdzie uśmiechała się niedowierzająco, kiwała głową żartobliwie, słysząc to wszystko, lecz gdy wróciła do domu, przeglądała się uważniej w lustrze, a przy obiedzie rozpowiadała Marcinowi, jaka ją dziś zabawna niespodzianka u Szmulo-wej spotkała.

W katolickich sklepach, nie "wpadli jeszcze na ten pomysł omyłek w rozróżnianiu matki od córki, ale za to co parę słów całowali jej ręce, rączki i rucie, ma się rozumieć słowami. Lwów ma to do siebie charakterystycznego, że z całym zamięłowaniem całuje rączki wszystkim bez wyjątku. Starzy, młodzi, poważne panie i dorastające panienki, służba w handlach i hotelach, pokojówki i kucharki, wszystko tylko całuje rączki tak za- wzięcie, iż wychodząc np. z jakiego sklepu, jeszcze na trotuarze ulicznym gonią cię, czytelniku, owe całowania wygłaszane różnemi głosy i tony.

Dopóki było co kupować i chodzić po magazynach, państwo Marcinowie wcale się nie nudzili; ale gdy te szczęśliwe dni się skończyły i pan Marcin już urządził swój gabinet na wzór gabinetu znajomego dyrektora pewnego banku — poczuł niemiłą próżnię koło siebie.— Wszyscy ich znajomi powyjeżdżali na lato, dzieci miały wakacje, więc nie można się dziwić, jeżeli taki szlachcic przywykły do wiejskiego gospodarstwa na wsi, do swego arendafta, do swojej stajni, stodoły, parobków, a wreszcie kwaśnego mleka, które trzy razy na dzień jadał dla ochłody, nie wiedział co tu z tym czasem zrobić w mieście. Zaczęło go z początku wszystko drażnić: wieczorem nieustanny turkot powozów, budził go parę razy na godzinę; dniem dokuczalo chodzenie po scho-

dach, tupanie na drugim piętrze, a wreszcie katarynki grywające regularnie na dziedzińcu o tej porze, kiedy się w swym gabinecie po obiedzie spać położył... Wypędzał sam, płacił stróżowi, aby artystów takich nie wpuszczano; lecz wszelkie środki podobne nie pomagały, bo wybiwszy się ze snu, już nie mógł później zasnąć, a katarynkarz znowu wypędzony ztąd, lokował się w sąsiednim domu i grał jeszcze zawzięci jej, niż zwykle.

Na ulicy, spacer nie szedł mu lepiej. Irytował go kurz, jak wiadomo sławny na Łyczakowskiej ulicy, irytowało go potrącanie przechodniów, szczególnie żołnierzy, i zahandryczonych między sobą żydów, którzy mimo takiej powagi pana Marcina, nie chcieli ustępować z drogi. Dalej nie mógł znosić zaczepiania kupczyków przed sklepami żydowskimi, którzy poznawszy w nim prowincyoną, z całą natarczywością zapraszali do kramów, wyliczając litanię różnych towarów, a czasem nawet ośmielali się brać go za rękaw surduta. Pan Marcin, formalne bójkę staczał z nimi o to, kłął, wymyślał, odtrącał, mówił głupstwa, co jeszcze bardziej gniewało atakujących żydziaków, i zachęcało do robienia mu na- przekór.

Probał czytać, ale najciekawsze opowiadania sprowadzały mu przeraźliwe ziewania i sen na powieki. Spał więc dwanaście godzin w nocy, w dzień dwie po obiedzie, a mimo to chodził jak odurzony i ziewajmy.

— Mój Marcinie—rzecze raz pani małżonka— weź ty się do jakiej roboty, bo, dalibóg, na śmierć się zaśpisz...

— Ba, weź się, ale do czego?

— Idź gdzie do kasyna, do cukierni, porób zna

jomości... Zardzewiałeś kochanku na wsi, i teraz towarzystwo porządných ludzi jest ci ciężarem. Trzeba się rozruszać i dać się poznać; masz tu kilku kolegów szkolnych, odwiedź ich... Ciotka niedługo przyjedzie, i będzie chciała coś zrobić dla ciebie, a ty pięknie się zarekomendujesz, jak zaczniesz tak ziewać.

— Spotkałem wczoraj Seweryna, znasz go, jest tu jakimś profesorem, i zacząłem z nim rozmowę o moich planach na dyrektorstwo... Mówię ci, zrobił taką dziwną minę, jakbym ja nie potrafił... Ci wszyscy pseudo-uczni, to wielkie rzeczy z siebie lubią robić. Powiada, twoje pomysły o żydach nie są nowe i zakrawają na Waleńrodyzm... Sama powiedz, czy rzeczywiście mówił mi kto o tem, aby żydów uszlachcić? Jest-to myśl moja... zarozumialec, sądzi, że nikt nie potrafi nic nowego odkryć, tylko oni... Nie cierpię tych nadętych pyszałków... I takim-to ludziom u nas oddają ster władzy...

Jednakże skutkiem takich uwag małżonki, pan Marcin omijając już żydowskie ulice, zaczął się puszczać samopas po mieście, ułożył sobie następujący planik wycieczek. Najprzód obchodził wszystkie hotele i czytał nazwiska przyjezdnych, czy tam kto z jego stron nie przybył. Potem szedł przypatrywać się wystawom sklepowym, obserwował, gdzie co nowego za oknem ustawiono, a przytem oceniał wdzięki mijających go elegantek, którym dość natarczywie zaglądał w oczy. Widocznie z nudów szukał guza. Wędrując sobie wolno po halickiej ulicy, dochodził do rynku. Po rogach odczytywał wszystkie anonsy i afisze teatralne, notował gdzie tańsze jest masło, lub prowadzą się jakieś wyprzedaje sklepów, aby o tem odkryciu uwiadomić małżonkę; wreszcie puszczał się na środek między przekup

ki, pytał o ceny drobiu i irytował się gdy mu powiedziano, że zabita kura, bez pierza, kosztuje reńskiego, skoro u niego na wsi, żona mogła kupić ile chciała po dwadzieścia centów. Lecz najbardziej oburzało go zdzierstwo za chrzan, którego on u siebie na wsi nie mógł z ogrodów wyplenić, a tu żądają dwa centy za korzonek, i okoliczność ta zaraz nasunęła mu projekt hodowli tego produktu na obszerną skalę, nad czym prze-myślał cały wieczór, obliczając wydajność z morga i kosztu produkcji. Ze studyów takich wypadło, że chrzan jest najkorzystniejszym płodem ziemi w Gali- cyi,—uszcześliwiony tedy podobnem odkryciem dającym 100 reńskich czystego zysku z morga, postanowił rzecz tę szeroko opisać w gazetach.

Jednak najprzyjemniejszym miejscem jego wycieczek była targowica na zboże i konie. Gdy spostrzegł furmanki napełnione workami, ekonomów z sumiastym wąsem i pejsatych faktorów uwijających się między furmami, aż mu się oczy zaświeciły z radości. Żydzi poznawszy w nim od razu obywatela ziemskiego, otoczyli go kołem dopytując się co ma do sprzedania i ofiarując swoje usługi. Nie zdradzając swej emerytalnej obywatelskiej sytuacji, pan Marcin trzymał się jak wprawny gracz między nimi; oglądał próbki, pytał o ceny, uśmiechał się, głową kiwał, udając, że ma coś do sprzedania, ale chce wysondować sytuację i doczekać się cen lepszych. Za to na targowicy końskiej już nie mógł wytrzymać, bo zobaczywszy dorodnego łyska z białą pę- cina na trzech nogach, o mało, że go nie kupił. Kazał przepiędzać tego konia, obejrzał nogi i zęby, obmacał, w oczy zajrzał, a gdy mu powiedziano, że cenę się trzysta reńskich, — już chwycił za pugilares, aby kupić,

w przekonaniu, że to jest za pół darmo. Szczęściem, że nie można było na całym targu odszukać do tego łyśka pary, i to na razie uratowało jego kieszeń.

Powracając z takiej wyprawy do domu, cały był wzburzony tym koniem, który jak raz pasował do czwórki posiadanej kiedyś przed sześciu laty, a którą pozbył się dlatego, że jeden koń nie był maścisty do trzech pozostałych.

— To-ci los, panie kochany—myślał wchodząc do cukierni na wódkę,—jak było trzeba wtenczas, to cały rok szukał i zjeździł wszystkie jarmarki na dziesięć mil wkoło, a nie znalazłem. Teraz kiedy nie potrzeba, to sam ci lezie w rękę. Urznij kacie, bestya takuteńka, jak moja trójka. Kupiłbym, panie, choć nie potrzebny, ale gdzie tu w mieście trzymać konie? Dla dobra dzieci człowiek wszystkiego musi się wyrzec. Oj, te dzieci, te dzieci, żeby one chociaż umiały ocenić kiedyś, co się to dla nich robi.

W cukierni zmęczony pan Marcin kazał sobie nalać kieliszek wódki. Trzeba zdarzenia, że jakiś jegomość średniego wzrostu, brunet, z czarnymi, niespokojnie latającymi oczyma, z wyrazistymi rysami twarzy i zakłęśniętymi z boku policzkami, także zażądał wódki, a usługujący postawił oba kieliszki na jedynj tacy.

— No, trąćmy się panie kochany—odzywa się ten brunet—skoro nas tak postawiono przy sobie.

— Zgoda, trąćmy się—odpowiedział pan Marcin ujęty tego rodzaju inwitacją.

I brząknąwszy kieliszkiem o kieliszek, wychylili je do dna.

— Niechże wiem przynajmniej, z kim miałem ten

zaszczyt — mówi ów brunet, pakując kremowe ciastko do ust.

— Marcin Z... obywatel z Sanockiego. Sprowadziłem się dwa tygodnie temu do Lwowa dla edukacji dzieci.

— Słusznie, bardzo słusznie — przyszłość dzieci jest przyszłością kraju, panie kochany, to pierwszy obowiązek obywatela.

— Az kimże mam honor?...

— Stefan Kulbaka Ogrodnicki...

— Także obywatel?

— Były, panie kochany, ale szlachcic z krwi i ducha. Jestem dyrektorem banku publicznego kredytu...

No, jeszcze jedno ciastko, bardzo proszę — mówi dyrektor zapraszając pana Marcina i wyjmując portmonetkę aby zapłacić.

— Bardzo proszę kochanego pana, ja płacę—przerywa pan Marcin chwytając go za rękę—boja pierwszy proponowałem...

— Przepraszam, ja prosiłem aby się trącić...

— No, skoro tak, to wie pan kochany, wypijmy po drugim.

— Dobrze, ale ja także płacę...

— Nie, ja płacę... Jak Boga kocham, inaczej nie wypiję.

Nałano znów dwa kieliszki tej samej żółtej Osman-ki, lecz żaden z nich nie chciał ustąpić. Dyrektor jednak był tyle arbitralnym i natarczywym, że pocałowawszy w ramię pana Marcina postawił na swoim.

— Zamawiam sobie tylko łaskę pana dyrektora dobrodzieja na jutro...

— A i owszem, ja tu zawsze jestem o dwunastej...

"Wypili znowu, przekąsili ciastkiem, ażeby śniadanie było kompletnem; dyrektor poczęstował pana Marcina cygarem i zaprosił go do kiszki, bo w sklepie palić nie wolno.

Kiszka jest to wązki i długi pokój, będący tuż obok sklepu i ciągnący się przez całą szerokość domu od ulicy do podwórza. Gdy weszli do owej kiszki nasi nowi znajomi, było tam już kilku mężczyzn siedzących przy marmurowych stolikach i rozmawiających z sobą dość hałaśliwie. Dyrektor znał się ze wszystkimi i każdemu podawał rękę na przywitanie. Usiedli pod oknem przy okrągłym stole, przy którym jakiś krępy i rumiany jegomość w okularach męczył gazetę, a mianowicie ostatnią jej stronicę inseratową... Pan dyrektor przedstawił pana Marcina temu panu.

— Ostrzegam, trzymaj się pan zdaleka od pana Józefa — mówi wymieniając jego nazwisko. — Jest-to dawny dziennikarz, demagog, a języczek ma cięty jak dobrze wyostrzony scyzoryk.

— Nazwisko pana dobrodzieja, Hudobiński—rzecze zajmując miejsce obok pan Marcin — także szlachemie. Znałem Hudobińskich w Jasielskim.

■— Ja jestem z Królestwa — odpowiada jegomość w okularach, przyglądając się ciekawie, postawie pana Marcina.

— To nic, panie kochany, ale szlachta zawsze jedna rodzina, czy tu, czy tam...

— Może być...

— Nie, nie, pan Kajetan już wyparł się naszego stanu... zaciekły obrońca ludu.

— Bardzo się cieszę słysząc to — rzecze z powagą nasz Marcin — bo rzeczywiście nasz chłop potrzebuje

A. Wilczyński —Tom XIV.

opieki. Książd z niego ciągnie, żyd ciągnie, sąd ciągnie, gmina ciągnie...

— A szlachcic nie? — pyta Hudobiński zwracając oczy na pana Marcina, a choć okulary zasłaniają trochę te oczy, to jednak dostrzedz można w nich pewien figlarny uśmiech. — Niech pan tu szlachty nie wyłącza, bo i ona doi czy tam ciągnie. "Widzę, że pan dobrodzieju jesteś lepszy w tym względzie, skoro o nich myślisz.

— Tak panie, bo ja jestem postępowy, ale rozsądnie postępowy. Idę z postępem nie zrywając z tradycją, idę, idę.

— Rozumiem, pan jesteś Stańczykiem, hę?—przerywa Hudobiński, bawiąc się zapalem szlachcica, który całą tę rozmowę bierze na seryo.

Mimo swej niezwykle sztywnej powierzchowności i nadanej sobie powagi, pan Marcin przy każdej dyspuście szerszego zakresu, mimowoli się gorączkuje, a wtedy cała fizygnomia jego i dobrze już wystający brzuszek, nabierają pewnej niecierpliwiejszej się ruchliwości.

— Za pozwoleniem, nie skończyłem — mówi kładąc rękę na gazecie, którą Hudobiński czytał. — Powiedziałem, idę z postępem, idę panie dobrodzieju, dopóki ten postęp trzyma z tradycją i rozsądkiem; ale niech tylko dostrzegę że zaczyna brykać, staję, i wtedy jestem Stańczykiem.

— Przepysznie kochany pan określiłeś naszą sytuacją — mówi dyrektor zacierając ręce i klepiąc pana Marcina poufale po ramieniu. — Ja tak samo jako szlachcic postępowy idę naprzód.

— Naturalnie, ze swoim bankiem—dorzucą śmie

jąc się Hudobiński — z którym lepiejby było, żebyście stanęli.

•— Nie kpij, panie Józefie, z naszego banku. Ośmnaście tysięcy członków, to, panie, siła! Zobaczysz jak przyjdą wybory, a nasze ośmnaście tysięcy członków stanie jak jeden mąż...

— Goły — dorzucą jakiś jegomość z pod pieca.

Pana Marcina widocznie uderza ta cyfra ośmna-
stu tysięcy członków, a choć nie wie jeszcze, co to za bank i do czego służy, to jednak spogląda z pewną estymą na dyrektora.

Hudobińskiego odwołał ktoś na stronę, więc pan dyrektor wzięwszy szlachcica pod rękę, zaczyna się z nim przechadzać po owej kiszce.

— Jak-to, pan kochany nic nie słyszałeś o naszym banku? A z kąd-że pan przyjeżdżasz? z Ameryki?

— Z Sanockiego—

— No, to my tam mamy naszego agenta, co, nie znasz go pan? — Wiercikowski, głowa tęga...

— Nie słyszałem.

— Bank publicznego kredytu, panie kochany, musi zabić wszystkie instytucje kredytowe. Każdy dłużnik nasz jest akcjonariuszem z nieograniczoną poręką. Co zapłaci procentu jako dłużnik od wziętej pożyczki, bank zwróci mu go dywidendą.

— Chyba na Józefata dolinie — wtrąca znów chudy, wysoki z wymokłą twarzą i na sposób angielski zaczesanymi włosami mężczyzna. — Mimo, że to jest Lipiec, jegomość ów stoi przy piecu, a trzymając w jednej ręce gazetę Figaro, drugą chowa po-za plecami. Pana Marcina uderza ta niezwykle wysoka i chuda postać, w tej chwili tak dziwacznie pozginana, że przypo

mina bardzo składany łokieć ciesielski, który ktoś niezupełnie otworzył.

— Znacie się panowie? — pyta dyrektor zatrzymując się przed bladym jegomością.

— Nie mam zaszczytu — mówi pan Marcin mierząc zdziwionym okiem kościanego dziadka.

— Alfons Przyjemski, inżynier jego sułtańskiej mości, inaczej zwany Efendim.

— Kiepski inżynier — mówi zaczepiony wyjmując z za siebie zimną jak lód, kościstą rękę, którą bez żadnych oznak uprzejmości podaje panu Marcinowi. — Właśnie czytam tutaj, że most, który budowałem, zawalił się z całym pociągiem kolejowym...

— I pan to mówisz tak obojętnie?

— Dziwię się, że stał tak długo; dawno się już powinien był zawalić — odpowiada inżynier.

— Ostrzegam pana dobrodzieja — rzecze wesoło dyrektor — że to jest człowiek ryba.

— Tylko nie do szlacheckiego niewodu — mówi na to trochę nosowym głosem, mającym wiele podobieństwa do skrzypu liry ukraińskiej.

— Czy i pan dobrodziej także nieprzyjaciel szlachty?

— Nie, szanowny effendi. Podług mnie cała szlachta dziś jest tak wielkie zero, taki wytarty szeląg, że nie uważam za potrzebne oświadczyć się dla niej z przyjaźnią lub nieprzyjaźnią.

A to jakieś zajadłe demagogi tutaj — pomyślał sobie pan Marcin, czując że krew mu nabiega do twarzy.

— Ale nic mu pan nie wierz — przerywa dyrektor

ktor — pozuje na derwisza, a swoją drogą, panie kochany, to taki szlachcic z krwi i kości, jak my oba...

— Były — odpowiada ziewając pan Alfons — ale jak się przekonałem, że szlachta do niczego, wypisałem się z tej kasty.

Pan Hudobiński, który znów* wrócił do czytania swej gazety, zaczął dawać jakieś tajemne znaki inżynierowi, który z coraz większym sarkazmem wygadywał dalej na szlachtę.

— A cóż panowie, u Boga! — zawoła już na dobre zaperzony nasz Marcin — chcecie od tej biednej szlachty! Widzę, że w tej sprawie łączycie się kompletnie z nieprzyjaciółmi naszymi. A któż to ponosi wszystkie ciężary kraju jak nie szlachta? Kto pracuje od tyłu wie? ków na tej roli w pocie czoła i znoju?

— To też odpocznijcie sobie trochę i nie pracujcie — odpowiada tym samym monotonnym głosem inżynier, wyjmując papierosa.

— Wyborny pan jesteś! — krzyknie, na tych żartach nie poznając się nasz obywatel — a któż będzie za nas robił?

— Hm, już my się postaramy o zastępców... Nie kłopotcie sobie tem głowy panowie, odpoczywajcie z Bogiem.

Pan Marcin się zapalił i nm? przekonywać, że się myli w swoich zapatrywaniach i nie zna położenia kraju. Rozwijając-z całą energią teorię o nierówności stanów i powołując się na powagę i słowa nieboszczyka swego ojca, powtórzył im to wszystko, co kiedyś wykladał na wsi pannie Karolinie, o tym bracie, który poszedł do wojska, o powszechnem prześladowaniu szlachty, a wreszcie o tem, że on podług przepowiedni nieboszczy

ka, przeznaczony jest na restauratora głupstw jakie poprzednicy nasi porobili.

Rozmowa szła bardzo żywo, szlachcic się unosił, otaczający go kontrolowali co chwila, a tych otaczających zbierała się coraz liczniejsza i weselsza gromadka. Pan Marcin ani przeczuwał, że dostał się w grono znanych we Lwowie żartownisiów, owych literatów humorystów, majstrów dziennikarskich, czeladników i terminatorów, którym jak wiadomo, język chodzi niby na kołowrocie, i dla których taki prowincjonalny facet obywatelski jest kąskiem nielada do żartów. I dwóch tylko z tej gromadki, niewiadomo czy szczerze czy nieszczerze, ale brali ciągle udział w obronie szlachcica, łagodząc zbyt energiczne wyrażenia jego i zbyt dokuczliwe zarzuty przyjaciół: jeden dyrektor banku publicznego kredytu, a drugi przysadzisty i gruby jak baryła jegomość, nazywający się w skróceniu Franciszek Ksawery na Miłoszynie Miłosz. Wśród tej wymokłej i wyłysiałej chudziźny literackiej, otaczającej naszego szlachcica, pan Miłosz z ogromną i jak u rekruta, wystrzyżoną głową, krzepko trzymającą się na tłustym karku, wygląda strasznie zawadyacko, jakby go kto żywcem zdjął ze starego portretu szlachcica słodkiej pamięci czasów Augusta II.

Mimo swej tuszy i ciężkiego oddechu, pan Miłosz jest bardzo ruchliwą osobistością, a kiedy olbrzymią rękę swoją położy na ramieniu kręcącego się tu i tam blondyna po owej kiszce, to widać, że ciężyc musi ona mu dyabelnie. Do osobliwszej charakterystyki tego męża trzeba jeszcze to dodać, że ma dwa nosy, — nie tak jeden koło drugiego, jak znany w Warszawie za dawnych czasów, ów lichwiarz Zwejnos, ale jeden nos sie

dzący na drugim w pozycji amazonki na koniu. Pan Miłosz przyszedł już do cukierni mocno zirytowany: ów blondyn, wydawca pisma dla młodzieży, wydrukował wczoraj artykuł treści historycznej, podług którego miał jakiś Miłosz, w dwunastym wieku, zadusić pewną, księżniczkę w celu przypodobania się mężowi tejże księżniczki, której nie lubił, ma się rozumieć nie Miłosz, lecz księżę małżonek.

— To jest łajdactwo, uważacie!—woła pan Franciszek Ksawery z Miłoszowa — to jest profanacja naszego rodu...

— Przepraszam pana — tłumaczy się napadnięty redaktor z binoklem, od którego wisząca tasiemka ciągle mu się do ust pakuje...

— Żadnych przeproszać, uważacie, tu jest obraza całego rodu Miłoszów... a ród ten czysty jak szkło... to jest oszczerstwo, za które jaw imieniu wszystkich Miłoszów muszę się upomnieć. Słuchajcie, wy sobie nie bierzcie tego tak lekko. Miłoszów stanie pięciu z wami do rozprawy. Co to jest napisać, że Miłosz był dusicielem...

Na chwilę przerwała się dysputa pana Marcina z inżynierem, a wszyscy zwrócili uwagę na spór Miłosza z blondynem.

— Co mnie pan będziesz straszył! — mówi napadnięty — ja wam wskażę źródła historyczne...

— B[^]każcie, pokażcie!... Ja już chodziłem wczoraj do różnych bibliotek, przewertowałem kroniki z tych czasów, pytałem ludzi znających te rzeczy dokładnie i przekonałem się, że to jest kłamstwo! Żadnych faktów nie ma...

— Otóż, żeby pana przekonać — recytuje zakło

potany tem wydawca i redaktor „Porządnego młodzieńca” — to najprzód powiem panu, jeżeli o tem nie wiesz, że w dwunastym wieku nie używano jeszcze nazwisk, a tylko imiona. Zatem mój Miłosz, który dusił księżniczkę jest imieniem chrzestnem, a nie nazwiskiem...

— Co wy mi gadacie, ja lepiej wiem, od kogo pochodzę! — krzyczy gruby jegomość siadając na krześle — dowodów, dowodów!

— Chcecie dowodów, macie! — rzeczce wyjmując z bocznej kieszeni paltota położył już numer jakiegoś pisma dla dzieci, wydawanego przed piętnastu laty, z którego właśnie żywcem artykuł o Miłoszu w „Porządnym młodzieńcu” był przedrukowany.

— Co mi to za dokument!... — rzeczce odsuwając papier od siebie. — Dajcie kroniki współczesne!...

— Ależ ja powtórzyłem tylko... co inni...

— Nie powtarzajcie, nie powtarzajcie głupstw cudzych, kiedy się na tem nie znacie. Albo odwołajcie tę kalumnię rzuconą na Miłoszów, albo, panie dobrodzieju, będziecie mieli do czynienia, ze wszystkimi Miłoszami... Ja dziś zaraz piszę do pułkownika, że jego imię czyste jak szkło w historyi, zostało shańbione.

Spór ten między dwoma zapaśnikami coraz bar- dziej się zaostrzał, pan Marcin tylko wytrzeszczał oczy, nie mogąc pojąć, o co im właściwie chodzi, a gdy go pan dyrektor banku wyprowadził na ulicę, jeszcze przez okno dolatywały go słowa obydwóch przeciwników.

— Nie odwołam!

•— Odwołacie.

— Owóż nie odwołam...

— Musicie odwołać! Ho, ho, pułkownik nie żartuje... Daję wam słowo uczciwości, będziecie mieli do

czynienia z siedmiu Miłozami. (Czynię tu uwagę, że do pięciu, którymi groził pan Miłoz wydawcy, już do tego czasu przybyło dwóch).

— Ależ-to ludzie gorącego temperamentu — odzywa się pan Marcin do dyrektora, kiedy się znaleźli na wałach Hetmańskich — ostro idzie.

— Bądź pan spokojny, krzywdy oni sobie nie zrobią. Zwyczajnie jak między literatami. A z nimi, panie kochany, trzeba być dobrze, raz, że prasa, panie, odgrywa u nas ważną rolę, powtóre, że to są ludzie bardzo przyjemni i dowcipni. Ja ich znam doskonale, i nie trzeba ich brać za to czem się okazują: zwyczajnie dyskutują.

Szli aleją rozmawiając o rzeczach publicznych, dyrektor widocznie zainteresował się szlachcicem, bo zaczął go wypytywać jak mu się Lwów podoba.

— Nudno tu u was.

— Niech-no się pan dobrodziej rozejrzy, do miasta trzeba się przyzwyczać...

— Trudna rada, jeszcze się przyzwyczaję, bo dla dobra dzieci, czegoż człowiek nie zrobi.

I w tem miejscu pan Marcin jako z charakteru gaduła, gotów najcięższy grzech śmiertelny na siebie wypowiedzieć, wywnętrzył się przed panem dyrektorem z całą historią swego żywota, nie przepuszczając i tój okoliczności, że z dwunastoma tysiącami reńskich przyjechał do Lwowa*

— Dobrze pan zrobiłeś—mówi na to dyrektor— żeś się sprowadził do miasta. Co dziś na wsi? nędza z biedą w parze idą; kochany pan uważa, tutaj jakoś łatwiej, co uchwycić odpowiedniego... Niech-no pan odda się pod naszą opiekę, a my pana wykierujemy. Nam

właśnie takich ludzi potrzeba. Chcesz pan, zrobimy go posłem? Jak Boga Kocham, u nas to nic nie znaczy, dysponujemy ośmnastu tysiącami głosów.

— Hm, żeby bez wielkich zachodów... Uważa pan dyrektor dobrodziej, ja mam strasznie twarde kark szlachecki. Prosić... tego, kłaniać się, ubiegać, nie potrafię.

— Bagatela, tego tu nie potrzeba. Panie mój, jak ja słówko pisnę agentom naszym, popierajcie tego a tego... będą forsować na gwałt... U mnie jest rygor; ja żadnych umizgów, od razu z góry za łeb i rzecz skończona. Z naszą szlachtą, panie, inaczej nie można. Zaczynaj im tylko przekładać, prosić, perswadować, to zaraz wystąpią z tysiącami ale; będą się namyślać, kombinować, radzić... Najlepiej raz, dwa, trzy, dawaj, głosuj, podpisuj i rzecz skończona... Energii nam potrzeba, energii, a mnie o brak energii nikt nie posądzi.

Dyrektorowi wypadło wstąpić do banku, koło którego właśnie przechodzili, zaprosił więc pana Marcina, aby raczył zobaczyć jego biura. Po froterowanych schodach założonych dywanikiem weszli oni na pierwsze piętro. W przedpokoju zaraz ogromny drągał ubrany w surdut liberyjny z amarantowym kołnierzem, zerwał się na ich przyjęcie i stanął frontem jak żołnierz. W pierwszym pokoju przeznaczonym dla publiczności, pracowało kilku urzędników w zakratowanym przepierzeniu. Tu była kasa z marmurowym blatem i mokrą gąbką na spodeczku, tu likwidatura, tu zastaw papierów, tu wykupno, tam wypłata, a w kącie przyjmowanie wkładek. Przechodzącego dyrektora witano wszędzie powstaniem z krzesła, on zaś każdego z urzędników o coś zapytał, temu dał informację, innego ofuknął,

i w ogóle widać było, że jest tu samowładnym panem i energicznym zwierzchnikiem. Przeszedłszy jeden jeszcze pokój zajęty przez buchalterów jeżdżących na drewnianych koniach przed wielkimi księgami, weszli nareszcie do gabinetu samego dyrektora.

Przeprosiwszy pana Marcina, że musi przez chwilę załatwić bieżącą korespondencję, podał drogie zagraniczne cygaro, sam zapalił świecę, a wskazawszy leżący na stole dziennik angielski, mało co mniejszy od zwykłego obrusa, wziął się do nożyczek. Błyszczący ten instrument tylko się migał i zgrzytał w ręku pana dyrektora przy rozcinaniu kopert listowych, a małe i bystre oczki jego latały po wierszach szukając tylko cyfr, grających w tego rodzaju korespondencyach najważniejszą rolę.

W dwie minuty przerzucił tych listów kilkanaście, lecz przy jednym zatrzymał się dłużej i zadzwonił. Zjawił się młody jeszcze, małego wzrostu, rumiany i okrągły jak jabłuszko sekretarz.

— Odpisz pan na to Rotszyldowi, że jest dureń!

— Ależ panie dyrektorze—robi uwagę sekretarz, przykładając podane sobie pismo do oczu — to nie wypada, kurtoazya handlowa...

— Co on sobie myśli, że my jesteśmy bankruty, czy co! Wielka łaska, chce nasze listy brać po dziewięćdziesiąt dwa. Jemu się zdaje, że jak zażąda za dwa- kroć sto tysięcy* to zaraz wyskoczmy z ofertą... Alpari, ani centa mniej, tylko alpari...

Pan sekretarz, który prócz krótkiego wzrostu obdarzony jest chronicznym katarem, z powodu czego mały zadarty jego nosek wygląda jak pomidor, wyjął chustkę z kieszeni i zaczął przymusowo kaszlać...

— Proszę pana dyrektora — szepcze odprowadzając go ku oknu—on proponuje kupno za milion, a to, co żąda, ma być pierwszą seryą za dwakroć.

— Nie ma z czego robić sekretu przed tym panem — odpowiada dyrektor głośno pokazując na pana Marcina — milion dla nas nie jest żadną łaską, a obe- drżyć Towarzystwa nie dam. Proszę posłać Ezenber- gowi do Hamburga — mówi dalej czytając list następny i wykluwając zęby piórkiem — czterdzieści dwa tysiące. Najlepiej przekazem na Berlin. Napisz mu pan, że zniżamy eskont na pięć, nie... lepiej na cztery i pół... kasa pełna z pieniędzmi nie ma co robić...

Sekretarz odebrał z rąk dyrektora ten papier, i ołówkiem coś na nim zanotował.

— Ten osieł z Kołomyi, sądzi, że my tu bawić się będziemy w drobnostki — rzecz składając nowy list na biurku. — Chwali się, że wynalazł komitenta, jakieś podupadłe hrabiątko, które chce wziąć raptem dwanaście tysięcy pożyczki... Więcej zachodu, niż sama rzecz warta... Sam mu odpiszę. Telegrafowaliście do Wiednia?

— Już jest odpowiedź.

— Jaka?

— Donoszą, że najdalej za dwa tygodnie nasze listy wprowadzone będą na giełdę. Warunki poda listem...

— Doskonale! — rzecz dyrektor zacierając ręce — możemy kpić ze wszystkich Kotszyldów et tutti quanti. Już panie dobrodzieju, czego ja nie zrobię, to nikt nie zrobi. A jak jeszcze przeprowadzimy wypłatę na złoto, listy pójdą wyżej pari.

Pan Marcin, który tyle się rozumiał na tem

wszystkiem, co na angielszczyźnie gazety trzymanej w ręku, nie opuścił jednak ani jednego wyrazu z konferencji dyrektora z sekretarzem. Rotszyld, Hamburg, Berlin, notowanie, hrabiątko, dwanaście tysięcy, to bagatela, kasy pełne... obudziły niezmiernie poważanie i szacunek dla dyrektora.

— Obrotna bestya — myślał sobie — nie żyd, ale prosty szlachcic, a jaki zdolny... I gadają na szlachtę... Jak to jemu idzie wszystko gładko, niech go dyabli wezmą. Komenderuje ci, jak generał... Kazać Rotszyldowi napisać, że dureń... to odwaga prawdziwie polska.

Skończyła się konferencja z sekretarzem, gdy w sąsiedniej sali sesyjnej, od której drzwi były otwarte, pokazał się małego wzrostu, niemłody już, bo łysy, o twarzy pociągłej z jasno-blond zarostem mężczyzna. Starowina ten, poprawiając obu rękami spadające mu kosmyki włosów z łysiny, szedł z nieco napuszczoną miną do fotelu stojącego w honorowej stronie stołu, szedł i trąbił w fularową chustkę z taką zawziętością, że twarz jego z natury już samój różowa, przy wysiłkach takich nabierała sinawego koloru. Miał na sobie czarny tużurek z krótkim stanem, jak to dawniej była moda, aksamitną kolorową w kraty kamizelkę, gruby łańcuch od zegarka z brelokami i parę błyszczących pierścieni % palcach, wśród których wyróżniał się jeden z pieczętą wyrżniętą na krwawniku.

— Zapoznam was z naszym prezesem Rady nadzorczej — mówi dyrektor puszczając przed siebie pana Marcina.—Pocziwy sobie staruszek — dodaje ciszej — wzięliśmy go dla firmy, bo ma pieniądze, choć w głowie nietęgo.

&

Sala radna banku jest dosyć obszerną i ma balkon wychodzący na ulicę, na którym pan prezes lubi się często przechadzać. Wielki stół nakryty zielonym sukniem i otoczony fotelami, przygotowany jest do posiedzenia, albowiem w sześciu miejscach bieleją arkusze czystego papieru, a koło nich kilka ołówków.

Dyrektor poznał panów. Prezes rady poczęstował za to obydwóch tabaką.

— Panie b dzieju, włoska, prawdziwie włoska.

— Kasz prezes kilka dni temu wrócił z Rzymu — dodaje poufale dyrektor biorąc go za oba rękawy — święty człowiek, widział Ojca Świętego.

— Na osobnej auclencyi panie b dzieju — dodaje z przyciskiem prezes. — Moja żona koniecznie się uparła, panie b dzieju, żeby na osobnej, a jak się kobiecie czego zachce, panie b dzieju, to nie wyperswadujesz... Ale, panie b dzieju, nie żałuję tego. Mówił tak ślicznie, powiadam panu b dziejowi, choćbyś sto lat żył jeszcze, nieusły- szysz coś podobnego. Amicio Polaco, panie b dzieju... Powaga, panie b dzieju, choć jak gołębiczek, panie... Oblicze patriarchy, a sygnet na palcu, panie b dzieju, większy jak mój... Nie żałuję, panie b dzieju.

— A nic pan prezes nie mówi o tem hrabiostwie. Rekomenduję panu dobrodziejowi — rzecze dyrektor, obracając się do pana Marcina — przyszły hrabia; tak, tak...

— Bóg to święty wiedzieć raczy — odpowiada spuszcżając oczy ze skromną miną pan prezes... — Gadają ludzie, panie b dzieju, ale na co mi to. Ojciec Święty podobno łaskaw, tego... dzieci, nie mam, panie b dzieju.

W trakcie tej rozmowy wszedł znowu drugi człó

nek rady banku, osoba krępa, ruchliwa, z siwemi już i krótko przystrzyżonemi włosami. Wszedł prędko cały zaaferowany, a za nim jeden żyd w ubraniu dawnej daty, z aksamitną, jarmułką na głowie, i drugi małego wzrostu, już cywilizowany. Skinąwszy przelotnie głową znajdującym się w sali panom, nowo-przybyły przyciągnął ze środka stołu na brzeg wielki sesyjony kałamarz, i rozmawiając wciąż z żydami pół głosem po niemiecku, podpisał jakiś papier.

— O trzeciej godzinie w hotelu, punkt o trzeciej — mówi oddając ten papier wyższemu żydowi.

— Ny, jaśnie panie, to za późno...

— Nie mogę, jak honor kocham, wcześniej nie mogę. Punkt trzecia, w hotelu Żorża. Przyjdziecie pięć minut później, już mnie nie będzie... Interesów więcej mam, niż włosów na głowie.

Żydzi wzięli papier i wyszli, a ów ruchliwy jegomość, zacierając ręce, jak człowiek nadzwyczaj z siebie zadowolony, zbliżył się do prezesa i dyrektora.

— Zrobiłem dziś dwa grube interesa, moi panowie, ale to, panie dobrodzieju, milionowe interesa!

— Dyrektor przedstawił nowo przybyłemu pana Marcina, jako swojego przyjaciela.

— A bardzo mi przyjemnie, bardzo — odpowiada pan Gaweł, bo tak nazwiemy nowo-przybyłego członka banku, ściskając ręce pana Marcina i wstrząsając niemi z całą serdecznością.

— Pan radca zawsze szczęśliwy, panie bdzieju — mówi prezes podając mu tabakierkę...

— Gdzie-tam, daję słowo honoru, ani dbam, ani staram się o to... samo to jakoś lezie. Wiecie panowie, przed chwilą kupiłem* las, i sprzedałem z niego drzewo.

do Francji. Pojutrze jadę do Paryża, a ztamtąd zapewne wpadnę do Aten i na Kretę.

— Jedź na Kretę, jedź na Kretę! — powtarza śmiejąc się prezes, przypomniawszy sobie „Piękną Helenę.”

— Drobnostka, czterdzieści tysięcy sztuk dębów, po ośm reńskich. Przyznacie, że to prawie za darmo... Ale, ale kochany dyrektorze, nie wiesz pan gdzie o jakim tartaku parowym, na gwałt potrzebujemy tartaka. Dwa wagony co tydzień wyprawiamy dębowych desek do Paryża; daję słowo honoru, trzy calowe baliki... Kapitalny interes, powinniśmy zarobić, co najmniej pół na pół...

— Ja wiem o jednym tartaku do sprzedania odzywa się prezes — panie b dzieju, z budynkiem et cete- ra, panie b dzieju, bardzo porządny z maszyną.

— Ho, ho, panie kochany — przerywa mu dyrektor ■— nie wdawaj się pan w kupno starzyzny. Ja panu dostarczę nowy, śliczny tartak, o piętnastu piłach za tanie pieniądze... Panie sekretarzu! — woła uchylając drzwi do drugiego pokoju — proszę mi napisać natychmiast do Lewenthala i Bruna, aby nam odwrotną pocztą przysłali cenniki... Już, panie kochany, tylko się pan spuść na mnie, jak ja ci kupię tartak, to nikt nie kupi lepiej i taniej... Można napisać i do Makcana, znam ja wszystkie te fabryki, jak własną kieszeń...

— Macie co do podpisania, to dajcie! — woła pan Gaweł pieszczotliwym głosem — bo tyle mam interesów do załatwienia, że ledwie się nie skręcę.

Dyrektor odciągnął na stronę pana radcę i zaczęli pocichu rozmawiać między sobą. Widocznie coś mu ważnego przekładał, bo rękami gestykułując, niby przy

bijał niemi coś do ziemi, niby unosił jakiś ciężar do góry i ten spuszczał przeciwnikowi na nogi. To palce rąk zaciskał w kułak, to wydłużał je, jakby trzymał niuch tabaki, a czasami rozłożywszy wszystkie dziesięć palców, tak blisko przysuwał je pod nos pana członka rady, że ten aż cofać się musiał.

Korzystając z tego prezes wziął się znów do pana Marcina i do opowiadań o Rzymie.

— Panie bdzieju, Kólosum jest przepyszne! Wystaw sobie pan bdziej, jak nasze ruiny na górze Wysockiego zamku, ale tak dziesięć, ale co ja gadam, sto razy panie bdzieju, większe. To tam, panie bdzieju, kamień na kamieniu ci leży, a takie słupy, słupy, gdzie większe i grubsze od naszej figury Świętego Jana przed Bernardynami. Gdzie spojrzysz, panie bdzieju, Anglicy z książeczkami w rękę i z parasolami... A te Angielki, panie bdzieju, ładne, oj ładne bestyjki... Zona mię też, panie bdzieju pilnowała i ani popuściła z ręki.

— Niech-no pan prezes tu podpisze—odzywa się dyrektor z drugiego końca stołu, oglądając bardzo ozdobnie litografowane arkusze listów kredytowych Banku, które dopiero co pan Gaweł swoim nazwiskiem zaszczycił. Prezes rozmawiając jeszcze o Angielkach z panem Marcinem, dał się spokojnie ciągnąć za rękaw do tego miejsca stołu gdzie leżały listy, zażył tabaki i zasiadł do podpisywania.

— Panie bdzieju—mówi w dalszym ciągu do Marcina, odkładając na bok jeden list za drugim—moja żona, panie bdzieju, zazdrosna jest jak Prozerpina. Cha, cha, cha, panie bdzieju, w oczach aż jej się pali zazdrość? panie bdzieju...

A. Wilczyński.—Tom XIV.

— Cóż u dyabła prezes podpisujesz! — krzyknie oburzony dyrektor spojrzawszy na odłożone listy.

— No, co, co? albo źle?

— Gawęł Laskowski... A niechże pana Bóg kocha, czy pan się nazywasz Laskowski?

Rzeczywiście prezes zagadawszy się z panem Marcinem i mając przed sobą podpis pana Gawła, zamiast swego nazwiska rznął jego nazwisko, ma się rozumieć z własnym zakrętasem.

— A bodajże cię, panie b dzieju, kula trzasła, bodaj!—rzecze zdesperowany oglądając swój niefortunny podpis.

To te Angielki z Rzymu, panie prezesie — mówi pan Gawęł, żegnając wszystkich.—Powiem ja pani prezesowej dobrodziejce, powiem...

Okoliczność ta zmartwiła tak dalece prezesa, że nawet już śmiać się nie może swoim zwyczajnym stereotypowym cha-cha-cha,"tylko krzywi nosem, ręką pociera łysinę i biaduje.

— No, no, zepsuło się kilka sztuk—rzecze dyrektor rozdzierając tak podpisane egzemplarze i pilnując, aby na następnych podpis szedł jak się należy.

— Zobacz pan nasze listy!—mówi zwracając się po pana Marcina.—Prawda? pyszna litografia! Tu jest przedstawione rolnictwo, tu handel, tu marynarka, tu przemysł... Co u Pana Boga, spojrzyno pan, a toż jakby jego własny portret. Prawda, ten szlachcic sarmata w kontuszu, siejący na głowy chłopskie pszenicę, która tu reprezentuje oświatę, kubek w kubek pan dobrodziej. Taki sam wąs, taka sama mina...

I prezes i pan Marcin musieli się zgodzić, że tak jest rzeczywiście, z czego pan dyrektor wywnioskował,

że każdy przypadek ma zawsze część jakąś prawdy, która w zagadkowym życiu człowieka, niby proroctwo przyszłych losów ziścić się powinna.

— Może to przeznaczonem jest, że pan dobrodziej będziesz kiedyś...

— Niezawodnie będzie siał pszenicę na głowy chłopskie, panie bdzieju... Taka osoba, panie bdzieju...

— Albo, że będzie tu figurował jego podpis jako dyrektora...

— Daj Boże, panie bdzieju, daj Boże... Porządni i wykształceni ludzie powinni, panie bdzieju, iść tego, panie bdzieju ręką w rękę... panie bdzieju wszyscy za jednego, jeden za wszystkich...

— Zastrzegam sobie tylko, żeby się każdy za siebie podpisywał—dodaje dyrektor składając papiery do szafy.

Pan Marcin nie* odpowiadał nic na to, ale z fizy- gnomii jego widać było, że podobne prognostyki dyrektora były mu przyjemne. Pokręcał tedy wąsa i uśmiechał się przypatrując własnemu konterfektowi na listach zastawnych, który także wąsa tam podkręcał.

Znów przyszło kilka nowych osób, a że to była godzina w pół do drugiej i czas na obiad dawno przeszedł, więc pożegnawszy uprzejmie obu reprezentantów banku, odprowadzony został aż na same schody przez dyrektora, który go najuprzejmiej o dalsze odwiedziny upraszał.

Jeszcze nigdy od .czasu zamieszkania swego we Lwowie, nie wracał pan Marcin w tak wesołym usposobieniu do domu, pomimo, że spóźniwszy się na obiad, mógł ze strony małżonki oczekiwać pewnej burzy. Zdało mu się, że teraz dopiero trafił na odpowiednią minę dla swych przekonań i dla swej przyszłości. Zdziwiła

się też niepomierne pani Marcinowa, gdy wszedłszy do pokoju, zdawał się nie widzieć jej dąsów, z którymi go na pulchnej twarzyczce czekała, ale porwawszy ją w swoje objęcia, zaczął z wielką fantazją całować.

— Idź precz, ty stary!— mówi odpychając go na- poły udobruchana.—No, idź precz! Pewnie byleś gdzie na śniadaniu, a my tu od godziny czekamy z obiadem.

— Jak ciebie kocham, żonusi, wypilem tylko kieliszczyk wódki, nic więcej, kieliszczyk z dyrektorem.

— No, popatrz się na mnie prosto w oczy, a wąsów nie kręć, bo ty jak chcesz skłamać, to zaraz do wąsów.

Pan Marcin spojrział po żołniersku i ani drgnął, zatem uwierzyła pytając:

— Z jakinuto dyrektorem?

— Jużciż nie z Antonim, ale dyrektorem banku powszechnego kredytu. Proszę cię, gdzie naszemu Antoniemu do niego. Ten jest zarozumialec i dyabli wiedzą co myśli o sobie, a to ci człowiek z głową, ale jaką głową... Byłem u Antoniego wczoraj i chciałem z nim pogadać, tak, uważasz, jak dawni sąsiedzi; chciałem go się poradzić, do czego się wziąć i jak się wziąć, a on mi, mości dobrodzieju, cedzi słówka przez zęby, ni to ni owo, i udaje niby-to zajętego bardzo. Uśmiecha się konwen- cyonalnie, widocznie bał się, że ja chcę coś od niego wyssać, aby go, mości dobrodzieju, podminować przy wyborach... Osieł, z przeproszeniem, miałbym też z kim rywalizować?.. Czy ja to nie wiem, co on umie... Udaje dygnitarza, panie dobrodzieju, wielkiego polityka, sady frazesami, a ręczę ci, żebym go tak zapytał, jak się poznaje wiek konia, albo ile koniczyny sieje się na mórg, to nie wie... Chciałem mu przeczytać moje notatki w kwestyi żydowskiej, a on tylko machnął ręką i po

wiada: przepraszam kochanego sąsiada, ale teraz nie mogę. Głowę mam tak nabitą interesami, że kiedyin- dziej, sąsiedzie dobrodzieju, kiedy indziej...

— Przyznam się — rzecze pani Marcinowa — że niegrzeczny.

— Więcej niż niegrzeczny, to impertynent... Mówię ci, duszko, już do niego nigdy nie pójde, a jak na ulicy go spotkam, to "udam, że nie znam...

— Nie, tak nie można.

— Można i tak zrobię!

— Nie zrobisz, Marcinku, nie zrobisz przez wzgląd na Antoniowę i ciotkę, która jest z nimi w przyjaźni...

Zostaw to mnie, ja mu przy sposobności tak dotnę...

— Docinaj, a ja, mości dobrodzieju więcej go znać nie chcę. Nie tacy jak on, ale ludzie piszący książki i gazety, ludzie mający więcej rozumu w jednym palcu, niż on w całej głowie, a od dwóch słów poznali się na mnie. Spotkaliśmy się, panie dobrodzieju, w cukierni, i tak ot, mości dobrodzieju, z niczego, od tego do tego, ucieliśmy pogawędkę bardzo przyjemną. Tak, rozumiem, niech idzie dyskusya, ale nie chceć nawet wysłuchać, to tylko ludzie bez wychowania potrafią.

Podano obiad, pan Marcin jadł za dwóch, składając przyczynę tak dobrego apetytu na wielkie wygadanie się w cukierni.

— Widzisz, jnoje życie, ja to gdzieś czytałem dawniej, dlaczego praczki, rębacze, młocki i inni pracujący fizycznie tak dużo jedzą. Napisane tam było, że dla tego, iż u nich zużywają się mięsny. Pokazuje się teraz na mnie, że i przy gadaniu tak samo zużywają się mięsny, bo jem i jem, a jestem głodny. Przygotuj się, duszko moja, na to, że jak zostaną posłem i wrócę z sej

mu na obiad, to musisz mi kazać podać podwójną porcyę.

Uśmiechnęła się na to pani, poklepała, męża po ramieniu i zapytała:

— Mówiłeś coś o dyrektorze banku?

— Także go w cukierni poznałem z literatami. Powiadam ci, pękać ze śmiechu, jak ci ludzie wesoło sobie rozmawiają. Kpią, żartują, sekują, ale jak ludzie wykształceni, przyzwoicie i dowcipnie. Dyrektor wychodząc razem ze mną, zaprosił mię z sobą do banku i, mości dobrodzieju, mówi... Stasiu — rzecze do syna sprzeczącego się o widelec z siostrą — czego ty smarkaczu robisz hałasy i nie słuchasz, co starsi mówią? No, no popamiętaj! Powinieneś uważać i zachować to w swojej głowie, że wszystko, co się teraz robi, to robi mości dobrodzieju, dla ciebie... Takie znajomości i trudy ojca, to na co? jeżeli nie na to, żeby sobie zapewnić stosunki między ludźmi i pchać cię potem na świecie.

— Ojciec prawdę mówi, moje dziecko—dodaje łagodniej matka — niegrzecznie jest przeszkadzać, kiedy starsi mówią, a zwłaszcza gdy o was idzie... Boże drogi, czy one tóż kiedy nam się za to wszystko odwdzięczą...

— Więc mówi dyrektor — prowadzi dalej pan Marcin rzecz swoją, zapychając sobie całe usta sałatą, jak się zdaje także dla dobra dzieci — nam tu właśnie takich ludzi potrzeba jak pan dobrodziej, szlachty z urodzenia a postępowych. Skrajne pojęcia, powiada, musują teraz, mości dobrodzieju, jak drożdże w cieście. Nie trzeba dać im wyrastać i na bok się usuwać.

— Ja to wiem z doświadczenia jako gospodyni— wtrąca Marcinowa — zaraz się robią wewnątrz otwory, jak w pieczywie żydowskiem. Pamiętasz, Marcinku, na

wsi, gdy przywieźli czasem bułki z miasteczka, to zdawały się takie duże z wierzchu, rumiane, a wewnątrz jedna jama.

— Ślicznie powiedziałaś, moja duszko, bardzo trafnie... proszę cię, Eutek, przynieś-no mi ołówek który tam leży na biurku i kawałek papieru.

— Na co ci?

— Muszę sobie to wyrażenie zanotować! Z ciebie tęgi byłby mówca, moja żonusi, — masz dowcip...

— Jaki mi komplementista...

— Nie, nie... ty masz wiele rozumu. Albo z tem wyprowadzeniem się do miasta, co?

Pani tylko się uśmiechnęła zadowolona z adora- cyi męża. Kobiety pasyami lubią takie rzeczy, szczególnie jak idzie o rozum. O piękności ich zanadto często mówią im mężczyźni, więc im ta nieco spowszedniała, ale ten rozum, ten rozum najczęściej je upaja.

Ze wszystkimi szczegółami opowiedział następnie pan Marcin o swojej wizycie w Banku, o dyspozy- cyach, jakie dawał sekretarzowi dyrektor, o durniu Rotszyldzie, a wreszcie o prezesie w aksamitnej kamizelce, który dopiero co powrócił z Rzymu i spodziewał się zostać hrabią...

— Wiesz Marcinie — odzywa się na to żona — nie teraz, bo to jest trudno, skorośmy się jeszcze nie urządzili, ale na przyszły rok, czyby i nam nie wypadło pojechać do Rzymu. Jeżeli taki mieszczanin ma nadzieję zostać hrabią...

— Et, mniejsza o to... Dziad mój bez tego wszystkiego mógł zostać hrabią, a nie chciał. Daję ci słowo honoru, mam na to dowody w biurku, proponowali mu. Hrabia, hrabia, co teraz znaczy hrabia u nas? Hrabio-

wie są praktykantami konceptowemi po biurach... tylu tych hrabiów jak maku w pszenicy...

— Zawsze, proszę cię, inaczej ludzi uważają... Ja dla siebie o to nie dbam, choć przez matkę pochodzę z hrabiowskiej rodziny, ale dla dzieci widzisz, dla dzieci...

— Chyba dla dzieci... Ot, słuchaj durniu — mówi zwracając się do kręcącego po pokoju starszego syna Ludwika, który trzymając papierosa za plecami, radby się jaknajprędzej wymknąć, aby go zapalić. — Jak będziesz się lepiej uczył? niż dotychczas, to możesz zostać hrabią, mości dobrodzieju... ale tylko mądrym hrabią... pamiętaj, Ojciec Święty głupcom nie daje patentów, nie...

Otóż w tym sensie, lecz z bardzo wesołym usposobieniem prowadzili małżonkowie między sobą rozmowę o przyszłym hrabiostwie. Pan Marcin rzucił nawet wątpliwość, czy dzieci urodzone przed patentem będą miały prawo do tytułu, a zatem dla utrwalenia nowego rodu, wypadałoby, żeby im się jaki młody hrabia po patencie mógł narodzić. Wpadłszy raz na podobny temat, tak dokuczał różnemi żartami pani Marcinowej, że ta zmuszoną była zatkać mu buzię serwetą i wypchnąć na drzemkę do jego pokoju.

Poznajomienie się z dyrektorem w cukierni i całą gromadą inteligencji gazeciarskiej, stanowczo zdecydowało o przyszłych losach pana Marcina. Od tego czasu nie mówił o niczem tylko o banku i pracy na arenie publicznego życia, zaprzestał chodzić na targi jarzyn, zboża i koni, a tylko obszedłszy hotele i przeczytawszy spisy przyjezdnych do Lwowa, udawał się prosto do cukierni, gdzie przesiadywał po parę godzin przed obia-

dem, i po parę po obiedzie, wertując gazety, aby się ob- zająć z bieżącymi sprawami publicznymi.

Dawniej, mieszkając na wsi niebardzo się zajmował lekturą. Miał tam coś jedną gazetę, którą prenumerował dla oszczędności wspólnie z dwoma sąsiadami i to notabene podczas jakiejś toczącej się lub toczyć mającej wojny. Obywatele wiejscy, a szczególnie galicyjscy przepadają za wojną, i ten dziennik u nich najbardziej popłaca, który przynajmniej dwa razy na tydzień, a mianowicie w sobotnim numerze, dochodzącym szlacheckich rąk w niedzielę, szeroko się rozpisuje o zachmurzonym horyzoncie politycznym Europy, o czarnych punktach, o zbliżającej się burzy i tym podobnych zwiastunach kilkuletniej na świecie zawieruchy. Dziennikarze we Lwowie doskonale znają te gusta obywatelskie, i lepiej od wszelkich barometrów, lepiej od proroków Starego Testamentu umieją przepowiedzieć wojnę dziś tego z tym, jutro tamtego z tamtym, posuwając się bardzo często do oznaczenia daty, w której dyplomatyczne stosunki będą zerwane, kiedy nastąpi ultimatum, kiedy wypowiedzenie wojny, i kto z kim pójdzie na kogo. Ma się rozumieć, że cała ta polityka prowadzi się w ten sposób, aby, broń Boże, Galicya nie była w tem wszystkim zaangażowaną; Szlachcic czyta to z zajęciem, ręce zaciera i wiele na tych wiadomościach buduje. Najprzód jest przekonany, że zboże a szczególnie owies musi pójść w górę, więc koniom fornalskim każe dawać marchę w zamiast obroku, i pozwala sobie nieco przekroczyć budżet wydatków na to konto. Dalej jest przekonany, że jak to wszystko jeszcze się bardziej pogmatwa na świecie, to ta aa jakoś o podatki nie będą się mogli upominać... Gdzie szukać sekwestratorów podczas

wojny?—nie miałby rząd, panie dobrodzieju, o czemś innem pamiętać jak o ściąganiu zaległości... Więc nie śpieszy się z opłatą, licząc na gazetę i wydaje znów na coś takiego pieniądze, czego by sobie w innym czasie musiał odmówić. A wreszcie gdyby jedno i drugie miało zawieść, toć przecie rząd nie może rujnować kraju i niezawodnie ogłosi moratorium — to moratorium najulubieńsze lekarstwo dla obdłużonych posiadaczy ziemskich... Jakoś to będzie, toiecli tylko przyjdzie wojna.

Więc tedy, jak powiedziałem, pan Marcin mało czytywał gazety na wsi, choć podług umowy i dla oszczędności posyłał co trzeci dzień o półtorej mili do sąsiada po dzienniki konnego posłańca. Latem gazety te składał porządnie na półce u siebie w pokoju, bo gdzież gospodarz wiejski przy robotach w polu ma czas i myśl swobodną do czytania?—zostawiał tedy to wszystko na długie zimowe wieczory. I rzeczywiście, kiedy już był czas taki na dworze, iż psa trudno wypędzić, a zatem ani jechać samemu, ani się spodziewać, żeby ktoś mógł przyjechać z sąsiedztwa—kładał się o ósmej do łóżka, kazał sobie przysuwać stolik, podać puszkę z tytu- niem i fajkę, i prosić pani, aby dała coś słodkiego na przekąskę, naprzykład słoik kofitur jakich bez pestek albo gruszek maczanych w miodzie — i zaczynał czytać gazetę, naprzykład z 1 lipca.

To, co tam stało wydrukowane z polityki, już znał z pogawędek niedzielnych u proboszcza, więc dał pokój depeszom, przeglądom a wziął się do fejletonów. Jak nazłość zawsze mu brakowało któregoś numeru z środka, więc dalejże zwoływał lokaja i dzieci, i kazać im szukać między pakietami, czy się tam gdzie nie zawieruszył.

/

— Ot, przekłete bębny, wszędzie muszą, wleź i wszystko ruszyć. To ty, 'Stasiu, niezawodnie wyciągnąłeś na latawca.

— Jak Bożię kocham — sumituje się zapłakany chłopiec, wertując stosy zadrukowanej bibuły — ani ruszałem... Jadwisia brała na formy.

— Te baby, do dyabła, to na nic nie zważają — gderze coraz głośniejsze. — Szukać mi zaraz... idź po Jadwisię.

Robi się niepokój w całym domu, przychodzi sama pani i wytacza się sprawa już między małżeństwem, bo matka bierze w obronę dzieci, które nigdy do jego pokoju nie zaglądają. Pan Marcin protestuje, że zawsze zaglądają i gospodarują tu jak szare gęsi, że on nieszczęśliwy jest, iż kąta swojego mieć nie może... z czego następuje pewne przemówienie się z żoną, która wśród tego trzasnąwszy drzwiami wychodzi, a pan Marcin najsolenniejszym jest przekonany, że na wsi przy najlepszych chęciach niepodobna nic czytać. Zjadłszy więc wszystkie przysmaki zastawione przy łóżku, zagniewany jeszcze na nieporządku domowe, gasi świecę i zasypia.

Jeżeli znów kiedyindziej nie zachodzą podobne przeszkody, o jakich dopiero wspomniałem, pan Marcin dorwawszy się zaciekawiającej i okropnościami przeładowanej powieści, czyta zapamiętane czasami i do drugiej godziny po północy. Czyta i zaalterowany jest, że musi stanąć na miejscu najdrażliwszym, bo świecy zabrakło. Skutkiem czego i nabitej okropnościami głowy, śpi jak najgorzej, do samego rana śnią mu się same tylko zabójstwa, tak, że na drugi dzień wstaje z podsiniałymi oczami i jak z krzyża zdjęty.

— A niech jego dyabli biorą—mówi przy śniadaniu do żony—takie morderstwa, mości dobrodzieju, spi-ski, jaskinie i różne głupstwa, że, panie dobrodzieju, całą noc dusiła mnie zmora. Dziękuję unizenie za takie czytanie, zdrpwie człek straci i nic więcej. To ci łże... to ci wynajduje różne historye. Moja duszko, daj mi na dziś co innego, może masz co innego... może masz co wesołego...

Daje mu więc żona powieść Dikensa, lub jakie obrazki nasze z codziennego życia, ma się rozumieć z nieodstępnym słoikiem konfitur. Czyta, czyta, trochę, się śmieje, ale przy piątej stronicy już się znudził.

— No i cóż on tu napisał nowego? — myśli sobie nakładając fajkę—toć ja to wszystko wiem i bez niego! Kochali się, nie pobrali się, wzdychali i basta... Co prawda, to nieźle pochwycił niektóre osoby. Ten Aleksander to taki sam jak mój szwagier Pafnucy, a skąpa hrabina, kropla w kroplę nasza sąsiadka Antoniowa, tylko tyle, że ona nie jest hrabiną...

Zamyka już książkę, bo nie ciekawy, co się tam stanie z Julią, która niezawodnie pójdzie za Adolfa... Naturalnie, że po takiej lekturze, przynajmniej przykre sny go nie prześladowały, owszem spał dobrze, a rano opowiada żonie, jak uśmieł się z tego Andrzeja, co chciał od ciotki pułkownikowej pożyczyć pieniędzy, panie dobrodzieju, ale się baba nie dała. Chodzi tedy po pokoju, i raptem przychodzi mu myśl napisania do autora, czyby on nie mógł przedstawić w jakiej powieści sąsiada jego, pana Kulanowicza, do którego czuje żal, że go po sąsiedzku okpił na klaczy.

— Niech go osmaruje, panie dobrodzieju—powtarza uszczęśliwiony swoim pomysłem. I siada zaraz do

biurka, wyjmując naraz kilka ćwiartek papieru i tak zaczyna pisać do autora: „Wielmożny mości dobrodzieju! Czytałem wczoraj szkice obyczajowe W Pana dobrodzieja i bardzo są zabawne, ale ja, panu dobrodziejowi, jeszcze coś lepszego podam.” Tu rozwodzi się szeroko i długo nad tem, w jaki sposób pan Kulanowicz, sąsiad jego, człowiek chciwy i brzydkiego charakteru przyszedł do posiadania Wólki Moczydłowskiej, którą ma za złote jabłko, a to jest wierutne gałganstwo. Dalej jak ten Kulanowicz nie zważa na sąsiedzką solidarność i ludziom do żniwa daje dwa razy dziennie wódki, kiedy wszyscy dają raz, a wreszcie jak sprzedał mu przed miesiącem gniadą klacz za dwieście reńskich, która i stu nie jest warta i jeszcze się z tem chwali. „Wystaw sobie W Pan dobrodziej, dawał mi obywatelskie słowo honoru, że jest bez żadnej wady, ja też spuszczać się na to nie oglądałem akuratnie. Ale na trzeci dzień cóż się pokazało? Każę zaprzęgać do powozu z gniadym, a on zaraz z miejsca kuleje na przednią nogę, i to nie w kopycie, ale w łopatce, bo jest spieczona, daję na to najświętsze słowo, i na psa się nie zdała. Otóż proszę bardo W Pana, racz to wszystko w jakiej powieści opisać, będę mu za to wdzięczny i taka rzecz każdemu się spodoba. Ja sam kupię trzy książki, a sąsiedzi moi także będą się za tem rozbijać.”

W przypisku dodaje jeszcze: „Pan Kulanowicz jest niskiego wzrostu, prawe oko przymruża i ma przy-słowie: jechał cię sęk.”

Otóż mając taki szkic z czytelniczej przeszłości pana Marcina, i ogólne pojęcie o zasobach jego intelektualny Sh, nie weźmiemy mu za złe, jeżeli zamierzając poświęcić się teraz służbie publicznej, potrzebował pe

wnego otrzaskania się z bieżącymi kwestyami społeczne- mi, i że przysiadując fałdów w cukierni wertował wszystkie pisma peryodyczne.

Nowi przyjaciele jego, poznawszy ten popęd pana Marcina do wielkiej polityki galicyjskiej, podzegli go coraz bardziej, poddając do rozpraw różne projekta, na których każdy inny, a nie pan Marcin odrazu by się poznał, że zakrawają na żarty z poczciwego hreczkosieja. I Hudobiński i ten cienki jegomość zwany efendim, i pan Miłosz odznaczający się staropolskim rubasznym nieco humorem, zwykle rozpoczynali między sobą, niby jakąś dysputę poważną, do której zaraz mieszał się pan Marcin ze swoją opinią. Stojąc na pograniczu między konserwatyzmem, do którego ciągnęła go przeszłość, a postępem wyznawanym przez całe koło znajomych, raz był za tem, drugi raz za tem, a w końcu tak się zwykle poplątał, że wprost zaprzeczał temu co dopiero głosił przed chwilą.

— Dłaczego, pan dobrodziej, tego wszystkiego nie napisze co tu mówi—odzywa się Hudobiński.—Daję słowo, to szkoda, że tak giną marnie podobne zdania. Mamy teraz rozpisane wybory na posłów, niezadługo przyjdzie wybór do Rady miejskiej, a jeszcze nikt z publicystyki nie poruszył tej kwestyi, o ile wojna z Zulusami wyrze wpływ na Europę, a ewentualnie na naszą agitację galicyjską, jak to słusznie, pan dobrodziej, zauważył...

— "Widzicie — rzecze na to pan Miłosz — nie każdemu Pan Bóg dał talent do pisania...

Wszyscy obecni o mało nie zduszą się od śmiechu, ale że pan Hudobiński zachowuje poważną minę, więc pan Marcin słucha go z uwagą.

— Cóż panowie śmiejecie się... Ależ taka śmierć księcia Napoleona nie jest żartem. Ludzie głębiej się zastanawiający, widzą w tem coś więcej, niż prosty przypadek. Kto wie, czy pan Marcin nie ma racji utrzymując, że w tem jest jakaś sprawka republikanów francuzkich...

— Ooo, panie dobrodzieju, szyję moją dałbym, że tak jest! — mówi z ferworem pan Marcin. — Niema wątpliwości, że cała rzecz ukartowana. Prancya chce utrwalić rzeczpospolitę, i umyślnie wysłała jakiego agenta między Zulusów, żeby księcia sprzątnęli. A nasi wyborcy myślą, że to przypadek. Tymczasem, panie dobrodzieju, kryję się w tem cała przyszłość Europy, która musi się odbić i na Galicyi, a zatem potrzeba wybierać takich posłów, którzyby na wszystko byli przygotowani, rozumiecie panowie, na wszystko! Wyraźniej tu nie mogę powiedzieć co myślę — mówi, oglądając się dokoła—bo nie jesteśmy sami, ale jeżeli panowie pozwolicie kiedy do mnie na herbatę, bardzoby mi przyjemnie było...

Wszyscy się uklonili, dziękując za zaproszenie, a Hudobiński znowu do niego:

— I owszem służyć będziemy, tylko pod warunkiem, że pan dobrodziej odczyta nam swoją pracę.

— Wprawdzie nie mam nic gotowego... ale notatki robię. Panowie nie myślcie, że ja sobie tak szlachcic—mówi uśmiechając się lekceważąco—potrafię ja może więcej, niż wam się zdaje.

— Idę, ale pod warunkiem — wtrąca efendi z pod pieca — jeżeli będzie odczyt. Zawsze ciekawe są szlacheckie poglądy na wybory. Pan musisz się zdeklaro

wać raz, kto pan jesteś teraz, czy pan idziesz z postępem, czy pan stoisz?

— Idę, idę wciąż...

— To dobrze, bo nie potrzebujemy posła okrytego krakowską pleśnią...

— Powiedziałem, moi panowie, że idę z wami...

— Co, przeciw szlachcie? Mów pan otwarcie: jesteś za secesją w kole polskim, czy za solidarnością?

— Trzymam się większości. Gromada, panowie, to wielki człowiek.

— Pozwól efendi, tu się posprzeczamy i zaraz go przekonam, że jesteś w błędzie — mówi spokojnym głosem ów szczupły wysoki jegomość. — Powiedz mi pan, tak wzięwszy na rozum, jakich ludzi więcej na świecie mądrych czy głupich?

— Ma się rozumieć głupich, bo masy są ciemne...

— Dobrze, efendi. A zatem, jeżeli te masy wybierają z pośród siebie reprezentantów do jakiejś rady czy parlamentu, to znów między tymi wybranymi większość musi być głupsza od mniejszości inteligentnej?

— Cóż z tego, ale...

— Za pozwoleniem. Skoro tak jest, to dlaczegoż trzymać z większością. Czyż ludzie są gromadą, baranów?

— Ba, a jednak przyjętą jest zasada, że większość decyduje ...

•— To właśnie niedorzeczność, którą powinniśmy raz usunąć. Nic dziwnego, że świat teraz staje się coraz głupszym, jeżeli taka większość nim rządzi. My, szanowny efendi, jako ludzie postępowi, jesteśmy za tem, żeby zmienić podobną opinię i żeby mniejszość jako ro-

zumniejsza przyszła do władzy, a zatem jesteśmy za secessją.

— Hm, hm — mruczy pan Marcin uśmiechając się dziwnie. — Może to i racya.

— Nie może, ale z wszelką pewnością i zobaczy pan dobrodziej, że za parę lat najpóźniej, wszystkie większości wezmą w skórę, dają słowo honoru, wezmą.

— Jeżeli tak, to i ja gotów jestem pójść za mniejszością — rzecze pan Marcin, już na pół przekonany.

To wyznanie wiary obywatela, przyjęli obecni głośnymi oklaskami, a pan Marcin, aby nie zapomnieć całej teorii o większości i mniejszości, pożegnał prędko przyjaciół i pobiegł do domu, aby tę rzecz czemprowadzej zanotować.

VI.

Skończyły się wakacje szkolne i rozpoczęto po gimnazyjach przyjmowanie uczniów na rok następny. Pan Marcin jako wzorowy ojciec, poświęcający się dla dobra dzieci, wystroił się w nowy garnitur, wąsy podkręcił, i zabrawszy z sobą obydwóch chłopaków zaprowadził do kancelaryi dyrektora. Szanowny ten pedagog zobaczywszy tak imponującą postawę obywatela, przyjął go bardzo grzecznie, w zamian czego już w kwadrans czasu dowiedział się o całej przeszłości pana Marcina, o jego ojcu i o bracie, który zginął w obronie kraju, tudzież o tych pamiętnych słowach nieboszczyka, podług których obecny tu reprezentant rodu, przeznaczony jest do polatania niedorzeczności dawniejszego pokolenia.

A. Wilczyński.—Tom XIV.

Dyrektor jest człowiek wysoko ukształcony i dobrze wychowany, więc nie śmie przerywać wywnętrzań pana Marcina, — słucha cierpliwie, czem jeszcze bardziej zachęcony mówca wyklada teorię o żydach, o wpływie wojny z Zulusami, a wreszcie o większości

1 mniejszości parlamentarnej, w tem pojęciu, jak to objaśniał efendi w cukierni. Kasz obywatel nadzwyczajny miał talent do assimilowania zdań cudzych. „Mości dobrodzieju, mądre rzeczy bardzo łatwo chwytają się mądrej głowy” — powtarzał o sobie z dumą. — Kiczy- jem zdaniem nie gardzę, i jeżeli tylko zgadza się z mojem przekonaniem, tem samem już jest mojem.

Tu przychodzą rozmaite osoby z interesami do dyrektora, on się kręci, przerywa panu Marcinowi, o czem innem zaczyna; wszystko to nie może zmniejszyć oratorskiego zapału szlachcica... Czeka cierpliwie, jak dyrektor skończy, i znowu prowadzi dalej rzecz swoją...

— Szanowny dyrektorze — mówi do niego już na progu — ja wszystko to piszę.

— A naturalnie, warto, warto...

— I bardzo byłbym wdzięczny panu dyrektorowi...

— Preczytam jak będzie wydrukowane — przerywa uprzedzając prośbę — z największą przyjemnością przeczytam...

— Kie o to chciałem prosić. Ale w tych dniach zbiera się u mnie grono literatów i różnej inteligencji naszej, więc może i pan dyrektor byłby łaskaw, panie dobrodzieju... Mam doskonałe winko, ale takie, że warto dać mu buzi, jeszcze po nieboszczyku ojcu, który...

— Wiem, wiem, który powiedział... o panu...

— Ko, tam-to swoją drogą, ale który znał się na winie, jak dzisiaj już się nikt nie zna... Więc, panie do

brodzieju, bardzo byłoby mi przyjemnie, gdyby pan dyrektor zrobił nam ten zaszczyt... Przeczytamy sobie pogadamy swobodnie — kończy nieco ciszej, oglądając, się dokoła.

— Z największą przyjemnością...

— Ja uwiadomię pana dyrektora kiedy...

— I owszem, będzie to zaszczyt... Upadam do nóg... będę służył...

* — A o moich chłopcach niech też pan dyrektor dobrodziej pamięta... zdolne bębny, bo to już tak bywa w naszej rodzinie, ale potrzebują zawsze tak — mówi pokazując ręką, jakby się kogo za kark brało.

Dyrektor wszystko przyrzekł, z największą uprzejmością aż do drzwi go wyprowadził, skutkiem czego pan Marcin wychodząc był aż nadto przekonany, że dzieci jego cieszyć się będą szczególniejszą opieką tego pedagoga.

— Zonsiu, uważasz — mówił do niej wróciwszy do domu—gdzie pójde, to, panie dobrodzieju, robię wrażenie... Dyrektor szkoły formalnie jest we mnie zakochany... Zaraz znać, że to człowiek wykształcony, poznał z kim ma do czynienia, a taki, uważasz, Antoni (pan Marcin nie mógł widocznie strawić tego Antoniego) myśli, że tylko on ma rozum.

Uspokojony zupełnie, że obowiązkom rodzicielskim w ten sposób zadosyć uczynił, ani pomyślał potem, co jego chłopcy robią, czem się zajmują i jak się uczą... Gdy żona, która pod tym względem instynktownie czuła, że jakoś edukacją dzieci trzeba się inaczej zajmować, mówiła, że chłopcy po całych dniach nic nie robią, tylko bąki zbijają po mieście, wpadł w ogromną pasję i maltretował ich z całą surowością.

- Nie tak, Marcinie, bój się Boga, nie tak ostro.
- Ja inaczej nie umiem.
- Trzeba częściej zwracać na nich uwagę, a nie kończyć na krzykach...
- Wiesz przecie, że zajęty jestem inną pracą... Oni powinni brać przykład ze mnie, panie dobrodzieju...

Powiedz sama, czy mnie kto napędza, czy mi kto każe? a pracuję i jak pracuję... Już pięć arkuszy mam napisane drobnym maczkiem... Wiesz, ja tu zaprosiłem różnych panów na herbatę, i trzeba, uważasz, wystąpić...

- A nic mi nie mówiłeś?
- Bo to jeszcze nie tak prędko... Napisałem do dzierżawcy, żeby przysłał zwierzyny.
- Dobrze, dobrze, wszystko będzie jak chcesz; tylko mój drogi Marcinku proszę cię, zajmij się trochę chłopcami. Mnie, jako matki i kobiety nie bardzo się boją, a przecież przyjechaliśmy tutaj dla ich edukacji.

Dobrze jest myśleć o sprawach publicznych i wierzę, dojdiesz Marcinku na tej drodze wysoko, ale dobro dzieci przedewszystkiem.

Otóż wskutek takiej reprimendy pani, Marcin regularnie o godzinie szóstej rano udawał się w szlafroku i pantoflach do pokoju chłopców i z całą energią wyciągał ich z łóżka. Potem kilka razy w południe, tudzież wieczorem, uchylał drzwi ze swego gabinetu i jak który nie siedział przy stole, wołał: „do książki smarkacze, do nauki mi zaraz... ja wam tu dam swawolę...”

Mimo, to, pewnej niedzieli doręczono mu z gimnazjum zawiadomienie dyrekcji, że jego chłopcy bardzo się źle uczą, a i zachowanie się ich w szkole nie jest wzorowem...

- Cóż oni u licha chcą od nich, panie dobrodzieju,

Widzę przecież, uczą się się ciągle, napędzam, rano budzę... Ubrał się więc i poszedł do gimnazjum.

Dyrektor jak tylko zobaczył go oknem, w tej chwili wybiegł na korytarz i spotkawszy niby przypadkiem, przeprosił, że ma bardzo pilny interes do załatwienia w mieście, a zatem może tylko chwilę czasu mu poświęcić. Opowiedziawszy jak rzecz stoi, zaproponował przyjęcie korepetytora do chłopców, bo widocznie sami sobie rady dać nie mogą w naukach.

— Ja panu dobrodziejowi przyślę tam do mieszkania bardzo porządnego studenta z uniwersytetu.

— Ooo... tak najlepiej — odpowiada dziękując pan Marcin — moja żona sama się z nim ułoży. Pan dyrektor wie, jak to trudno dogodzić kobietom, miałem te historye na wsi z guwernantkami. Mnie, panie dyrektorze, każ powiedzieć mowę, będę ci mówił godzinę, każ co napisać — choćby traktat o filozofii, nie ulękę się, ale z grymasami kobiecemi jestem jak słup...

Zdaje się, że i pan dyrektor takiego samego był przekonania, co do pozycji naszego obywatela z kobietami, bo zanotowawszy sobie adres mieszkania, posyłał tam owych korepetytorów zwykle po dwóch na miesiąc, podług opinii Ludwika, którą pani Marcinowa brała na uwagę; ten był za surowy, ten nic sam nie umiał, ten miał ordynaryjne maniery, ten się spóźniał na lekcję — więc pani do pana Marcina, aby pisał bilety do dyrektora o innego. Przychodzili, rekomendowali się, a pani przyjmowała ich z pewnym tonem, jak się przyjmuje kucharzy lub lokai, a jak przyszło do oznaczenia honorarium, targowała się, robiąc różne zastrzeżenia, gdy lekcye opuści, lub dzieci nie zdadzą egzaminów.

Najstarszy syn państwa Marcinów, miał dopiero

lat piętnaście, a już był w drugiej klasie. Pan Bóg nie poskąpił mu wzrostu, chłopak głową sięgał już ojcu do ramię, a silna i koścista budowa jego ciała, rokowała, że pod względem okazałości i prezencji, jabłuszko to niedaleko padnie od swojej jabłoni. Wprawdzie do nauki nie miał tak wielkiej predylekcji jak ojciec, który teraz po całych dniach wertował książki i gazety, ale za to, co się tyczy ubrania i pańskich manier, już dziś każdy na ulicy mógł poznać, że nie jest to syn jakiegoś rzemieślnika lub woziwody, ale coś lepszego.

— Powiadam panu dobrodziejowi — mówił raz pan Marcin do dyrektora Banku powszechnego kredytu — hultaj chłopak jaki ma gust, to niech go kaci porwą! Nie wiem gdzie i z kąd, ale ci zaraz nową modę spenetruje, i już tak się ubierze, jak syn księcia albo hrabiego... Ledwie, panie, zaczęli strzydz włosy na przodzie w takie grzywki i rozdzielać na środku głowy, patrzę jednego dnia, mości dobrodzieju, on-ci już jest tak uczesany. Nie dają ja mu dużo pieniędzy na ubranie, ale on tak to umie zręcznie manewrować, że to krawacik jakiś nowy, to, panie, buciki modne, to jakąś szpileczkę gdzieś tanio wynajdzie i zawsze wygląda elegancko... A nawet urwisz bierze się...—mówi dalej z uśmiechniętą twarzą do ucha dyrektorowi—jak Boga Kocham, wcale gładko. Naprzeciwko nas mieszkają-ci jakieś dwie panienki, jedna nieszpeta brunetka, a druga z zadartym noskiem. To ja, panie dobrodzieju, nieraz tak się uśmieję patrząc z okna, jak on to, panie, manewruje, zachodzi, jak się kłania, albo wrzuca do pokoju bukietki. Z kąd to mu się bierze... A do teatru, panie dobrodzieju, toby ci codzień chodził... Wytrząsnął sobie gdzieś lornetkę i tak nosi na pasku przewieszonym przez ramię, jak

młody hr. Zaruski; o każdej sztuce powie ci takie zdanie, że i dorosłyby się nie zawstydził; aktorki wszystkie zna, wie gdzie co która robi, z kim się zadaje, kiedy ma tremę, a kiedy gra jak z nut. Będzie z niego człowiek, nie ma gadania, i choć dyrektor narzeka o tę grecką ijeografią, to tam, panie dobrodzieju... ej... jakoś się może obejdzie — dokończył machnąwszy ręką. — Przyjdzie do rozumu, fałdów przysiedzi i będzie, jak inni.

Przyjaciele z cukierni ciągle nalegali na pana Marcina, żeby pospieszał z ową broszurą o wpływie wojny z Zulusami, a tu jakoś mu nie szło. Kto zna Lwów i gorączkę wielkiego politykowania, zwłaszcza przed wyborami, ten się nie zdziwi, jeżeli mijając wystawy księgarskie, zobaczy coraz to świeżą, zwykle w krzyżo-kolorowej okładce jedną lub więcej wystawione broszury polityczne. Każdy czujący w sobie jakąś wenę do wywnętrzenia się przed drugimi, pisze, drukuje, ogłasza, a dyspozytorowie drukarni tylko suszą sobie głowy, w jakiby tu oryginalny sposób odbić tytuł na okładce. A niemała też rzeczą jest i sam tytuł. „Na dziś, Na jutro, Gdzie idziemy, Bacność, Ręka w rękę, Nad przepaścią, Obudźmy się bracia” i setki innych ścigają przechodnia od szyby okna księgarni, aż do samego domu, wbijając się pomimo woli w pamięć przez swoje dziwaczne figlasy, które ich napis jest ozdobiony. Naturalnie, że te abstrakty mózgowo-polityczno-lwowskie mało kto czyta, a jeszcze mniej kupuje; ukrywający się i jawni nauczyciele narodu nic na to nie zważają; drukują, płacą i rozsyłają za darmo znajomym i nieznanym; najmują posługaczy do roznoszenia, a cały ich trud i kontrola ogranicza się do nadzoru nad owymi kolporterami, którzy bardzo często całe nakłady,

po bardzo niskiej cenie odstępują znajomym handlom wędlinami i masłem dla właściwego użytku.

Otóż pan Marcin, także człowiek polityczny, niezmiernie był chciwym na tego rodzaju broszury i kupował pierwszy, jak się tylko coś w tym rodzaju pojawiło. Na jego biurku leżała już spora kolekcja różno-kolorowych szpargałów, które czytał od deski do deski, z których robił notaty i nicował w rozmowie z żoną tak, że zdawało się imości jakoby miała przed sobą conajmniej samego ekscelencyę ministra dla spraw galicyjskich, obeznanego z każdą najdrobniejszą kwestyą państwową. Materiały więc do wyjśó mającej rozprawy szanownego obywatela rosły coraz bardziej, a on sam tak się czuł przeciążonym pracą, że zaczął się oglądać za sekretarzem, któryby mu jakiś ład w tem wszystkim porobił.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia zjawia się w jego gabinecie, ogromnie zaaferowany dyrektor Banku powszechnego kredytu... Pan Marcin był w szlafroku jeszcze, w pantoflach i greckiej czerwonej czapeczce z ogromnym kutasem jedwabnym, więc kiedy zobaczył takiego gościa u siebie, dalej-że uciekać i wołać Michałka.

— W tej chwili, panie dobrodzieju, służę — woła z drugiego pokoju ubierając się co żywo.

— Ależ szanowny panie — odzywa się dyrektor — ja tylko na chwilkę, proszę nie robić sobie subiekcyi.

— W ten moment służę... a, panie dobrodzieju, taki gość, taki łaskawy gość... Gdzież mi pakujesz ręce ty błażnie — syczy do lokaja... patrz przecież, to na nogi... daj tamten krawat w paski... Jakież szczęście, panie dobrodzieju... idź do pani żeby nam przysłała przekąskę... wódkę kamedułkę, rozumiesz...

Z rozpromienioną twarzą i rękami otwartymi w ten sposób wypadł nasz Marcin i dalejże witać dyrektora...

— A siadajże łaskawco dobrodzieju, a może cy-garko, czy papierosa... no proszę, jaki to honor dla mnie...

— Ja tylko na chwileczkę do pana — rzecze dyrektor, mieląc ustami jak to ma zwyczaj — idzie o ważną rzecz... Przyjmiesz pan wybór na członka Rady miejskiej?

— Tu we Lwowie?

— Naturalnie. Dziś na radzie w naszym banku postawiliśmy jego kandydaturę, i mnie polecono zapytać pana...

— Hm... — mruknął pan Marcin wzruszając ramionami — na radcę miejskiego, iść tam między tych kołtunów...

— Doskonały sobie pan jesteś! — zawoła na to dyrektor wstając z krzesła i klepiąc obu rękami po bokach pana Marcina. — Toś pan sądził, że my chcemy go na seryo na tym zaszczyście pozostawić!

— Sądziłem...

— Wyborny, wyborny... Cóżbyś pan pomyślał o mnie? — bzdura ma nic więcej, żeby taką wybitną osobistość u nas forsować do Magistratu... Ależ kochany panie, to tylko przejście... próba głosów na posła gdzieś! Zresztą powiem panu dobrodziejowi, gmina ma zaciągnąć pożyczkę dwa miliony...

— Ba, dwa miliony...

— I to loteryjną...

— Niech ich dyabli wezmą, loteryjną!

— My nie możemy na to pozwolić. To jest zguba dla miasta, i tak już namiętność do gry zagnieździła się

między ludem..! Ze względów zatem czysto humanitarnych nie możemy się zgodzić na taką pożyczkę.

~ Naturalnie... ja tak samo jestem przeciwny — wtrąca pan Marcin. — Właśnie, panie dobrodziej, mam tu jedną broszurę w tej materii — mówi dalej, przewracając zawzięcie stosy różnych zeszytów leżących na biurku.

— Mniejsza o to, kochany panie. Nam idzie, czy pan przyjmie lub nie przyjmie... Ośmnaście tysięcy głosów do dyspozycji, to nia lada, a tu w mieście najmniej dwa. Poprzemy pana całą forszą... Dasz się pan poznać szerszej publiczności, a jak przyjdą wybory do Rady państwa, staniesz pan w pełnym świetle na widowni.

— Ha, jak każecie, to przyjmę... Jestem przeciw loteryi, panie dobrodziej, i mam tu wszystko przygotowane...

— A zatem prosimy na posiedzenie poufne komitetu naszego...

Dyrektor wstał, aby pożegnać pana Marcina, lecz ten w żaden sposób nie chciał go puścić, dopóki nie podano wódki z przekąską. Parę razy miał ochotę rozpocząć czytanie swego artykułu, już brał do ręki rękopism i przewracał go niby od niechcienia, lecz dyrektor zaklinał, żeby mu nie psuł wrażenia cytując tylko wyjątki.

— Kiedyindziej przeczytamy całość.

Na odchodnym już, gdy był we drzwiach, obraca się nagle z uśmiechem do gospodarza...

— Kadzimy, gadamy, a o najważniejszej rzeczy zapomniałem. Pan dobrodziej, nie jesteście członkiem naszego Towarzystwa... Rozumie pan, że nie wypada nam popierać obcą osobę.

— To się zapiszę, cóż wielkiego.

— Tam, drobnostkę, złożyć parę tysięcy reńskich, aby było... Co innego gdybyś pan chciał zostać jednym z dyrektorów naszego Banku, trzeba by wystąpić z grubszą sumą, ale tak na zwyczajnego członka... Zresztą procent 9 pewny.

— A czy będzie jakie miejsce? — zapytuje ciekawie pan Marcin.

— Dawno jest wakująca posada, ale Rada zawia- dowcza grymasi w wyborze. Zresztą niedługo zbierze się walne zgromadzenie i rzecz się rozstrzygnie.

— Hm, możebym się i starał...

— Pan?—rzecze na to zdziwiony dyrektor.—Pan, obywatel ziemski, człowiek zamożny, z takim imieniem i panie dobrodziej, z głową przeznaczoną do czegoś lepszego. Pensja u nas nie wielka, tysiąc pięćset reńskich rocznie, choć tantiema powinna wynieść drugie tyle... No, ale o tem potem, teraz idzie o przyjęcie udziału... Czekamy o piątej...

Dyrektor wyszedł, a uszczęśliwiony pan Marcin tylko się wyprostował, wąsa zakręcił i spojrzął w zwierciadło...

— Idziemy w górę, panie dobrodziej — powiedział sobie — kiepska płaca, ale co mi to szkodzi... trzeba pomyśleć o tórn dyrektorstwie... Niech Antoni wie, że i ja też coś mogę. Nienawidzę tego pyszałka za jego nedorzeczną dumę... Dyrektor banku, dyrektor... ot skinę palcem i będę takim samym... a jeszcze proszą...

O naznaczonej godzinie pan Marcin pierwszym był w lokalnościach banku, i złożył dwa tysiące złotych reńskich, jako pierwszą ratę na trzydzieści udziałów. Wydano mu kwit tymczasowy, wpisano uroczyście jako

członka stowarzyszenia z nieograniczoną poręką—a pan dyrektor kazał mu doręczyć spory pakiet druków zawierających w sobie statut banku i wiele innych sprawozdań, budżetów, regulaminów i innych czynności, tyle sławnego na cały świat stowarzyszenia opartego na wzajemności.

Pan dyrektor banku w wyśmienitym był humorze, zacierał ręce, a kazawszy przynieść do swego gabinetu starego Tokaju, któremu, jak mówił, warto dać buzi, co chwila ściskał za ręce pana Marcina, dziękując, że dla publicznego dobra zdecydował się przyjąć kandydaturę. Na zebraniu tem był prócz nich, ów prezes rady nadzorczej i jeszcze jeden obywatel miejski, zapalony agitator wyborczy, człowiek niezmiernie sprawami publiczne- mi zaferowany.

Prezes od dawnego już czasu jest radcą miejskim i gorliwie się zajmuje sprawą czyszczenia ulic, w której jedynym i kompetentnym jest specjalistą. Obywatele, dziennikarze obradujący w kiszce cukierni, nazwali go przez żarty, referentem od śmiecia, o co wcale się nie gniewa. Przy pierwszym spotkaniu z panem Marcinem, zostając pod wrażeniem podróży do Włoch, głowę miał zaabsorbowaną Rzymem, lecz teraz kiedy się rozpatrzył po mieście, wspomnienia audyencyi u Ojca Świętego pobladły, a właściwe zamięłowanie do lwowskiego śmiecia wróciło w całej pełni. Co kto z obecnych rozpocznie dyskusję o sprawach europejskich, pan prezes kieruje zawsze na swoją funkcję referenta, a że we wszystkich kieszeniach ma mnóstwo notatek statystycznych, odnoszących się do tego przedmiotu, więc wywody swoje popiera zaraz dokumentami i cyframi wywożonego śmiecia

w każdym miesiącu, ma się rozumieć w stopach kubicznych nieprzepuszczając ułamkom.

— Panie b dzieju, ile-to dawniej płacono się przedsiębiorcy nim ja wszedłem do tej sekcji, a ile dziś, kiedy zaprowadził własną administrację? Naprzykład, panie b dzieju, dwa lata temu — mówi przerywając gorączkowo szpargały — przez marzec i kwiecień zapłaciło miasto, panie b dzieju, 11,322 reńskich 7 i pół centów, a w tych samych miesiącach tego roku czternaście tysięcy...

— No, to więcej — mówi dyrektor.

— Ale więcej, panie b dzieju — powtarza z uśmiechem tryumfu pan prezes — więcej... tak się to zdaje z pozoru, gdy tymczasem ja mówię, panie b dzieju, że mniej.

— Przecież czternaście tysięcy jest więcej od jedenastu...

— Tak, panie b dzieju, więcej, a jak ja panu dowiodę, to będzie mniej. Bo ile wywieziono stóp kubicznych wtedy, a ile teraz? no, ile? Otóż ja, panu b dziejowi, mam zaszczyt powiedzieć, że wtedy było 42,731 i dwie trzecie, a tego roku, panie b dzieju, 68,236 i pół. No, więc ile tam wypadnie za stopę, a ile teraz?... proszę policzyć, no proszę.

— A czy przedsiębiorca wywoził na stopy, czy ryczałtem.

— Ryczałtem, panie b dzieju, naturalnie ryczałtem.

— Więc miastu wypadło taniej?

— Gdzież taniej, jeżeli było 68,236 i pół stóp!

— Cóż to znaczy, jak przedsiębiorca wywoził ryczałtem...

— A i my, panie b dzieju, także wywoziliśmy ryczałtem — wypowiada z całą naiwnością prezes... — Już, panie b dzieju, biuro techniczne doskonale rachuje, oni tam, panie, na włos się nie myślą, a skoro wykazali, że taniej wypadło, to taniej. Nikt, panie b dzieju, tak się nie zna na tem, jak ja. Przejdę koło gromady wyrąbanego lodu, spojrzę i o zakład zgadnę, ile tu będzie stóp kubicznych... Sprawiliśmy, panie b dzieju, dwadzieścia ośm nowych ryczałtów, wymierzyliśmy...

— Co to za ryczałtów? — wtrąca już pan Marcin.

— Prezes chciał zapewne powiedzieć wozów, czyli kar...

— Wszystko jedno, ryczałty czy kary — przerywa gorączkując się prezes. — Jedni tak nazywają, drudzy, tak, panie b dzieju, dosyć, że koła, panie b dzieju, tęgie, osie tęgie... sam wybierałem, bo ja w takich rzeczach nikim się nie wyręczam...

Śmieją się ze mnie po dziennikach, niech się śmieją, a ja, panie b dzieju, do czego się wezmę, to się znam!.. Ci, panie b dzieju, z przedmieścia krzyczą na nas: inteli- ligentniki! gdzie im do praktyczności, teoretyki. Ja sobie, panie b dzieju, kpię z tych gadać, a miastu robię oszczędność. Terazby nas chcieli wypchnąć z ratusza... Oho, panie b dzieju, nie zemną grać! — zawołał uderzając pięścią w stół i czerwieniąc się z oburzenia staruszek. A potem już nic nie było słyhać, tylko, panie b dzieju, mości b dzieju, b dzieju, tak, że nawet pan Marcin widząc to zaperzenie się prezesa i ciągle powtarzanie panie b dzieju, zaczął się śmiać pocichu...

Skończyła się dysputa, dyrektor i ów obywatel polityk wzięli na siebie całą manipulacją przeprowadzenia kandydatury pana Marcina, więc on też zaprosiwszy ich

także na ów wieczór do siebie, poszedł do domu pełen zadowolenia i nadziei. Naturalnie, że nie powiedział żonie o wniesieniu dwóch tysięcy reńskich na udział w banku publicznego kredytu, żeby nie myślała, iż on pieniędzmi kupuje sobie znaczenie, ale za to uprzedził ją o zaproszeniu nowych gości.

— Wystąpić trzeba, moja żonusi, niech wiedzą kto my tacy...

— Bądź spokojny, nie powstydzisz się Marcinku.

W mieście tymczasem ruch przedwyborczy czuć

już było w powietrzu. Dla człowieka, który nieznając agitacji wyborczej, pierwszy razby przyjechał wtedy do miasta, i zobaczył to dziwne zaferowanie wszystkich, te szepty w jednym kącie, głośnie wykrzykniki w drugim, owe narady po domach prywatnych, owe kaptowania i niezwykłą czułość znajomych, którzy przedtem ledwie kiwali sobie głową zdaleka — niezawodnie przyszłoby na myśl, że ci ludzie jeżeli nie mają bzika, to przynajmniej muszą być w gorączce.

Na ulicy, w kawiarni, restauracyi, w biurze, omal że i nie w kościele, nikt o niczóm innem nie mówi jak tylko o wyborach. Pomimowoli człowiek najobojętniej usposobiony do wszelkiej polityki, wpadłszy w ten wir kotłującej się mody wyborczej, musi się także kręcić razem z innymi i zainteresować sprawą, absorbującą wszystkie umysły. Z początku, symptomata tej jakby niezdecydowanej choroby są mało wybitne i okryte pewnego rodzaju dyplomatyczną tajemniczością. Każdy czuje, że coś gdzieś się robi, że w powietrzu wisi jakaś niespodzianka, bo agitatorowie biegają zaferowani i konferują pocichu, na ulicach przyjaciele biorą przyjaciół pod rękę, uprowadzają na bok, i coś szepczą,

a posłańcy publiczni, tracą nogi, roznosząc zaproszenia na różne poufne zebrania.

W sklepach i kantorach tak samo!" Ani się dogadać z nikim, ani się o co dopytać, bo obywatel kupiec zwykle pulchniutkiej powierzchowności ma koło siebie za lada cós ze sześciu przyjaciół wyborców, którzy go opasują energicznie, jakby mieli zamiar powziąć mu ręce i odprowadzić do aresztu.

Najgorsza sprawa to już z krawcami, mającymi tutaj szczególniejszą predylekcyę do polityki. Czytelniku, nie radzę ci nigdy podczas kanikuły wyborczej zamawiać sobie ja.kiebardz ubranie we Lwowie; doświadczysz tego, co twój unizony sługa, który dotąd jeszcze chodzi w paltocie z epoki ostatnich wyborów do Rady państwa, a od którego zawsze odskakują mi dwa guziki na przodzie, ile razy pozwolę sobie kichnąć bez należytego przygotowania. Pamiętam, jak pan Franciszek Salezy brał mi miarę, mając koło siebie trzech obywateli przeciwnych kandydaturze ministra dla Galicyi. Cyfry centymetrów mieszały się wówczas z planami Bismarcka, ilość kieszeni w moim surducie z polityką lir. Andrassego, a właśnie wtedy miałem objęte tasiemką piersi, kiedy wyszła na plac negligencya ministra bez teki. Pan Franciszek Salezy, aż podskoczył, słysząc zarzuty przeciw ulubieńcowi swemu, i tak szybko zerwał mi ową mierniczą tasiemkę, że o sześć centymetrów piersi zrobiły się węższymi. Surdut musiałem przyjąć z różnych powodów od woli mojej niezależnych, ale daję wam słowo, że przy każdym odskoczeniu guzika, stoi mi przed oczyma szanowna ekscellencya bez teki, do której i ja z tego tytułu muszę mieć żal nieukojonny.

Kiedy tak wszystko już dobrze się podgotuje, no

tabene pod pokrywką, pięknego poranku zjawia się nagle odezwa na ścianach domów miasta Lwowa, którą grono obywateli miejskich zaprasza wyborców do sali ratuszowej, na przedwstępne zebranie. Kto dłużej mieszka we Lwowie, już z góry wie, z jakimi spotka się nazwiskami tego grona obywateli. Będzie tam niezawodnie pan Piotr, pan Jan, pan Wacław, pan Bernard i kilku innych figurujących zawsze na tego rodzaju plakatach. Akcja wyborcza tedy zaczyna wchodzić w drugi okres, a to powoduje, że inna partya, działająca pod hasłem ręka w rękę, co tchu drukuje także swoją odezwę i lepi nią zawzięcie odezwę głośnych (czytaj krzykaczy) zapraszając tak samo na zebranie, ale już nie w sali ratuszowej, którą przywłaszczyli władzy dla siebie zagarnęli. Jak tu nie iść, kiedy wszystko co żyje biegnie na ratusz. Sala nabita, że trudno się przecisnąć, galerye aż trzeszczą, a stół nakryty zielonym sukniem ma już nieodłączny dzwonek wraz z karafką wody i zdaje się czekać na prezydującego. Ktoś z grona obywateli podpisanych na odezwie, wstępuje na estradę i proponuje pana Gerwazego na prezesa zebrania... „Prosimy pana Gerwazego, pan Gerwazy, niech będzie pan Gerwazy” — odzywają się ze wszystkich stron głosy wyborców, i wysoki chudy mężczyzna z jasnymi jak len faworytami, zajmuje krzesło przewodniczącego.

— Panowie!—rzecze, opierając się rękami na stole — panie dobrodzieju, dziękuję, panom dobrodziejom, tego, za ten zaszczyt, panie dobrodzieju, i proszę, panów dobrodziejów, abyście raczyli wybrać komitet obszerniejszy ze stu pięćdziesięciu członków. Nie potrzebuję, panom dobrodziejom polecać listy ułożonej przez grono najznakomitszych obywateli miasta, panie dobrodzieju,

A. Wilczyński—Tom XIV,

bo wszyscy ich znamy, jako ludzi poświęcających krew swoją i mienie dla spraw publicznych... Na skrutatorów zapraszam panów... panów...

Tu jeden z grona obywateli siedzących najbliżej stołu, podaje mu karteczkę, z której czyta ten mąż nazwiska owych mężów skrutatorów, a ci występują z tłumu i grupują się przy oddzielnym stoliku.

— Proszę o głos! — woła jakiś mały pękaty brunecik.

— Pan Dawidowicz ma głos...

Więc pan Dawidowicz, odrzuciwszy ruchem prawej ręki spadające mu na czoło włosy, wchodzi na trybunę, a odchrząknąwszy raz i drugi, kładzie rękę do kieszeni spodni i tak zaczyna:

— Panowie! Muszę tu zaprotestować w imię większości wyborców miasta Lwowa, przeciw samowładnemu i niczem nieusprawiedliwionemu zagarnięciu władzy przez pewne stronnictwo rezydujące na ratuszu, które formuje listy...

— Pst, pst... nieprawda... lista jest naszą... wyskakują głosy z sali.

Prezes dzwoni, ale zgiełk nie ustaje, pośród którego nie słyhać już co mówi obywatel trzymający rękę w kieszeni, a tylko widać, że rusza ustami. Nareszcie zagłuszony sykaniem i stukiem, któremu galery a dość energicznie wtóruje, schodzi ów mówca z trybuny, a w całej sali tylko szeleszczą arkusze papieru podawane sobie z rąk do rąk, które przeglądają, kreślą, dopisują, kiedy gorliwsi składają te listy do rąk prezydującego. Naturalnie, że lista proponowana przez grono obywateli przechodzi cała bez zmiany, a choć odzywają

się gdzieniegdzie niesforne protestujące głosy, zgromadzenie przechodzi nad nimi do porządku dziennego.

Na drugi dzień stu pięćdziesięciu mężów zaufania zgromadza się znowu dla wyboru ściślejszego komitetu z trzydziestu, który ma ułożyć listę kandydatów na radców miejskich w liczbie stu, i tę polecić wyborcom do głosowania.

Dotąd agitacja szła jeszcze jako tako, ale z wyborem komisji trzydziestu, zaczyna się podnosić głośniejsza opozycja, a już gdy dojdą wiadomości o liście kandydatów do rady, powstają formalne krzyki po mieście. Ten przepadł, tego wybalotowali, tego popiera ten a ten... co to jest, wzięli miasto w arendę, to krzykacze! precz z nimi!—dają się słyszeć głośne narzekania i oburzenia po różnych miejscach publicznych, a stronnictwo przeciwne głośnym, drukuje protesty, odbywa zgromadzenia i formuje oddzielną listę kandydatów z umieszczeniem godła „Ręka w Rękę,” które wyobrażone jest rysunkiem przedstawiającym dwie dłonie w uścisku. ^

Pan Marcin dotąd leniwie prowadzący obywatelski swój żywot na wsi, dostał teraz formalnego zawrotu głowy i stał się jednym z najgorętszych agitatorów stronnictwa „Ręka w Rękę.” Ani go sprowadzić na obiad do domu, ani mówić o czem innym. Jeździ, przemawia, wąsa podkręca, częstuje, przekonywa ubogich w duchu i to tak, że pani Marcinowa widząc go codzień wracającego po północy do domu, zaczyna się lękać o jego zdrowie.

— Marcinku, na miłość Boską, odpocznij trochę!

— Nie, nie, nie, moje życie, ja zawsze tak... Robić to robić. Ho, ho, wypędzimy tę zasiedziałą klikę

krzykaczy z ratusza. Powiadam ci starłem się z Antonim, ale jak się starłem! Faryzeusz—śmiał mnie sąsiadowi swojemu powiedzieć wobec całego zgromadzenia, że jestem doktrynerem. Proszę cię, ja Marcin, obywatel ziemski, mości dobrodzieju, ja doktrynerem. Już się nie kłaniamy wcale... Wielki człowiek, dyrektor jakiegoś tam towarzystewka... Palcem kiwnę i będę daleko lepszym. Mówię ci, kochanie moje, jest-to nic, tylko karyerowicz najczystszej wody.

— Ależ ciotka z niemi żyje w przyjaźni, ja z Antoniową jestem dobrze...

— Co mnie obchodzą ciotki i Antoniowa! Sprawa publiczna, mości dobrodzieju, przedewszystkiem.

— Eh, dałbyś pokój temu radcostwu, nie wybiorą cię i jeszcze się skompromitujesz. Leż tam między mieszczañstwo, nie wielki zaszczyt.

— A hrabia Władysław, a hrabia Andrzej? Moje serce, człowiek publiczny nie może lekceważyć niczego. Czasy się zmieniają, trzeba iść naprzód. Popularność, panie, jest wszystkim. Ilu to ludzi od tego zacząwszy doszło do takich godności i zaszczytów? Ozem był pan Floryan, hę? burmistrzem. A zresztą, proszę cię, tu chodzi o pożyczkę... uważasz nasz Bank...

— Jaki nasz?

— No, nasz Publicznego Kredytu... Mam honor pani powiedzieć, że jestem członkiem tego banku.

— Kiedy, jakim sposobem?

— Jakim? Hm—odrzekł pan Marcin, prostując się i węża podkręcając jak żołnierz na paradzie. — Nie myśl, że ja tak biegam na wjatk. — A zbliżywszy się do żony nachylił się do jej ucha, szepcząc: — Ja ci powiem koteczko, idę do góry i robię interesa, tak jest robię in-

r •

teresa... Wszystkie dzienniki, są zamną, mam ich tu, mości dobrodzieju (pokazuje na kieszeń) i niechno wyjdzie moja broszura, zobaczysz serdeńko, co twój mąż...

^ Pani Marcinowej nie pozostało nic innego do roboty, jak tylko słysząc podobne tajemnice, rzucić się na szyję mężowi i wycalować i pociągnąć go za wąsy, jak to robiła zawsze, będąc w dobrym humorze.

— Tylko też, mój drogi Marcinku nie pracuj tak bardzo — rzecz widząc, że on włożywszy na siebie szlafrok zasiada do biurka. — Sława i zaszczyty swoją drogą, a zdrowie twoje droższe mi jest nad wszystko.

— Trudna rada, bez pracy nic! Pamiętasz na wsi nieraz mi zarzucałaś, że nic nie robię, prawda? Ot, widzisz teraz, nikt mię nie napędza, a pracuję jak ostatni dyetaryusz... I myślisz, moja droga, że mi tak bardzo idzie o tę marną sławę? Nie, mości dobrodzieju, rąbię to, bo czuję się użytecznym, i chcę dzieciom zostawić dobry przykład. Pojutrze ma się u nas zebrać grono przyjaciół moich politycznych, więc muszę z czemś wystąpić. Nie uwierzysz, serce ty moje, jak ja się coraz bardziej wyrabiam, dalibóg sam nie wiem z kąd to się we mnie bierze. Siądź-no trochę i posłuchaj. JPrze- czytam ci jeden kawałek o potrzebie kształcenia się u nas w dyplomacyi. Strach jak to pole odłogiem jeszcze leży, gdy tymczasem bez wyższej polityki i dyplomacyi nic nie zrobimy. Nie siła, mości dobrodzieju, nie wojsko i armaty budują państwa i stwarzają wielkie dzieła—ale dyplomacya. Czem byłyby Włochy bez Cavoura, Anglia bez Beaconsfielda, Prusy bez Bismarcka, a Bosa bez Górczakowa? Dlatego uważasz ty, kochanie moje, postanowiłem ziomkom ufffćwić pracę w kształ

cenii się na polityków w nowożytnym tego słowa znaczeniu.

Pani zajęła miejsce na krześle obok biurka, a oparłszy swoją, piękną główkę na rękach wlepiła oczy w męża, poznając dopiero teraz, czym jest ten człowiek, którego dawniej jakby instynktem ukochała.

— Słuchajże, dwanaście jest przymiotów dobrego polityka, w których on ćwiczyć się i ciągle w pamięci mieć je powinien. Pierwszy przymiot: przy wszystkim szlachectwie—brak szlachetności. Hojny człowiek majątku, szlachetny minister nigdy państwa nie utrzyma. Lecz jak z jednej strony rzeczywiście szlachetne postępowanie w polityce i dyplomacji jest wielce szkodliwe, tak znowu z drugiej udana szlachetność niezbędnie potrzebna dla każdego wytrawnego polityka.

— Marcinie — przerywa mu żona robiąc wielkie oczy—a gdzieżeś ty takie maksymy wyczytał?

— Gdzie? Tu, tu, panie dobrodzieju—mówi pukając palcem w czoło. — Polityka, panie, to nie konkury do panny, ani sentymenta. Wszelkie czułości nabok...

— Dziękuję uniżenie, i skoro tak, to nie chcę żebyś się zajmował polityką.

— Moja droga, kto chce być mężem stanu...

— Nie, nie, nie. Ja chcę żebyś był ciągle moim mężem!

— Pozwólże, niech przeczytam dalej. Wprzód wysłuchaj cierpliwie, a potem otworzymy dyskusję. Otóż drugi przymiot dobrego polityka: umiarkowanie; trzeci: zachowanie tajemnicy. Lord Clarendon powiedział raz, że wszystkie dziesięcioro przykazań Boskich możnaby jednym zastąpić: „Twoje działanie zostaje taili

jemnicą i nie będzie odkryte." Czwarty: udawanie przy zachowaniu pozorów szczerości. Piąty: roztargnienie lub wesołość przy skupionych myślach: tu strzyż a tu gól. Szósty: znać się na intrygach i użyć ich w razie potrzeby... Otóż i pole popisu dla kobiet, których wytrawny dyplomata jak należy używać powinien... v

W tem miejscu szanowny orator pozwolił sobie cofnąć się wstecz i wykazał małżonce, jako my nie mieliśmy nigdy prawdziwych polityków, takich naprzykład jak Anglia lub Włochy. Czy myślisz, kochanie, że polityka nawet w codziennem życiu nie jest korzystną? Obywatel polityk, panie dobrodzieju, żadnego głupstwa nie zrobi, będzie rachunkowym, z sąsiadami żyć zgodnje majątku nie straci... Dobroć serca to jest głupstwo wiodące do ruiny... ty, panie dobrodzieju, całuj, a myśl jakby tu całowanemu chustkę wyciągnąć z kieszeni. Cha, cha, cha... jak mi się udało to porównanie — mówi odurzony ^oraz bardziej swemi pomysłami, gdy pani Marcinowa ziewnąwszy raz jeden i drugi, zaczęła przymrużać powieki, a wreszcie zdrzemnęła na dobre dozwoiliwszy sobie lekkiego chrapania.

Okoliczność ta podrażniła nieco miłość własną dyplomaty, bo nagle uciął i ramionami wzruszył z politowania.

*

— No, czemuż nie czytasz dalej? — zapytuje pani przebudzona tą ciszą.

— Eh, idź spać, idź — rzekł całując ją dyplomatycznie w głowę.—Za ciężka to potrawa dla ciebie. Idź, idź, ja jeszcze muszę coś przejrzeć i ogładzić, a jak przyjdzie potrgeba,*nie zapomnę dać ci odpowiednią rolę.

Wiadomo, że wielcy ludzie rość muszą wśród przeciwności. Droga do sławy nie jest wolną od tysięcy rowów i zasieków, przez które albo przeskakiwać, albo na których mosty budować potrzeba. Pan Marcin, oddawszy się praktyce na wielkiego polityka, był przygotowanym na wszystko, a stosując zasady swojej dyplomacji w praktyce, unikał szczęśliwie wszelkich przygód, lub kiedy już w nie popadł, wywijał się zwycięzko.

Obchodząc rano jak zwykle hotele, na drugi dzień wyczytał w bramie jednego z nich wypisane nazwisko hrabiego Stanisława, tego właśnie, który posiadając dobra w jego sąsiedztwie, radził mu nie chować swych zdolności pod korzec, lecz dać się poznać szerszej publiczności. Wiadomość ta była mu bardzo na rękę, w obec jutrzejszego zebrania w jego domu. A nużby hrabia raczył przyjąć zaproszenie i pokazał się w salonach. Jaki to byłby splendor, jakie podziwienie dla całego grona, i o ileby pierwszy jego debiut na arenie politycznej, owo odczytanie rozprawy „o potrzebach społecznych” na tem mogło zyskać. Zamiast tedy do cukierni, wraca do domu, przebiera się we frak, nakłada jasne rękawiczki, i śmiało puka do drzwi mieszkania hrabiego.

— Proszę—odzywa się głos ze środka.

W pokoju trzech jeszcze młodych panów siedziało przy stole, prowadząc dość ożywioną rozmowę. Gdy wszedł pan Marcin, jeden z nich z długą złotawego koloru brodą podniósł się z kanapy, aby przybyłego powitać. Lecz pan Marcin zbliżywszy się do stołu, dosyć impertynencko obejrzał każdego, a gdy pomiędzy nimi nie było hrabiego Stanisława odezwał się z powagą:

— Panowie zapewne czekacie na pana hrabiego,

pozwólcie więc, że się wam zarekomenduję i także poczekam.

JTu powiedziawszy swoje nazwisko, uklonił się ety- kietalnie, oni również mu się odklonili, a ów z czerwoną brodą wskazał mu ręką krzesło ażeby usiadł.

Nastąpiło dość kłopotliwe dla wszystkich milczenie. Rozmawiający poprzednio umilkli, a pan Marcin chrząkając głośno, pokręcał węża i przekładał ciągle jedną nogę na drugą. Znalazłszy się między nieznanymi, nie wiedział od czego tu zacząć rozmowę, oni zaś spoglądając znacząco, po sobie, uśmiechali się przypatrując tej dziwnie sztywnej i wymuskanej postaci przybysza. Nareszcie jeden z nich, właśnie ten sam brodaty, odzywa się w bardzo delikatny sposób:

— Przepraszam pana, zdaje się, że pan musiał się pomylić wchodząc tutaj?

— Nie panie, nie pomyliłem się, wszakto jest numer piąty?

— T^k jest, piąty...

Znów chwila milczenia, podczas której pan Marcin nie tracąc kontenansu, jako człowiek pewny siebie wyjmując cygarnicę z kieszeni, a oderwawszy paznogcia- mi koniec cygara, zbliża się do stołu na którym stoi paczka z zapalkami.

\$

— Panowie pozwolą, że zapalę—mówi sięgając po pudełko, które jeden z panów podaje mu z uprzejmością. Potarł zapalkę, cygaro z całą skrupulatnością zapalił, a wróciwszy na swoje miejsce usiadł z całą swobodą.

Jeden z mężczyzn nachylił się do tego pana z brodą i coś mu szejfhął, drugi nadstawił ucha i głowę kiwnął.

— Jakkolwiek bardzo mi przyjemnie poznać pana dobrodzieja — rzecze ten sam brodaty z pewnym jankaniem się w głosie — jednak radbym wiedzieć czemu mam zawdzięczać te odwiedziny.

— Chcę widzieć się z panem hrabią Stanisławem, a że panowie także pewnie czekacie na niego...

— Nie panie, my nie czekamy — odzywa się drugi z czarnymi wąsikami, spoglądając niespokojnym wzrokiem w stronę pana Marcina.

— To pozwólcie niech ja poczekam...

— Właśnie ja jestem hrabia Stanisław — mówi wstając i zbliżając się ku niemu ten ze złotawą brodą.

— Pan, hrabia Stanisław? — rzecze także powstając nasz dyplomata, z miną człowieka obrażonego.

— Tak jest., ja jestem hrabia Stanisław, i czém mogę panu służyć.

— To nieprawda! — zawoła już podniesionym głosem. — Ja, panie, dobrze znam hrabiego...

— Panowie — mówi hrabia tonem rozdrażnionym, obracając się do towarzyszy — proszę was, wytłómaczcie temu panu, kto ja jestem.

— Bez żadnej wątpliwości, hrabia Stanisław.

— A ja powiadam, że nie! Panowie robicie sobie żarty ze mnie! — przerywa już cały drżąc pan Marcin. — Ja hrabiego Stanisława znam dobrze, byłem u niego parę razy na obiedzie; żadnej mistyfikacyi z sobą robić nie pozwolę.

— Pan, u mnie na obiedzie?

— Nie, u pana nie byłem, ale u prawdziwego hrabiego w Boduszycach.

— W Boduszycach? — powtórzyli wszyscy trzej naraz śmiejąc się wesoło. — W Boduszycach!

— Tak jest, w Boduszycach — mówi energicznie pan Marcin—i w tem nie widzę nic śmiesznego.

— Masz pan racją—odzywa się pan z brodą.

— Spodziewam się...

— Bo ja jestem z Gołoskowa także hrabia Stanisław i tego samego nazwiska. Zatem rzecz wyjaśniona, i pan dobrodziej miałeś racją i ja mam racją...

— W takim razie—odzywa się, z powagą wstając pan Marcin, jeszcze mocno rozdrażniony — trzeba było kazać napisać hrabia Stanisław z Gołoskowa, ażeby ludzi w błąd, nie wprowadzać.⁴

— Kochany panie...

— Przepraszam, ja nie jestem kochany — przerywa Marcin rejterując do drzwi.

— Więc, szanowny panie, w takim razie należało panu wprzód wywiedzieć dobrze u szwajcara z kąd kto przyjechał a nie nachodzić cudzego mieszkania.

Pan Marcin już nic nie odpowiedział, ale zły i cały czerwony, wyszedł na korytarz klnąc w myśli wszystkich hrabiów. Jaka buta, panie dobrodzieju... ja mam się dowiadywać z kąd on przyjechał, doskonały sobie... Ot, to taka sprawa z naszymi panami... ja u szwajcara... Dobrze mówi efendi, że to wszystko już przeżyte... Kapitalny, po co on sobie ma robić subiekcję i kazać wypisywać z kąd pochodzi... niech szlachta łamie głowę. Nie, o nie... z mieszczaństwem trzymam i naszą inteli- gencyą; tam przynajmniej człowieka szanują... Skoro tak, idę z postępem, idę wciąż, i ani myślę stanąć...

Zdaje się, że ten dzień już był zapisany w dziejach pana Marcina jako feralny, skoro i wieczór spotkały go same nieszczęścia. Jeszcze nie ochłonął z iry- tacyi po wizycie u hrabiego, gdy powróciwszy do siebie,

wziął się do uporządkowania notatek, z których miał zdać sprawę o zapatrywaniach swoich na interesa społeczne. Jaknazłość jedna najważniejsza, o wpływie wojny z Zulusami, gdzieś zaginęła. Szuka, gniewa się, papiery przewraca, zwołuje chłopców, czy który nie zabrał, wymyśla służącemu, jak kamień w wodę, cały arkusz spostrzeżeń gdzieś przepadł. Nie ma rady, trzeba na nowo pisać, a tu jak na złość, zapomniał samego tytułu rozprawy. Pamiętał, że idzie rzecz o wpływie tej wojny na coś w Galicyi, ale tego wyrażenia na co, w żaden sposób przypomnieć sobie nie może... Zaczynają mu się plątać różne łacińskie słowa: ekskursya, akcyza, frekwentacya, ekspozycya, ewidencya, ale to wszystko nie to, jak mu powiedział wówczas w cukierni Hudobiński... Desperacya go bierze, przewraca słowniki, czy czasem nie trafi na coś podobnego, lecz i to nie pomaga. Do obiadu żona woła, on chodzi po gabinecie, wąsa targa, coś do siebie szepcze i nic nie słyszy.

— Winiu, serce, zbaw mię!—rzecze ze słodziutką miną składając przed nią ręce.—Zapomniałem jednego wyrazu o wpływie tej wojny Zulusów na coś... ale dya-bli wiedzą na co... wiem tylko, że w Galicyi. Nie pamiętasz ty na co?

— Pójdź, pójdź, bo zupa wystygnie — mówi żona ciągnąc go za rękę do jadalnego pokoju.

— Nie pójdę, dopóki sobie nie przypomnę... Pamiętasz, ja ci to opowiadałem raz... na konsolidacyą... ale nie na konsolidacyą...

— Zdaje mi się, że wegetacyą, czy coś podobnego...

— To-to-to... na wegetacyą! A niechże ci Bóg da

zdrowie moja Winiu... Poczekaj, muszę sobie zapisać, bo znowu zapomnę.

I pobiegłszy do biurka, wielkimi literami naba- zgrał tytuł: „O wpływie wojny Zulusów na wegetację w Galicyi.”

Przy obiedzie zdecydowanym zostało, że pani nie będzie się pokazywała w salonie, chyba gdyby ktoś wyraźnie życzył sobie być prezentowanym, ale za to syn Ludwik powinien się tam znajdować dla oswojenia się z poważniejszemu towarzystwem i aby mógł słyszeć, jak ojciec będzie czytał rozprawę o rzeczach politycznych.

Pan Marcin, mimo całej pewności siebie, czuł pewną obawę przy pierwszym wystąpieniu, dla tego całe popołudnie ćwiczył się w wymowie, powtarzając różne okresy przyszłej rozprawy. Przy czynności tej stał przed lustrem, studyując ruchy: gdy trzeba było zrobić większy nacisk retoryczny, wskazywał energicznym gestem ręki na dół, jakby przeciwnika swego widział tuż u stóp swoich; gdzie szło o tryumf, pokręcał wąsa i brodę gładził, a wreszcie jak wypadało się rozczulić, podnosił oczy do góry, i prawą ręką chwycił się za serce.

Przyszła wieczór i goście zaczęli się schodzić. Pierwszym był prezes Rady Nadzorczej wyświeżony, we fraku, z, ponsowym gwoździem w dziurce od klapy, imitującym niby wstążeczkę orderową. Z nim razem przyszedł dyrektor banku, jak zwykle z głową pochyloną na dół, z latającymi oczkami i nosem wyciągniętym naprzód do węszenia. Rzeczywiście, miał on w postawie swej coś wyzłego; bo jak tylko wszedł do pokoju, musiał obejrzeć wszystko, zajrzeć do każdego kąta, każdego przedmiotu dotknąć, spojrzeć na sufit, i o mały

\
że zębami każdej rzeczy nie spróbować. Nie pytając się gospodarza, czy sobie życzy lub nie życzy, kazał Ludwikowi pokazać jak stół nakryty, gdzie stoi wino, policzył ile butelek, przestawił kandelabry, gdy tymczasem prezes operował pana Marcina, porównyując porządek na ulicach Lwowa z czystością Rzymu, z czego ma się rozumieć wynikało, że stolica Włoch przytem porównaniu ze stolicą Galicyi, jest poprostu śmietnikiem. Szanowny prezes, jak wiadomo, nie odznacza się bardzo wielką konsekwencyą w rozmowie, więc nazwiska Rzymu i innych miast włoskich, przez które przejeżdżał, nieustannie mu się mieszają tak, że pokazało się jako Florencyja ma kanały wodne zamiast ulic, panie bdzieju, a bruk na ulicy Ormiańskiej we Lwowie, może zawstydzić najpyszniejszą ulicę w Weneoii.

Literaci, dziennikarze i znajomi pana Marcina z cukierni nie bardzo jakoś dopisali; zamiast kilkunastu przyszło ich kilku, a i ci, rzecz dziwna, niewiele sobie robili subiekcyi z panem Marcinem. Podano wódkę przed kolacją; była to prawdziwa benedyktyńka, którą pasyami lubił prezes, trzymając przeto kieliszek w ręku, zaczął opowiadać różne przygody swojego żołądka, w których ten nektar klasztorny wyświadczył mu prawdziwe dobrodziejstwo.

— Wystaw pan sobie, panie bdzieju, raz pojechaliśmy z damami na majówkę. Ja, panie bdzieju, bo zawsze lubię przysunąć się do ładnych kobietek, a moja żona, panie bdzieju, jest zazdrosna jak Magiera... W lesie tedy, uważasz, panie bdzieju, wszyscyśmy się roztasowali, ja sobie jak zwykle koło pani Adamowej tego... żarty, panie bdzieju... a lubi mię Adamowa, bardzo mię lubi, bo ja jej czasem, panie bdzieju, tak coś dwuzna

cznego... tak... uważasz, panie b dzieju... Tu chichoczymy jak student z pensyonarką, a mnie naraz, panie b dzieju, jak zakręci...

— Słyszeliśmy o tem kręceniu już tyle razy—odzywa się Hudobiński.—Niechno pan dobrodziej, wypije likier, a zaraz się odkręci...

— Za pozwoleniem.

— Pij pan, bo czekamy — odzywa się z sofj siedzący trochę z turecka efendi. — Jeszcze prezes nie zostałeś rzymskim szlachcicem, a już gadasz rozwlekłej od każdego polskiego obywatela.

— Panowie, ależ to bardzo ciekawa historia...

— Wypij pan wprzód, a potem będziemy słuhać.

— Kiedy wtenczas, panie b dzieju, jeszcze nie wypilem — mówi obracając się z kieliszkiem w ręku ku sofie...

Dopiero jakoś dyrektor zainterweniował, i prezes wypiwszy, oddał kieliszek.

— Napiszę do ojca świętego, żeby pana od razu księciem zrobił za takie gadulstwo...

Podczas gdy kieliszek przechodził z rąk do rąk, dyrektor już przywłaszczył sobie rolę gospodarza i częstował niby u siebie w domu. Stary wśród gwaru rozmawiających ciągnął dalej rzecz swoją o tej przygodzie w lesie, podczas majówki. Mało kto słuhał, on gadał i gadał do znudzenia.

— Na miłość Boską—przerywa mu efendi—przynajmniej opuszczaj pan te panie b dzieju... chcesz prezes koniecznie dawać nam ziarno z ościami, to przyjmij mnie do pomocy. Pan mów rzecz samą, a ja będę dogadywał ciągle panie b dzieju... i prędzej skończymy...

W czasach postępu taki podział pracy jest koniecznością...

Kiedy w ten sposób idzie gawędka przeplatana dowcipami efendiego, a stary doszedł już do tego, że zagnalony ucieka po lesie, a żona z panią Adamową, sądząc, że zwaryował, zaczynają go gonić; otwierają się drzwi przedpokoju i wyświeżony, z błyszczącymi guzikami w jasno szaraczkowym mundurze wojskowym, wchodzi niemiłody już major wojsk austriackich.

— Seryus! — mówi zbliżając się do pana Marcina—a podawszy mu rękę, oddaje wojskowy pokłon obecnym.

Jest-to sąsiad mieszkający tuż obok gabinetu pana Marcina, Czech z urodzenia, człowieczek puciołowaty, krępy, rumiany, mówiący tak samo źle po polsku jak po niemiecku i czesku. W epoce, kiedy pan Marcin był jeszcze zwyczajnym człowiekiem, poznali się przypadkiem na schodach, a że pan major lubił partyjkę wista, więc bardzo często zapraszali się nawzajem. W te czasy pan Marcin stawał na gruncie austriacko-polskiej polityki, zgadzali się przeto z sobą na tym punkcie, jako stronnicy ministerium będącego przy władzy. Major czytywał „Polityka” pragskiego, nasz dyplomata gazetę urzędową, więc, panie dobrodzieju, nicowali dowolnie wszystkich nieprzyjaciół Austrii, a co do Bośni, byli zdania, żeby ją w połowie spolszczyć, a w drugiej połowie zczesić...

Skutkiem tej zażyłości wistowo-politycznej, tak jeden, jak drugi, skoro tylko posłyszał przezedrzwi sąsiada, szedł do niego albo na pogawędkę, albo napar- tyę pikiety, w którą częstokroć tłukli się do północy. Teraz więc major, w imię tej zażyłości, usłyszawszy

gwarną, rozmowę u sąsiada, włożył paradny mundur na siebie, i oto jest nieproszony, nieżądany w poufnem kole naszym przyjaciół.

Można sobie wyobrazić zakłopotanie i niesmak gospodarza, kiedy zobaczył tę wygalonowaną i tłusciutką figurę majora, przy której ani podobna było mówić o sprawach krajowych, podług ostatnich przekonań pana Marcina, niezupełnie liczących z dawniejszą ich polityką i zapatrywaniami cesarsko-królewskiego majora od rezerwy. Kręcił się tedy jak w ukropie, miną niezadowoloną dawał poznać, że niekontent jest z takiego gościa, ale poczciwy major nic tego nie widział, sam się zaprezentował panom i z prezesem rozpoczął ożywioną rozmowę o trudności utrzymania porządku we Lwowie.

Pan Marcin kazał przyspieszyć podanie kolacyi, sąflząc, że major zaraz potem pójdzie; ale on tak się zagadał z prezesem, tak skrupulatnie rozpatrywał przedstawiane mu rachunki wywożonych corocznie śmieci z ulic tutejszych, że wszyscy już wstali od stołu, a oni we dwóch sprzeczali się jeszcze o to, czy Praga porządniej, czy też nieporządniej prezentuje się od Lwowa.

Hudobiński powiada panu Marcinowi:

— Niechże pan czyta!

— Ba, czytajże, kiedy ten szwab siedzi — odpowiada z rozpaczą wskazując na majora.

— Wyprosić go — dodaje chłodno efendi, operując zęby piórkiem.

— Dajcie pokój! — mówi dyrektor banku — gotów go wyzwać na pojedynek.

— Tak jest gotów — wtrąca pan Marcin — okropnie sztuka zapalczywa, ja go znam. A tego, co ja na-

A. Wilczyński.—Tom XIV.

pisalem, on nie moze slyszec... taki austryak, niech Bóg zachowa...

— W takim razie zrobmy partyjke preferansa — rzecze dyrektor — ja namowię prezesa, żeby go porzucił, to major znudzi się i pójdzie.

Gospodarz chwytając się tej deski zbawienia i każe przynieść zielone stoliki, a skoro tylko je rozłożono, major jest pierwszym, który staje do apelu.

— Panie majorze — mówi ciszej pan Marcin, odciągając go na bok — nie radzę panu, bo oni grają kapitalnie.

— I ja grać kapitalnie... cesarsko-królewski major sam dyabeł się nie bać w karta.

— Grają drogo...

— I ja lubić drogo...

Nie było tedy z nim rady; zasiadł, grał z innymi i to do samej pierwszej w nocy, a ostatnia nadzieja pana Marcina spełznąć musiała na niczym. Zły też był bo zły; przy grze kartami rzucał bez najmniejszej uwagi, a major jeszcze go bardziej drażnił dogadując, że daleko mu łatwiej rozegrać losy Europy, niż jedną grę w wista.

Już na samym wyjściu, pan Franciszek Ksawery na Miłoszowie Miłosz zlitował się nad jego nieszczęściem.

— Panie radco (radcostwo to było & conto) dajcie mi swoje notaty, a ja z tego całość ułożę i wydrukuję.

— Łaskawco, zbawisz mnie! Ja panie dobrodzieju, wszystkie koszty druku chętnie poniosę, a uważasz tego tak, ani czasu, ani głowy nie mam do porządkowania. Jak idzie o pomysł, to piorunem wszystko rodzi się we mnie, ale panie kochany te ustępy, korekty,

interpunkcje pomijam... Dalibóg męczą mnie takie rzeczy.

— Ja z chęcią to zrobię, uważacie, po dziennikarsku. "Wasze myśli są genialne, daję wam słowo nie pochlebiam... ta rzecz o żydach, żeby ich uszlachcić, warta Kołłątajowskiej głowy... kapitalna. JNo, jaki chcecie tytuł? Podług mnie, najlepszy będzie: *Wiara naprzód, krok podwójny," albo „Marsz marsz."

— Już ja wolę ten krok podwójny, bo uważasz łaskawco, ja także idę krokiem podwójnym.

Ułożono się tedy o druk, papier, formuj ilość egzemplarzy, a nazwisko autora miało się pod pseudonimem „Szeregowiec ojczyzny."

— Ale gdzież tak skromnie! — wtrąca dyrektor przygryzając usta — weźcie przynajmniej „poru^{czni}."

— Ja jestem za „kanonierem ojczystym"[~]dorzu- ca efendi. — Nasz gospodarz nie jest zwyczajnym szeregowcem, i jeżeli strzela, to strzela kartaczami-

Zgodzono się tedy na kanoniera, pan Ma[>]in dał zaliczkę na kosztą druku i po wszystkich przeciwnościach tego wieczoru tem się pocieszył, że za par[^] dni zobaczy ubraną w ciało i sukienki swoją pracę, P& którą jak się wyraził Hudobiński, cała inteligency[^] z niezmierną ciekawością oczekuje.

TO

W przeddzień wyborów zwykle przybyV[^]aj\$ plac boju ostatnie rezerwy. Dotąd wojowały dw^a stronictwa: jedno tak zwane ratuszowe, złożone z^e starej, miejskiej gwardyi, drugie nowo-powstałe poi nazwą

t

„Ręka w rękę," do którego i pan Marcin mimo swej szlacheckiej przeszłości należy. Jedni i drudzy wydrukowali swoje listy, mieszczące w alfabetycznym porządku sto nazwisk przyszłych patrycyuszów miasta, które po ulicach rozlepiono wraz z kilku protestami i przeciw protestami. Lecz cóż się dzieje? koło godziny 11-ej z rana następuje rozkład w komitecie ratuszowym; malkontenci wypuszczeni z listy kandydatów, porozumiawszy się z dziennikarzami, w imię sprawiedliwości i poświęcenia dla spraw miasta, drukują trzecią listę. Po południu zjawia się czwarta setka nazwisk na czwartej litografowanej liście od uczdwych wyborców powodujących się tylko sumieniem obywatelskim. Obywatele żydzi, hebrajskimi literami przylepiają także swoje plakaty różnego koloru — jednym słowem, niepodobna przejść kilkunastu kroków ulicą, żeby każdemu mającemu jakie takie buty w porządku, nie wetknięto kilkunastu arkuszy zadrukowanej w różny sposób bibuły.

Stronnictwo „Ręka w rękę" werbujące swych adeptów po przedmieściach lwowskich, niewiadomo jakim sposobem zdołało opanować salę ratuszową na godzinę siódmą wieczorem, i tak bez żadnych ogłoszeń, zgromadziło kilkuset wyborców. Wszystkie radzieckie krzesła zasiadło rumiane, puciołowate i wąsate obywatelstwo z przedmieścia, niby rząd księżyców w pełni; sapiące, dmuchające z gorąca, a z taką hardą miną, panie do-brodzieju, że nie przystępuj do nich bez kija. - Galerye pełne, dokoła krzesel wszystkie miejsca nabite, a na prezydialnem wzniesieniu, pokazuje się jakiś siwy staruszek z desperacko najeżoną czupryną. Dwóch sekretarzy ad hoc siedzi przy dwóch bocznych stolikach, a poniżej na lewo, wśród sprawozdawców dzienikarskich,

prezyduje znajomy nam Franciszek Ksawery na Miłoszach Miłosz i komenderuje legionem stenografów z gotowem do boju ołówkami. Odzywa się dzwonek z prezydium, gwar się ucisza i gdy jeden z sekretarzy wstępuje na mównicę, woźny magistracki z kijem w ręku bierze się do zapalania kinkietów gazowych.

— Panowie!! — mówi drobnej postaci w ciemno-szafirowych okularach, rękami opierając się o stół pan sekretarz — zaprosiliśmy tu panów, aby usłyszeć zdanie wasze, co do listy kandydatów, jakąśmy w imieniu waszem ułożyli, a w której pomieszczone są nazwiska reprezentantów wszystkich stanów i zajęć w mieście, i wszystkich części tej drogiej nam stolicy, panowie. Ja sam, gdyby mi tak przyszło sumiennie przewertować te nazwiska, możebym niejedno wykreślił, inne dodał, bo panie dobrodzieju, ludzie są ludźmi, ale gdy idzie o dobro powszechne — bo zważcie panowie, cała Galerya patrzy na nas jako na swoje serce — to muszę z swoich osobistych upodobań zrezygnować. Nie chcę tu moi panowie wspominać ani babrać poprzedniej rady miejskiej, z powodu uczucia chrześcijańskiej miłości bliźniego; jednak to mię nie wstrzymuje moi panowie od powiedzenia kilku słów prawdy. Byli-to ludzie, którzy pod fałszywym hasłem postępu i ruchu prowadzili hałaśliwą i gorączkową agitację, która godność i poszanowanie stolicy kraju, powiedziawszy prawdę, podkopała w fundamentach. Oni korzystając z nieczynności jednych, a zniechęcenia drugich, wykluczyli każdego od głosu, kto nie był z nimi, a zaarendowawszy tym sposobem sprawy publiczne dla siebie, wzięli ten przybytek # miejski za ogniwo swych namiętnych czynności. Nie jesteśmy częścią malkontentów, jak nas nazywają owi

głośni arendarze ratusza, ale moi panowie takimi samymi, a zdaje mi się, nawet lepszymi obywatelami kraju i miasta, pragnącymi bronić honoru i godności stolicy* Chcemy rządzić rozważnie, sprawiedliwie, a jak będzie potrzeba energicznie i jeszcze głośniejsze od nich, ale to samowładztwo ich musi iść precz moi panowie, i zachwiana godność stolicy dojsć napowrót do swego zenitu... W naszej liście przeważa stan właścicieli realności, którzy najwięcej ponoszą ciężarów, a zatem roztropna oszczędność i umiarkowanie, stawia się naprzód w czynnościach naszych. Nie mówię ja, żebyśmy wyrzekali się pożyczki moi panowie. — Dlaczego? — Jak będzie potrzeba, zaciągniemy, ale moi panowie w żadnym razie nie loteryjną, jak chciała poprzednia Rada... Moi panowie, kto z was niezna, co to jest loteryą? Loteryą to jest zguba, loteryą panowie, to jest los, loteryą panowie, to jest podatek na głupców! A któż panowie z was chciałby być głupim? (Ogólne oklaski i poruszenie). Więc panowie moi, precz z tymi, którzy chcą loteryjnej pożyczki! Pół miliona losów, uważacie: co to jest pół mi-li-ona lo-sów?... Okropność, jaka to liczba... Tu na cesarskiej loteryi jest dziewięćdziesiąt numerów, a panowie moi, kto z was kiedy trafił jeden, albo dwa? O ternie już nie mówię, są to rzeczy zdarzające się ledwo kilka razy na sto lat w całej Austrii — więc wyobraźcie sobie, coby to się działo, gdyby pożyczka miejska miała pół miliona numerów, hę coby to było? Zguba, mówię panom, prawdziwa zguba dla miasta! (Głosy: prawda, prawda!) A uważajcie jeszcze, ktoby za to wszystko zapłacił? Wy, synowie, wnuki i prawnukowie wasi panowie, daję wam słowo honoru tak jest!... Pożyczyć, to pożyczyc panowie, ale mości dobrodzieju, niech ja wiem,

co biore i co mam oddać. Na los i loteryą nikomu puszczać się nie radzę. "Widzieliśmy już, co to ludzi zginęło, że wdawali się w gry loteryjne, więc kto nie chce, żeby tak samo marnie ginęła nasza ukochana stolica, jako ostatnia szulernica, kto pragnie jej szczęścia, pomyślności i sławy, niech głosuje za listą stronnictwa „Ręka w rękę" jak jeden mąż. Bracia w imię Boże! Bóg nam pomoże!

Grzmot oklasków, stukania krzyki i inne oznaki uwielbienia, były nagrodą mówcy, który wypiłszy szklanek wody, wśród ściskania rąk i powinszowań przyjaciół zszedł z tryumfem z trybuny i zajął poprzednie miejsce sekretarza.

— Pan Łezacki ma głos! — odzywa się razem z dzwonkiem prezydujący.

Wychodzi tedy pan Łezacki, wysoki, chudy, kościsty, z ogromną głową i nastroszonymi włosami obywatel. Twarz jego wygolona starannie, daje mu pozór fizyognomii księdza lub aktora, a uwięzione w szczupłych rękawach surduta długie kościste ręce, mają podobieństwo, do grabi konnych, używanych na łące. Pan Łezacki mówiąc, przybiera postawę nieboszczyka księdza Skargi, jak go Matejko na swoim obrazie wymalował; wznosi więc ponad głowę- owe chude ręce, a palce i dłonie w ten sposób zakrzywia, jakby wfnich trzymał wielkie kule armatnie, i temi chciał druzgotać leżących u stóp trybuny bezbożnych arendarzy władzy i sali ratusza. Obywatel Łezacki kiedy się rozgada, przechyla głowę z miną filuterną, a przymknąwszy zupełnie oczy, uśmiecha się, uśmiechem naiwnego dziecka. Głos jego dźwięczny przybiera zawsze ton kaznodziejski z pewnem zaokrągleniem na ostatniej sylabie w tonie pytającym.

Opisałem to wszystko po szczególe, raz dlatego, że uchodzi we Lwowie za pierwszorzędnego mówcę, a powtóre, żeby czytelnicy słuchając opisu tej mowy, mogli sobie w imaginacyi uzupełnić to, czego ja mając do rozporządzenia tylko pióro, wyrazić nie mogę.

— Panowie! Szanowny mówca poprzednik mój zwrócił uwagę waszą na skutki działań ustępującej rady miejskiej i jak sądzę przekonywająco objaśnił, co was czeka, gdybyście się dostali pod władzę radców wybranych przez klikę, a raczej rodzinę głośnych vel krzykaczy burmistrzujących dotąd w mieście... Moi kochani panowie—czas byłby, abyśmy raz przejrzeni, jak się należy i przypatrzeli się samym sobie i policzyli własne siły dotąd marniejące w ukryciu... Na odezwach i protestach, które ci ozdobieni przydomkiem dr. to jest doktorów (notabene bez chorych) po ulicach rozlepili, napisano, że stronnictwo nasze ma być garstką malkontentów agitującą pokątnie. Więc my panowie mamy być garstką? Proszę, obejrzyjcie się dokoła siebie? Piękna mi garstka, której ta wielka sala pomieścić nie może? I oni myślą, że nas potrafią zjeść w kaszy, jako skwarki ze słoniny? Nie radzę im próbować, potrzaskaliby zęby... Więc panowie, my mamy agitować pokątnie... g Czyż ta sala jest kątem? Wszak to jest sala magistratu, panowie, to nasz kapitol lwowski panowie, a my zajmujemy krzesła panowie, z których nas żadne krzykactwo już nie wystraszy... Tu, tu, panowie, jest miejsce dla nas, i my tu od jutra rządzić będziemy! A gdzież oni są? Upatruję po kątach, i tam ich nie ma. Więc któż panowie z nas kryje się po kątach? my, czy oni? Czemuż tu nie przyszli? czemu nie stanęli nam oko w oko?

Powiadają moi panowie, że my jesteśmy ubodzy

duchem i rządzić nie potrafimy, bo nie piszemy Dr. przed nazwiskiem. Prawda panowie, nie jesteśmy bogaci, ale w wykrety i frazesy, nie umiemy wywijać koziołków 2 paragrafami; ale my jesteśmy de facto miastem, jesteśmy właścicielami realności, zakładów rękodzielniczych; jesteśmy kupcami, fabrykantami — jednym słowem karmicielami tych D-rów i tysięcy im podobnych, którzy ani sieją, ani orzą... Moi panowie, zastanówmy się, czy to tak wielka sztuka jest rządzić? Nie, zdaje się, że daleko łatwiejsza, niż być rządzonemi. Wszak każdy z was panowie ma żonę i rodzinę, ma sługi i czeladź, ma dom i grunta lub zakład. A jeżeli daje sobie jakoś radę z tą niewiastą i z dziećmi i z czeladzią i ze sługami, dlaczegóżby nie potrafił tak samo rady sobie dać i z rządem miasta, które nie jest przecie kobietą? Jeżeli wybieramy z pomiędzy siebie posłów do sejmu i do rady państwa w Wiedniu, gdzie, moi panowie, zasiadają pierwsze figury całej Austrii, a nawet arcyksiężęta z krwi cesarskiej, i tam, moi panowie, głosu naszego słucha cała Europa, dlaczegóżbyśmy nie mogli przemawiać z tej oto trybuny miejskiej do takich jak my sami obywateli? Są to tylko strachy na lachy panowie. Ja wiem, o co im idzie i wiem także panowie, czego my chcemy... Oni by chcieli, aby miasto było tylko dla nich tu, w śródmieściu; żeby oni tu mieli spacer, drzewa, zapachy, trotuary, światło gazowe — a my po przedmieściach brnęli po kolana w błocie i fetorach, kontentowali się naftowymi kagankami, które nam jako hołocie na śmiesznych słupkach poustawiali! Otóż teraz moi panowie inaczej będzie!

My także położymy sobie marmurowe chodniki, posadzimy sobie drzewa i klomby na przedmieściach,

i my każemy sobie gazem zaświecić i nie będziemy drzeć butów, bo to, moi panowie, ciężkie są, czasy teraz na każdego. Zebrała się klika intrygantów i, moi panowie, trzymała nas lat tyle za czuprynę, słówkiem, piórkiem, surducikiem, ukłonem, a my, panowie, charowali- śmy i płacili, aby oni mieli wygody... Dostyc tych rządów inteligencji, gromada panowie, jest-to wielki człowiek, a za swoje trzy grosze każdemu wolno być panem. Więc moi panowie, pod naszein godłem „Ręka w rękę,” stawmy się wszyscy jak jeden mąż na jutrzejsze wybory, a da Bóg zwyciężymy. Moi panowie, warto spróbować jak też władza smakuje, ale władza uczciwa, sumienna, roztropna i oszczędna.

Gdy skończył mówca, zdawało się, że nie będzie miary oklaskom. Wszystkie księżyce z wąsami, wydobywszy potężne ręce na wierzch, takie były brawa, że, zdawało się, młoty biją o kowadła...

„Tak jest, staniemy jutro... cztery razy tyle nas przyjdzie... brawo, nasza górą...” odzywały się zewsząd 'głosy i laski biły o podłogę i nogi tupwały z takim hałasem, że prezydujący z obawy zawalenia się sufitu, musiał kilkakrotnie dzwonić, nim rozhukana fala uniesień mogła się trochę usatkwować i przycichnąć.

Na mównicę wstępuje pan Filip. Boże drogi, któż we Lwowie nie zna pana Filipa, najdawniejszego agitatora wyborczego, byłego fabrykanta wyrobów skórnych (niegrzecznie byłoby powiedzieć szewca) osobistość chodząca w węgierskim kostiumie i w towarzystwie dwóch srokatych piesków. Pan Filip jest sobie poczciwy człowieczyna, już łysy, z bródką a la Napoleon III, zapalony czytelnik gazet, zwolennik czysto krajowej polityki, i wieczny przedmiot do żartów dla humorystów

lwowskich. Wszyscy wielcy ludzie ze Lwowa pływający dziś na szerokiej arenie politycznego życia galicyjskiego, jemu zawdzięczają swą wielkość, bo on agitował w swoim czasie za nimi i on ich na tę arenę powyprowadzał. Dziś gwiazda jego już nieco przygasła, energia się zużyła, lecz jeszcze jak ten stary koń żołnierski, gdy trąbka sygnałowa zagra, biegnie ze drżeniem do szeregu. W radzie miejskiej trzyma się oburącz naszego prezesa i należy do wszystkich komisyj, gdy idzie

o oczyszczenie miasta. Jest członkiem siedmnastu stowarzyszeń imiennych, jak kawiarników, szynkarzy, łyżwiarzy, hydropatów i dwunastu zbiorowej nazwy: Pracy, Siły, Spójni, Zgody, Gwiazdy, Sokoła, Wróbla i t. p.

Na wszystkich zebraniach wyborczych odgrywa rolę tak zwanego podżegacza dyskusyjnego, a takich podżegaczy jest tutaj coś czterech, którzy podczas bezkrólestwa na trybunie, zjawiają się kolejno, aby rzucić nową stracę do rozpraw.

— Nic nie szkodzi panie bdyżu — rzecze trochę szepleniącym głosem — że już komitet wygotował panie bdyżu, listę kandydatów panie bdyżu. Możecie sobie panowie otworzyć dyskusję nad tymi kandydatami, panie bdyżu. Wprawdzie już ta * lista wydrukowana,

1 drugi raz ją drukować panie bdyżu, byłoby szkoda, bo to panie bdyżu, kilkanaście ryńskich kosztuje, ale jak kto chle, może sobie panie bdyżu, przekreślić atramentem. nazwisko, a inne panie bdyżu, napisać... Ja panom mówię, że można, więc jak kto chce mówić, prosimy, panie bdyżu.

Na tak protekcyjnalnie i łaskawo ogłoszone pozwolenie, podnosi się ręk kilka z prośbą o głos. Prezydujący notuje nazwiska, i staje pierwszy mówca, obywa

tel czerwony jak krem malinowy, z bielutkimi włosami, a obróciwszy twarz ku panu Filipowi rzecze:

— Ja chciałem moi panowie powiedzieć, że Blicher August z Łyczakowa...

— Dobry, dobry, nie trzeba! — odzywają się zewsząd głosy i syki zagłuszające mówcę.

— Ale ja chciałem panowie — mówi znów czerwony obywatel trochę rozdrażniony.

— Pst, pst, nie chcemy zmiany...

— Pozwólcie panowie, ja chciałem... — próbuje jeszcze raz głos zabrać, lecz gdy wrzask i stukania przerywają mu ciągle, zawoła doniosłym głosem: — Ja zrzekam się mandatu skoro tak!

— Pan Trajker nie jest kandydatem! — krzyknie ktoś z galeryi — i nie ma potrzeby zrzekać się mandatu...

— Ale mój syn jest! — odpowiada z mocą wyzywany — i ja za syna zrzekam się...

— Nie ma prawa!...

— Mam prawo, bo to mój syn, i jak mu każę, tak zrobi, proszę go wykreślić.

Śmiech, oklaski, sykania głuszają całą tę sprzeczkę, a prezes dzwoni coraz energiczniej.

— Panowie — mówi na to obywatel Filip wstępując na prezydyjalną estradę — nastąpiła pomyłka, pan Trajker, panie bdzieju, nie chciał nic mówić przeciw Blicherowi, ale owszem...

— Skoro tak, niech mówi — odzywa się ktoś z tłumu.

Lecz pan Trajker starszy jest już tak zadąsany i zdekoncertowany, że mimo namawiań przyjaciół nie chce zabierać głosu.

— Rezygnacyi syna nie przyjmujemy!—znów ktoś-
woła.

— Nie przyjmujemy! — powtarza chór głosów.

— To też panie bdzieju — oświadcza pan Filip — pan Trajker cofa rezygnacyę za syna.

Wiadomość ta wywołuje znów salwę oklasków,, a z pośrodka krzesel zabiera głos pan Kopyciński. Jest-to mężczyzna lat może trzydziestu kilku, śniadej cery, smagły, o czarnych ognistych oczach, z czarn% rozczochraną czupryną.

Panowie!— mówi wywijając rękami do sąsiadów— ja już od roku 1868 przyjmuję gorliwy udział we wszystkich agitacyach politycznych i pan Filip zaświadczy, że chociaż jestem obeznany i czynny w sprawach narodowych, ale jiiie miałem śmiałości przemawiać publicznie. A wiecie panowie dlaczego? Oto dlatego^ moi panowie, że nie śmiałem otwierać ust, czyli właściwie mówiąc tego, jak się nazywa, otwierać ust publicznie, wobec tych mądrych panów, którzy nami zarządzili z ratusza...

— Więc teraz mają głupcy rządzić? — odzywa się jakiś głos ? kąta.

— Tego nie powiadam, niech mnie Pan Bóg uchowa od tego — zaprzecz, mówca, zwracając się do owe-
go kąta z kąd głos pochodził — tylko chciałem się wytłumaczyć dlaczego nie otwierałem ust, czyli na to mówiąc, dlaczego nie śmiałem. Ale skoro nowa rada będzie złożona z naszych ludzi, czyli raczej nie ludzi, a obywateli postępowych... (śmiech i sykania) to rozwiązują mi się usta moi panowie i powiem ze śmiałością, że trzeba zmienić ustawę przemysłową, bo ta ustawa przemysłowa jest dla nas rękodzielników zabójstwo (z jednej.

strony oklaski, z drugiej gwary i śmiechy). Co to jest moi panowie, żeby każdy co ma zapłacić cztery reńskie, mógł zakładać warsztat i sprzedawać wyroby jakie chce?... A cóż my fachowi rękodzielnicy będziemy robić, kiedy się partactwo sprzedaje?... (Wśród gwaru, sykań, okla* sków i stukań nie słychać mówcy, prezydujący dzwoni).

. — Zwracam uwagę szanownego mówcy — rzecze prezes — że celem naszej dyskusji są kandydaci na radców miejskich, a nie ustawa przemysłowa, należąca do kompetencji rady państwa.

— Ja też chciałem powiedzieć, żeby nasza rada nowa zajęła się tem, aby ustawę przemysłową zniesiono, czyli na to mówiąc ograniczono, żeby niefachowy nie brał się do rzemiosła, bo to krzywdą jest dla porządných rękodzielników. Wysłać deputację do rady państwa, inaczej będzie zguba i zatracenie całego fachu, który jest fachem obywateli miejskich...

Ledwie, ktoś z sąsiadów umitygował szanownego oratora, że usiadł cały wzburzony i rozgorączkowany swoją sprawą, gdy pan Korzonkowski, mający z kolei zabierać głos, powstał. Już trzy razy zatrąbił w czerwoną kraciatą chustkę czekając aż się gwar uciszy, lecz pan Kopyciński, opędzając się głośno przyjaciołom, prowadzi dalej wyrzekania swoje na szkodliwość partaczy w stanie rękodzielniczym.

— Panowie obywatele—rzecze pan Korzonkowski, siwy już i dobrej tuszy poczciwina, rozpinając surdut, który mu oddech tamuje — dzięki Bogu, żeśmy doczekali czasu, w którym wszystko pójdzie na lepsze. Szanowni obywatele naszej stolicy, na was ten obowiązek ciążyć będzie mości dobrodzieju, żeby każdy mógł zapracować na kawałek chleba... A przyznacie sami oby

watele szanowni, jak ciężko dziś zapracować na dobry kawałek chleba... oj ciężko, moi szanowni obywatele!... Tyle młodzieńców wyedukowanych, tyle techników, prawników, pedagogów nie może zapracować na kawałek chleba... Albo i ta młodzież nasza, co teraz wraca z Bośni i Hercegowiny po ciężkich trudach wojennego życia, czyż nie powinna za powrotem znaleźć kawałka chleba?... Ja moi szanowni obywatele nie jestem osobiście w tej sprawie interesowanym, bo dzięki Bogu nie mam syna, o czym wszyscy panowie wiedzą, ale jak słyszę z boku, co ci biedacy tam ucierpieli w zimie, to strach szanowni obywatele. Bez dachu, bez łyżki gorącej stawy, ^między dzikimi muzułmanami, wśród mrozów...

— Czego on chce? — wyrywa się znów głos z kąta..

— Proszę sformułować żądanie! — odzywa się prezes.

— Krótkie sformułowanie! — odpowiada na to pan Korzonkowski, obcierając kroplisty pot z czoła — żeby młodzież nasza mości dobrodzieju, mogła mieć kawałek chleba. Otóż szanowni obywatele kawałek chleba... Skończyłem.

Okolo prezydującego zrobił się niejaki ruch, pan Filip i panowie sekretarze zaczęli coś ciszej rozmawiać, stenografowie przestali gryźć ołówki, a z centrum sali odezwał się głos: zamknąć posiedzenie!...

— Ja proszę o głos! — rzecze małańki jasno-blond w okularach człowieczek siedzący w ostatnim rzędzie krzesel.

— Pan Kogutkiewicz mówi jeszcze — a potem zamykamy dyskusję — wnosi prezydujący. — Kto

z panów jest za zamknięciem dyskusji, niech podnosi rękę...

Rąk tych podniosła się cała sala, prezes spojrział i dalej powiada:

— Większość jest za zamknięciem, więc tylko pan Kogutkiewicz ma głos...

— Moi panowie! — rzecze ów jasny blondyn wymawiając każdy wyraz powoli i z precyzją. —

Możemy sobie powinszować, żeśmy w tak trudnych okolicznościach, moi panowie, pokazali niezwykłą siłę i hart woli. Tak jest panowie! spojrzycie po horyzoncie politycznym dokoła (tu mówca wznosząc obie ręce do góry jak by de błogosławieństwa, prowadzi niemi wkrąg sali) jakie burze gromadzą się na wsze strony... Jeszcze pioruny panowie, śpią jak nowonarodzone dzieci w kołyskach, ale moi panowie, nie wiercie tej pozornej ciszy! Nie długo czekać jak tu i owdzie zabłyśnie, zachuczy, zamigocze, zajęknie, i ten spokój pozorny, moi panowie, przemienić się może w uragan, w burzę, w nawałnicę, w chaos. Ale my, moi panowie, nie ulękniemy się tego wszystkiego, nie będziemy prosić i błagać, nie będziemy z pokorą składać rąk i zebrać (tu głos mówcy przechodzi w tre- molando płacziwe), ale moi panowie będziemy rozkazywać; bo my, moi panowie, mamy siłę, mamy słuszność, mamy hart moi panowie, bo my, moi panowie, jesteśmy dęby niespożyte.

Mały człowiek w okularach usiadł, a fernetyczne oklaski zatrzęsły salą powtarzając się z podwójną siłą, skoro tylko wstał i zaczął się kłaniać na wsze strony...

— Proszę o głos! — odzywa się nasz pan Marcin przeciskając się ku estradzie.

— Posiedzenie zamknięte.

— Ja tylko słóweczko...

— Zamknięte, zamknięte — odezwały się zewsząd głosy i zebrani gromadnie poczęli się cisnąć ku drzwiom. Dyrektor banku jako naturalny opiekun pana Marcina, pospieszył uspokoić zawiedzionego mówcę, który chciał

już protest zakładać, że taki jest zwyczaj parlamentar-
ny, skoro dyskusja zamknięta została—jednak zapewnił, że wybór jego nie podlega wątpliwości.

I

Nazajutrz, jako w dzień wyborów, już od samego rana przedsiónek ratusza był w oblężeniu, a cała frontowa ściana tego gmachu, pstrzyła się od różnych plakatów, różnych komitetów wyborczych, którymi ją do możebnej wysokości oblepiono. Ile tam było wezwań, czułości, patryotyzmu, gorącego animuszu, to trudno już opisać; jeden nawet aspirant do radzieckiego krzesła, zapomniany przez wszystkie komitety, kazał sobie wydrukować swoją godność na wązkim skrawku żółtego papieru, i skrawek ten na ukos każdego plakatu poprzy-
lepić. Tym, chociaż nieco oryginalnym sposobem, dał się poznać pan Wojciech Łacikiewicz całemu miastu, i zdaje się był z tej okoliczności zupełnie uszczęśliwiony.

Około dziesiątej z rana, do drzwi głównych ratusza ani się docisnąć: gromada różnego rodzaju wynajętych facetów uszykowała się w podwójne szeregi, a opatrzona w pliki zadrukowanych arkuszy z listami kandydatów, każdemu z przechodzących wciska je gdzie może, to do ręki, to do kieszeni, to pod pachę, pod kołnierz, za kołnierz — ot aby wcisnąć. Nim który wyborca zdoła się przedostać do sieni, z pewnością dostanie jedenaście sztuk, co najmniej, takich arkuszy z dodatkiem kilku szturchańców, i pewnego szumu w uszach od nie-

A. "Wilczyński.—Tom XIV.

ustannego szelestu papierem i nawoływań do głosowania w duchu doręczonych proklamacyi.

W sieni już po za rejonem służby magistrackiej nie wpuszczającej tam agentów, czeka go druga przeprawa i walka wśród takich samych szeregów członków obywatelskich, między którymi znajomy nasz publicysta pan Franciszek Ksawery na Miłoszowie Miłosz rej wodzi tak swoją obszernością, jako też miną i głosem górującym nad wszystkimi. „Z kim, za kim, idźcie z nami „ręka w rękę," raz trzeba temu panowaniu kark skręcić... Bójcie się Boga, nie odłączajcie się... gdzież motłoch puszczać można do władzy... Kto tu powiedział motłoch?... Panie Józefie, jak mnie kochacie, głosujcie z nami." Jednym słowem prawdziwa gimnastyka językowa i serdeczne kaptowania. W salach gdzie przyjmowano wota, też sama historia i też same obligo; wania.

Już w południe, jakkolwiek rezultat głosowania nie mógł być wiadomym dokładnie, jednak stronnictwo „Ręka w rękę" było górą. Niechno się ruszą popołudniu urzędnicy i żydzi—pocieszali się ratuszowscy, a zobaczmy! Ale niestety, urzędnicy nie dopisali, a żydzi mając zapewnione ośmnaście krzeseł w radzie, poszli za stronnictwem „Ręka w rękę," które całe popołudnie dorożkami zwoziło z przedmieścia ociężałych wyborców i zdecydowało upadek poprzednich rządów.

Zrobił się skandal, jak powtarzano we Lwowie, ale partya przedmieszczan zwyciężyła, koryfeusze dawnej większości pospuszczali nosy, a radość zwycięzców, oblewających sprawę we wszystkich restauracjach piwiarniach i knajpach, nie miała końca. Nowy rząd magistracki uznał za właściwe wydać uspokajający mani

fest do narodu, w którym naśladowując ton bule ty nów zwyciężkiej armii Napoleona I-go, wspaniałomyślnie przebaczył winowajcom, zapowinając im swoją monarszą opiekę.

Nasz pan Marcin, który należał do zwycięzców, dopiero o godzinie czwartej rano powrócił do domu, jak mówiła pani w przebranym trochę humorze, lecz że był tak czuły, tak animujący i piękny, pani wszystko mu to darowała, choć powiedzmy prawdę, nie była zadowolona z tych mieszczańskich sukcesów pana męża. Ale na trzeci dzień potem nastąpiło bolesne rozczarowanie: skrutynium wyborcze uznało wybór pana Marcina za nieważny z tej prostej przyczyny, że szanowny polityk i dyplomata nie posiadał prawa obywatelstwa miejskiego. Cios ten o mało go nie nabawił choroby... tyle zabiegów na nic, a w dodatku kompromitacja wobec pana Antoniego, który pozwolił sobie niejakich żartów z dodatkiem, że przenieństerstwo rodowym tradycjom nigdy na dobre nie wyjdzie.

* W Banku powszechnego kredytu wypadek ten również nieprzyjemne wywołał wrażenie, i aby go choć w części zatrzeć, na poufnym posiedzeniu uchwalono mianować pana Marcina nadzwyczajnym dyrektorem, a przy najbliższym walnym zgromadzeniu wybór ten przeprowadzić. Z uchwałą tą wybrał się sam prezes Bady nadzorczej i pan dyrektor do mieszkania naszego bohatera jako deputacja od całego banku. Zastali pana Marcina w bardzo przygnębionem usposobieniu, jednak pracującego nad rozprawą, w której projektuje zmianę statutu miejskiego w tym kierunku, aby ze względu, iż stolica kraju jest niejako matką i właścicielką moralną całego kraju, na przyszłość do jej rady

mogli być wybierani wszyscy wolni obywatele całej Galicyi i Lodomeryi.

— Pozwolicie panowie—odzywa się zaraz na wstępie, nie pozwalając im przyjść do słowa—że wam odczytam jeden ustęp, jak ja się na tę rzecz zapatruję... Światła opinia pana prezesa dobrodzieja—mówi ściskając rękę staruszkowi — będzie mi tutaj arcy potrzebna. Otóż powiadam w dalszym ciągu tak: „Stolica kraju jest głową, jest sercem, a właściwie rzecz biorąc, żołądkiem całego narodu...”

— Kapitalnie z tym żołądkiem, panie bdzieju! — przerywa zachwycony prezes, nawzajem ściskając ramię czytającego. — Słusznie, bardzo słusznie, panie bdzieju, stolica jest żołądkiem narodu, gospodarzem i karmi- cielem.

— Trawiącym wszystkie pokarmy krajowe — dodaje z pewnem odcieniem szyderstwa dyrektor.

— Więc słuchajcie dalej panowie: „żołądkiem całego narodu, a zatem potrzebuje różnorodnych pokarmów i funkcji odpowiadających wymaganiom tego narodu, to jest jego umysłowemu nastrojowi, porządkowi, wytwórczości...”

— Za pozwoleniem, panie bdzieju — wtrąca znów prezes — co do tego porządku jest pewna kwestya. Ja, panie bdzieju, który się tem od lat jedenastu zajmuję i muszę sobie przyznać, że się znam jak należy, to nie mogę się zgodzić, żeby nasz Lwów miał być żołądkiem narodu, bo proszę, pana bdzieja, czemu go tu utrzymywać w porządku, he... No, czem, czem? już ciż nie miotła?

— Solą glauberską — wtrąca śmiejąc się dyrektor.

— Ale, panie b dzieju, co tam żarty takie — mówi obrażony prezes, traktując rzecz całkiem na seryo—ale to jest kwestya, dlatego jestem za wykreśleniem tego żołądka...

— A kanalizacya, a wodociągi — broni się pan Marcin — czy to nie są niby arterye tego żołądka. Wszak w Paryżu nikt' ulic nie zmiata. Puszczą się wodę z kranów i ta zalewając ulice zabiera wszelkie nieczystości. *

— Hm, szczęśliwi są ci paryżanie! A, panie b dzieju, szczęśliwsza jeszcze Wenecya. Tam nie trzeba zmiatać, woda i woda, a w wodzie co kto chce... Jak, pana belzieja szanuję, tak prawda; zamiast bruku woda. Wystawcie sobie państwo, jak jechałem do Wenecyi, myślę sobie, panie b dzieju, miasto europejskie, musi tam być porządek wzorowy, a że ja nigdy nie wrócę z zagranicy żebym coś użytecznego nie zobaczył, więc też ciekawy byłem, jak tam magistrat urządza się z czyszczeniem ulic. Aż tu, panie b dzieju, wyjeżdżamy woda... niechże cię trzysta paralusów, myślę, sfiksowali! Wozów nie potrzeba, koni nie potrzeba, wszystko marsz do wody i basta... Ot, szczęśliwi ludzie, kiedy my tu we Lwowie naprzykład w roku 1873 — mówi dalej wydobytając notatki z kieszeni — wydali na kosztą oczyszczenia...

— No, no, panie prezesie, już wiemy — przerywa dyrektor.

— A pan myślisz, że nie możnaby tak samo zrobić u nas jak w Wenecyi — rzecze wstając pan Marcin, widocznie uderzony jakimś nowym pomysłem?—Żebym ja był w radzie, podałbym projekt powiększenia Pełtwi...

— Czem? kiedy wody niema.

— Sprowadzić.

— Zkąd? już o tem radziliśmy nieraz w magistracie.

— Dniestr albo Stryj przekopać.

— Panie bdzieju, była o tem mowa, ale góry...

— Eh, co tam góry — rzecze uśmiechając się litościwie pan Marcin—góry to głupstwo. Rzymianie jeszcze w dawnych wiekach...

— Panie bdzieju, toż ja w Rzymie byłem, ojca świętego widziałem i ten ich sławny Tyber oglądałem...

Głupstwa, co tam mówić, tak samo go czuć jak naszą Pełtew... .

Szczęściem dla Rzymu, i dla pana Marcina i dla Pełtewi, że w tej chwili służący wniósł tacę z wódką i przekąską do gabinetu gospodarza, pani albowiem trzymała się jeszcze wiejskich zwyczajów, że gości koniecznie czemś potraktować trzeba. Dyrektor więc skorzystał z tej okazji i wziął się natychmiast do owój wódki.

— No, moi panowie—rzecze-^wypijmy oto zdrowie nowego dyrektora naszego Banku.

— Zdrowie pana bdzieja!—powtarza prezes oddając ceremonialny ukłon panu Marcinowi.

— Jakto, ,moje zdrowie?

— Tak, panie bdzieju, nasza rada uchwaliła tego... panie bdzieju, zaprosić pana na ten urząd, i właśnie, panie bdzieju, przyszliśmy z tem w nadziei, że pan bdziej, zrobisz nam ten zaszczyt i nie odmówisz swej światłej rady i pomocy.

Pan Marcin był zdumiony i uszczęśliwiony zarazem, a gdy mu szanowny kolega dyrektor wyłożył rzecz całą, jako towarzystwo powierza mu kierunek oddziału

hypotecznego w banku, uściskał obydwóch po dwakroć i kazał podać butelkę szampańskiego.

— Bogiem a prawdą—mówi pan Marcin podkręcając wąsa — będę wam użytecznym. Nikt tak nie potrafi z bracią szlachtą jak ja... Bo to, panie, z nimi trzeba i tak i siak, wycalować i tego... czasami wylać.

— Zresztą, pan dobrodziej, masz znajomego i sąsiada swego, pana Antoniego L... także dyrektorem — rzecze Stefan Ogrodziński zapalając cygaro—można się go poradzić.

—'Co, ja miałbym się radzić tego faceta!—zawołał trochę urażony.—To moi panowie pyszałek, zarozumialec, impertynent. Ja jego się radzić! a to na co?

— Sądziłem, że pewna informacja...

— Do czego informacja? Albo ja się nie znam na czynnościach bankowych? I bilans, balans, conto curent, credit, debet, ja, panie kochany, wszystko znam... Zresztą, panie, książki są na to, fałdów przysiedzę, jak trzeba, moi panowie, przysiedzę... Macie przykład, czy mi kto każe męczyć się i szperać i pisać takie rzeczy jak oto broszura, którą przygotowuję? Nikt, a ja to zrobię, bo czuję, że powinien...

— Święci garnków nie lepią, panie bdziej—odzy- wa się prezes.

* — Masz pan racją nie lepią...

— Nawet rada—odzywa się dyrektor—nie wymagała od pana dobrodzieja, całej wkładki dziesięciu tysięcy reńskich, jak my wszyscy mamy. Oznaczono ośm tysięcy z tem co już złożone.

— Bagatela, ja mogę złożyć i dziesięć... Cóż to przepadnie? Takiej instytucji cały majątek-bym powierzył...

— Tu nie idzie o pieniądze — mówi znów dyrektor, zjadając ser kawałkami—ale dla porządku i wymagań statutu, żeby jak przyjdzie walne zgromadzenie, nie myśleli, że my tak sobie bierzemy na dyrektora byle kogo...

— Bardzo chętnie złożę i owszem...

Otóż w ten arcy-latwy sposób, li tylko dzięki zdolnościom politycznym, z którymi pan Marcin dał się poznać, prędzej niż to się zdawać mogło, został instalowany jako dyrektor banku, otrzymawszy osobny gabinet z całym umeblowaniem, dzwonek, kosz na papiery i wielki napis nade drzwiami, a wreszcie dość skromną płacę, o której wstyd mnie tu powiedzieć, ale za to ogromne widoki na tantiemę.

Musiemy oddać sprawiedliwość pani Marcinowej, że nie bardzo była zadowolona z nowego stanowiska męża. Raz, że zupełnie zaniedbał dozoru nad dziećmi, bo Ludwiczek na dobre zaczął się lampartować, powtóre, że cały skład nowego banku raził ją bardzo owymi mieszczchańskimi manierami, a sam prezes w pewnych razach żenował; po trzecie, że jedna z kuzynek pana Antoniego, osoba lepszego tonu, coś bardzo krzywiła nosem mówiąc o sytuacji tego banku.

— Mój drogi Marcinie—odzywa się pewnego razu do męża — żebyś się też czasem nie zaplątał w jakie interesa. Ty się nie znasz na tem.

— A to doskonała racya! Ja się nie znam?—odpowiedział wzruszając ramionami.

— Różnie ludzie mówią o tym banku.

— Już wiem zkąd takie wieści, pewnie od Antoniego... I ty wierzysz temu?... Moje życie, ten człowiek utopiłby mnie w łyżce wody... "Wszystko to jego

intryga i zazdrość; oni chcieliby sami zagarnąć intere- sa całej Galicyi... No, no, bądź spokojna, damy sobie radę bez jego rozumu... do czego ja się wezmę, to na pewno... Ośmnaście tysięcy członków z nieograniczoną poręką, to proszę cię już armia, a sama dyrekcyja, wzór uczciwości i zacności; my nie chcemy wyzyskiwać kraju, ale go ratować. Więc moja droga Winiu rozjaśnij trochę stooje oczęta i spojrzij na mnie tak jak ty umiesz^temi ślicznemi ślipkami... Aj Winiu, Winiu, kiedy ty przestaniesz być piękną!

Jednakże mimo tych zapewnień, pan Marcin postanowił nie być malowanym dyrektorem, ale rzecz całą zbadać do dna. W tym celu kupił sobie kilka dzieł •traktujących o sprawach finansowych i buchalteryi, a niedowierzając jeszcze teoryi, cichaczem zaczął odwiedzać inne kantory bankowe, niby to pod pozorem zaciągnięcia informacyi, że chce na dobra swoje wziąć pożyczkę w listach zastawnych, rzeczywiście zaś aby zbadać całą manipulacyą wewnętrzną tych instytucyi. Dla tak otwartej głowy, jaką posiadał pan Marcin rzecz poszła nadzyczaj łatwo, jedna tylko okoliczność najbardziej go kłopotala* jak tu uformować swój podpis. Dotąd jako zwyczajny człowiek, nie wiele sobie robił su- bij^cyi, kładąc na kontraktach o sprzedaż zboża sw^Toje szlacheckie nazwisko — bazgrał ja.k się zdarzyło. No, ale teraz gdy stawał się człowiekiem publicznym, a podpis jego—to pieniądz, trzeba było jakoś tę rzecz ucywilizować i ujednostajnić. Zepsuł dwie libry papieru, stracił trzy dni czasu na wprawę w podpisywanie swej godności, nim wynalazł kierunek tego podpisu, kształt i nachylenie wielkich liter imienia i nazwiska, a wreszcie oryginalny, a trudny do naśladowania zakrętas.

Czytelnicy gotowi śmiać się z tej pracy szanownego przyjaciela naszego i lekceważyć wahania się jego w przyjęciu tej albo owej formy, ale pan Marcin doskonale wiedział o tem, o czem kompetentni mogą, zaświadczyć, że podpis dyrektora jest wszystkim, a sympatyczne lub niesympatyczne pismo decyduje o zaufaniu lub niezaufaniu klientów. Dlatego nikt się nie zdziwi, jeżeli w nocy leżąc w łóżku, zrywał się, świecę zapalał i robił niektóre zmiany w zakrętasach, a nawet pisał zamykając oczy, dla przekonania się, że i w ten sposób ani na włos od przyjętej już formy nie chybi.

Powiedzieliśmy wyżej, że rada powierzyła mu załatwianie najtrudniejszego działu, interesów bankowych, to jest udzielanie informacji obywatelom ziemskim, zgłaszającym się o zaciągnięcie pożyczki w listach kredytowych. Rada wiedziała, co robi, bo od tego czasu drzwi gabinetu pana Marcina już się nie zamykały, a usta pana dyrektora, śmiało mogę powiedzieć, również do godziny trzeciej po południu stały otworem na usługi obywatelskie. To nie tak jak w Banku pana Antoniego, gdzie ten impertynent z dumą arystokraty dwoma słowami zbywał interesantów. Nasz brat szlachcic tego nie lubi i chce, żeby mu wszystko jakby łopatą włożyć do głowy, i pogadać o tem i o owem, i pocałować parę razy i coś wesołego powiedzieć, a już koniecznie zmaltretować cały rząd krajowy i autonomiczny, wszystkie instytucje sądowe, sejm, delegacją, a wreszcie całą politykę Europy zmierzającą do nałożenia jarzma narodom. A pan Marcin, jako demokrat i postępowiec z przekonania, nie żałował sobie podobnej krytyki: piorunował, wymyślał, pięścią bił o stół powtarzając: zgnilizna, panie b dzieju, idiotyzm, nepo

tyzm i jeszcze kilka innych wyrażen tego rodzaju, które, wyznajmy tu prawdę, niezmiernie czyniły go wobec potrzebujących pożyczki popularnym i rozumnym.

TUL

Wykierowawszy naszego pana Marcina już na wybitniejsze stanowisko we Lwowie, możemy dalszą jego promocję zostawić losowi, a tymczasem zobaczymy, jak sobie dają radę rodzina pani Wójcickiej, którąśmy w dość oplakanem położeniu zostawili.

Jest już zima. Na dworze zawieja śnieżna, o której się mówi, że na nią ciężko psa wypędzić. Ostry wiatr wschodni z kolczastymi igielkami szronu, nie bije, ale poprostu siecze po twarzy żartując sobie z płci, wieku i dostojenstwa, zagnalonych o tej porze wyjść na ulicę. Mężczyźni podnoszą kołnierze na uszy, kobiety zasłaniają nosy muflkami, a nie mogąc sobie dać rady z suknią, którą ten psotnik wicher frukocze niby. banderą na statku, obracają się co chwila, aby zaczerpnąć swobodnie powietrza i zrobić jakiś ład z ubraniem.

Otóż, niechby sobie już ten psotnik dokuczał otulonym dobrze przechodniom — walka szłaby równego z równym; ale proszę was, co za niegodziwa satysfakcja pastwić się nad takim oto biedakiem, jak nasz znajomy Ignasz, który z pakieczkiem książek pod pachą, skrada się pod murami kamienic i pruje osóbką swoją szalone zapędy wiatru. Surducik na nim leciutki, spodnie prawdziwie superfinowe, buty wołają na gwałt szewca, szyja odkryta, ręce czerwone jak raki, a skóra na twarzy

w kilku miejscach, od cięcia lodowych igieł pokrławiona.

Ze wiatr nie miał litości nad chłopcem — można mu darować, bo to żywioł bezmyślny; ale, że mijający przechodnie nie spojrzeli na dziecko, a spojrzawszy nie poczuli tej litości, to trudne do uwierzenia!—jednakże tak było.

Tymczasem Ignas wytupując nogami i chowając przemarznięte ręce za poły surduta, nie biegł ale tańcował zwracając się często plecami do wiatru. Czapka na głowie ledwo się trzyma, ręce prawie że opadają, więc co kilka domów wpada do bramy i skacze i chucha i tupie, aby się jako tako rozgrzać.

W jednej z takich bram na Łyczakowie, los figlarz zdecydował się przyjść mu z pomocą. "Wysoki barczysty jegomość, z misternie podkreconemi wąsami, w puszystym futrze niedźwiedziem, zszedł ze schodów pierwszego piętra i puścił się na ulicę jak raz w tym samym kierunku, gdzie i naszemu Ignasiowi iść wypadało. Przemysłny chłopiec skorzystał z tej okazji i podsunąwszy się tuż za jego plecy, szedł trop w trop zanim uszczęśliwiony, że znalazł tak wygodną zasłonę od wiatru.

Mimo tak dostatniego ubrania, złośliwiec ten nie wahał się dokuczyć i owemu jegomości, bo wkradając się pod poły futra, rozwiewał je co chwila, a tem samem zmuszał do obracania się za wiatrem, aby je do porządku przyprowadzić. Otóż przy takim zawracaniu się, spostrzegł tak dziwnie podsuwającego się ku jego osobie malca, a że to był człowiek myślący, więc okoliczność ta nieco go zastanowiła. Skreślił na jedną ulicę, chłopiec jest; wszedł na drugą—także jest.

— A słuchaj no ty kawalerze — mówi naraz spoglądając na pokuloną postać Ignasia — czego ty tak idziesz za mną?

Ignas brzytanął także, a podniósłszy swe wielkie szafirowe oczy na pytającego, odpowiedział nieśmiało.

— Proszę pana bo mi tak ciepłej...

— Hm, patrzaj-że go, jaki sprytny!... No, no możesz iść kiedy ci ciepłej—konkluduje dobrotliwym tonem jegomość przekonany, że tem pozwoleniem niejaką łaskę mu wyświadczył.

— Ot z niego będzie człowiek kiedyś — myśli dalej—zaręczam, że nie potrzebuje, aby ojciec szukał dla niego co parę tygodni korepetytora... Oj te dziesi, te dzieci, jaki to kłopot sprawiają rodzicom... Ileby to można zrobić dobrego dla kraju i ludzkości, żeby nie te dzieci... absorbują człowieka, nic więcej...

Po chwili znowu takich rozmyślań, odwraca się do Ignasia.

— Mój przyjacielu, pewnie idziesz do szkoły?

— Tak jest.

— A do którój?

— Do gimnazjum.

— Bo i ja idę także do gimnazjum. Nie wiesz, czy zastanę o tej godzinie pana dyrektora?

— O, jest zawsze w kancelaryi...

Idą znowu dalej, Ignas czuje, że ręce mu kompletnie skostniały i lzy kręcić mu się zaczynają w oczach.

— A nie znasz tam kawalerze jakiego porządnego korepetytora dla mojego syna?

— Panu potrzeba korepetytora? Jabym mógł sam...

— Ty? ho, ho, mój Ludwik większy od ciebie i jest w drugiej klasie.

— Cóż to znaczy, proszę pana — mówi Ignasz wychodząc z poza swej zasłony—jestem w czwartej klasie pierwszym... U nas niektórzy uczniowie są więksi na wzrost od profesorów, a jednak ich słuchają.

Jegomość w futrze nic na to nie odpowiedział, widocznie argument Ignasia zabił mu klina do głowy, bo szedł dalej i uśmiechał się i głową pokręcał.

Już przed samym gmachem szkolnym, chłopiec porzuciwszy dość wygodne za plecami pana stanowisko, uklonił mu się grzecznie i wyprzedził, a wpadłszy na korytarz, pobiegł czempredzej do kancelaryi dyrektora.

"W obszernym fotelu, nachylony nad stołem, siedział już niemłody i siwy mężczyzna, o łagodnej fizyognoinii, i coś czytał. Nagłe wejście Ignasia, a jeszcze więcej zsiniała od zimna twarz jego mocno przestraszyła dyrektora.

— Co to się stało?—pyta zrywając się od biurka.

— Proszę pana dyrektora—trzepał Ignasz całując go w rękę, cały trzęsąc się od zimna — tu jeden pan idzie, chce korepetytora... jabym mógł dawać korepe- tycye... ciotka już niema tylko na dwa dni obiad... Nic nie szkodzi, że ja mały, ale ja umiem to wszystko...

— Powoli, powoli, nic nie rozumiem... Ależ ty masz odmrożone uszy... Józefie! — woła na kręcącego się po korytarzu dozorcę — przynieś no czempredzej śniegu... trzeba wytrzeć mocno...

— Niech pan dyrektor będzie łaskaw mnie zarekomendować—prowadzi dalej zebrzącym głosem chłopczyzna.

— Dobrze, dobrze — odpowiada dyrektor — ale tymczasem idź do drugiego pokoju, niech ci wytrze uszy... I ręce Józefie, i ręce — dodaje cały zakłopotany... Boże drogi na taki mróz; prawie bez ubrania...

Jak raz pokazuje się i znajomy nam jegomość, którym nie jest kto inny tylko pan Marcin. Oblicze szanownego pedagoga nieco się pochmurzyło, albowiem dość często miał on z nim do czynienia, i znał nieprzezwycięzone jego gadulstwo. Pan Marcin równie i na polu wychowania młodzieży brał czynny udział w dyskusyi, a za ostatnią bytnością u dyrektora przez całe dwie godziny wykladał mu potrzebę zaprowadzenia w gimnazjum kursu dyplomacyi politycznej, bez której, jak utrzymywał, ani w tem ani w przyszłym życiu szczęśliwym być nie można.

— Łaskawy panie dyrektorze, ja z wielką prośbą do pana.

— Proszę siadać, słucham — mówi dość zimno wskazując na krzesło.

— Otóż, panie dobrodzieju, żona moja nie może sobie dać rady z Ludwikiem.

— I ja niebardzo mogę — wtrąca dyrektor, poprawiając okulary. I gdyby pan dobrodzieju był łaskaw zabrać go od nas, byłibyśmy wdzięczni. Co dzień profesorowie się skarżą, uczniowie się skarżą... Gdzie jemu w głowie nauka...

— Ot widzi pan dyrektor, jaka to bieda z temi dziećmi! Umyślnie panie dobrodzieju rzuciłem gospodarstwo, sprowadziłem się tutaj dla ich edukacyi, pracuję, pilnuję i jeszcze mało... Chłopiec z gruntu jest dobry i zdolny, bo to moja krew, ale znarowiony, panie dobrodzieju, jak młody koń... Widocznie temperament

taki, nic innego tylko temperament, na który panie, trzeba wędzidla... Otóż moja żona powiada, idź Marcinie i poproś o jakiego słusznego nauczyciela do niego, żeby miał nad nim moralną przewagę i trzymał go ostro.

Dyrektor uśmiechnął się nieco i trochę zakłopotał, bo właśnie przyszedł mu na myśl Ignacy Wójcicki, któremu chętnie chciałby dopomóc.

— Mam ja tu jednego chłopca — rzecze powoli, zdolny jest, pracowity i ten niezawodnie byłby wielką pomocą pańskiemu synowi, tylko że młody bardzo, choć już w czwartej klasie... Pozwoli pan, każę go zawołać.

Pan Marcin zgodził się na to, a gdy za chwilę wszedł Ignas z twarzą płonąca jak piwonია od tarcia śniegiem, odzywa się obywatel.

— Eh, to my się znamy... — I opowiedział dyrektorowi całą historią dzisiejszej podróży za swojimi plecami. — Ależ panie dyrektorze — mówi w końcu — on o całą głowę mniejszy od mojego Ludwika.

— Jednak radziłbym spróbować; wzrost jeszcze nie daje dowodu powagi.

— Ale ja zawsze panie dobrodzieju... i żona.

— Niech on zaprezentuje się pani, kto to wie; właśnie taki wzorowy i pilny chłopiec przykładem dobrym więcej może oddziaływać niż groźbą... Ja panu dobrodziejowi życzę, a z mej strony zapowiem Ludwikowi, że za najmniejsze uchybienie i nieposłuszeństwo swojemu korepetytorowi, będzie ukarany. Zresztą nie spodoba się pani, dam innego. Pan dobrodziej daruje — mówi wstając dyrektor — ale ja muszę iść na przegląd moich malców... przepraszam, służba...

Jakkolwiek pan Marcin miał wielką chęć do rozpoczęcia dłuższej dyskusji, lecz będąc w ten sposób po

żegnanym, dał Ignasiowi adres mieszkania i puścił się także do banku.

Nie wiadomo, na czym młody Wójcicki opierał swoje nadzieje, że zdoła się podobać, pani, jednak wracając na południe do domu, już nie czuł zimna, a wszedłszy do stacyjki z niezwykłą radością ucałował ręce panny Karoliny, która się nim opiekowała.

— Widzi ciocia, jak to Pan Bóg pamięta o biednych!... Dostaję lekcję u bardzo bogatych państwa... Całą noc się modliłem i Pan Bóg mnie wysłuchał. Otóż tak było...

Tu opowiedział znowu ranną peregrynację za plecami owego pana, potem rozmowę u dyrektora, potem jak mu kazał ten pan przyjść do siebie, a w końcu zakłopotał się o to, że nie wie, ile ma żądać wynagrodzenia na miesiąc.

— Byłby czas moje dziecko, żeby już raz zlitował się Bóg nad nami — rzecz na to uradowana ciotka głaszcząc go po głowie — ale ja wątpię...

— No, zobaczy ciocia! Dwanaście reńskich najmniej... proszę cioci, dwanaście reńskich, czy ciocia się spodziewała tego. Już stancya, opał, usługa zapłacone... Pan Antoni będzie zartował ze mnie, ja wiem... niech zartuje, zobaczymy, kto prędzej co znajdzie... On ciągle chodzi, stara się, szuka i nic nie może... A wie ciocia dlaczego? Bo on się tak szczerze nie modli jak ja. Nieboszka mama zawsze mówiła, że kto się w opiekę podda panu swemu, ten nigdy nie zginie. No, a teraz ciociu kochana, kiedy już mam lekcję i to taką świetną lekcję, to ciocia musi jeść mięso, choćby się ciocia nie wiem jak wymawiała!

A. Wilczyński.—Tom XIV.

— Alboż ja nie jem? — odpowiada udając zdziwienie.

— Ho, ho dobrze ja to widzę, jak to ciocia wszystkim daje, i mnie i panu Antoniemu, a sobie zostawia kości i żyły...

— Bo ja nie lubię mięsa.

— Tak samo ciocia i kawy nie lubi, że pije same zlewki z wodą. Ale teraz inaczej będzie, kiedy ja przyniosę najmniej ośm reńskich na miesiąc. Nie dam się oszukać: najprzód musi ciocia odkrajać dla siebie i dla innych, a dla mnie co zostanie. Pamiętasz ciociu, jakieś to raz powiedziała, że kto pracuje dla drugich, powinien najprzód dbać o nich, a na ostatku o siebie. Otóż skoro ja będę pracował dla cioci, muszę być na ostatku. Nie zechce ciocia, to ja mam na to sposób, powiem wszystko panu Antoniemu...

— Ani się waż! Nie ładnie jest, żeby taki młody chłopiec kontrolował starszych i trudnił się plotkami.

Ignasz tylko poruszył głową na znak, że potrafi być wspaniałomyślnym, a odpowiedziawszy jśj całe zdarzenie z panem Marcinem, wyjął jego kartkę adresową.

— Ot widzi ciocia tak się nazywa! i mieszka tu zaraz w trzecim domu od nas na pierwszym piętrze... Musi być bogaty, bo takie miał czarne odstające futro...

Spojrząwszy na adres biletu, panna Karolina zmięszała się trochę, a choć wrażenie to starała się ukryć, jednak chłopiec dostrzegł ten niepokój.

— Ja wiem, co ciocia myśli. Cioci się zdaje, że ta pani mnie nie zechce. Ale ja się nie boję. Idąc ze szkoły wstąpiłem do kościoła Bernardynów, i tak się gorąco i szczerze pomodliłem przed Matką Boską, iż ta cudowna Matka popatrzyła się na mnie, jak ciocię ko

cham, prościutko patrzyła na mnie i jakby uśmiechnąwszy się kiwnęła mi głową: „dobrze, dobrze moje dziecko, bądź spokojny.” Więc też jestem spokojny, i niech się troszeczkę ogrzeję pójdę zaraz do tych państwa. Bieda tylko, że nie wiem, co żądać, starsi z siódmej klasy, wiem, że biorą i po dwanaście reńskich, za miesiąc. Jak ciocia uważa, czy to nie będzie dla mnie za wiele?

— Nie kłopotz się, ta pani nie jest rozrzutną. Zresztą nie trzeba być zbyt interesownym — mówi na to panna Karolina, głaszcząc go po twarzy — bierz co ci dadzą...

— Czy ciocia ich zna?

— Może i znam, choć proszę cię, żebyś tam mojego nazwiska nie wymieniał i w ogóle nie rozpowiadał o naszej biedzie... W każdym nieszczęściu trzeba zachować swoją godność. Idź, próbuj, może ci Bóg poszczęści...

Skorzystajmy z jego wyjścia, aby się przypatrzeć trochę owej panie Karolinie, którąśmy na początku niniejszego opowiadania w domu państwa Marcinów widzieli. Rzeczywiście trzeba jej się teraz dobrze przypatrywać, aby poznać, że to jest ta sama; schudła, zmi- zerniała, nos jej się przedłużył — jednym słowem z tej przystojnej panny zrobiła się podstarzała i prawie brzydka kobieta. Zostały tylko zawsze piękne czarne oczy, w których jednak zamiast poprzedniej żywości

1 bgnia, stały teraz zaduma i ta niepewność siebie będące wynikiem nieszczęścia. Sądzę, że gdyby ją zobaczyła w tej chwili pani Marcinowa, nie miałaby powodu posądzać o kokietowanie męża.

Z tem wszystkim, znajomy nam oficyał, pan Antoni zakochany był po uszy i nie tracił nadziei, choć za

raz po powrocie jej z zagranicy, przy pierwszej rozmowie dowiedział się, że propozycja jego nie znalazła, dobrego przyjęcia.

— Mój panie Antoni — rzekła mu wtenczas, gdy ją, w mieszkaniu swoim niby przyszłą gospodynię przyjmował — zostawmy te piękne projekta na później. Pan wiesz, o ile go szanuję, jak mu jestem wdzięczną za opiekę nad siostrzeńcami, jak go poważam, a wreszcie, ile miłą mi jest jego propozycja...

Tu pan Antoni ucałował z uczuciem jej rękę.

— Ale osądź pan, czy w obec przyjętych zobowiązań względem tych sierot, jest pora myśleć dziś o własnych przyjemnościach krępujących naszą swobodę.

— Dlaczego nie? Alboż to ja z moją córką nie jesteśmy także sierotami?

— No, pan trochę już za duży na sierotę — mówi z uśmiechem — a co do pańskiej córeczki, to spodziewam się nie odmówisz mej prośbie i zostawisz ją pod moją opieką. Proszę więc wynajmij dla siebie inne mieszkanie, a ja w tem zostanę z dziećmi, i będę sobie radzić jak można. Przyrzekłam nieboszcze siostrze, że wychowam te sieroty i muszę przyrzeczenia dotrzymać. Gdybym tu w mieście nie znalazła jakiego zajęcia, to pójdę znów na wieś z Zosią za guwernantkę, a Ignasia ulokuję gdzie na stancyi.

Zasępiło się czoło szanownego oficynała na taką mowę, wstał, czoło potarł i jako człowiek zirytowany odezwał się napół z żalem.

— To tylko pozór do odmowy. Pani dla mnie nie ma najmniejszej sympatyi. Ot, głupi byłem, ludząc się jakąś nadzieją! Już to, jak los zacznie człowieka prześladować, to, panie dobrodzieju, gorzej psa...

- "Wstydź się pan być tak niesprawiedliwym.
- Dobrze pani mowie, kiedy cię moja osoba nie obchodzi i możesz pozbyć się mnie bez żalu.
- Zastanów się panie Antoni — rzece z uczuciem żalu biorąc go za rękę, którą on dość szorstko wrywa — jak można mnie o coś podobnego posądzać. Czyż, widząc położenie twoje prawie bez wyjścia, miałabym sumienie, osobą swoją przysparzać mu jeszcze ciężaru?
- A jeżeli ja chcę i proszę o to?
- Boś się pan nie obliczył z siłami.
- Przepraszam, obliczyłem się, i wiem, że we dwoje zawsze lżej niż jednemu. Ja widzi pani znam siebie dobrze, że jestem narwaniec, ale gdybym panie dobrodzieju czuł kogoś nad sobą, któryby mnie parę razy na dzień brał za ucho i mówił: Antoni, halt, to zobaczyłaby pani, czemu bym ja nie był. Sto projektów mam, jak wyjść z tego położenia, na wszystkim się znam, do pracy się nie lenię.
- O-o-o, jeżeli panu idzie o to, aby go brał ktoś za ucho i przestrzegał ciągle, to jestem gotowa podjąć się téj roli. No, pójdź-no pan tutaj — mówi śmiejąc się szczerze — i nachyl się trochę, niech pana schwyć za to ucho... Tak, dobrze. „Nie żeń się panie Antoni, nie żeń się” — powtarza szarpiąc go delikatnie — bo dla biednego człowieka, żona jest ciężarem, jest niepotrzebnym sprzętem." A co? tego pan chciałeś?
- Nie, pani dobrodziejko, nie tak — odpowiada już z wesołą miną — tak pani powiedz: „Ożeń się panie Antoni z kobietą, którą szanujesz i kochasz, a ona ci nie da głupstw robić, nie pozwoli ci przegrywać poło

wy dochodów na loteryi, bo ty jesteś letkiewicz i stare dziecko.

— Więc pan jeszcze łudzisz się tą loteryą?

— Eh, proszę pani, co ja mam robić! — zawoła prawie z desperacją.—W jakim sposobie raz wyjdę z tych długów; los tylko jeden może mnie wyratować. Sto razy sobie powiedziałem, że nie będę więcej stawiał, a jak przyjdzie jakiś zły duch i podszeptnie stawiaj! to stawiam.

— Panie Antoni — przerywa mu z zatrwożoną miną kobieta. — Ależ to jest namiętność! Pan się gubisz i dziecko swoje gubisz...

— Ja wiem, że się gubię, ale nie mam siły i dlatego też sądziłem, iż pani mnie uratuje. Teraz skoro pani nie chce, niech wszystko dyabli biorą!

Zamilkli oboje: on chodził po pokoju i wąsy targał, ona siedziała z pochyloną głową jak osoba, którą prawdziwa rozpacz trawi. Niepotrzebujemy zapewniać czytelników, że kobieta ta kochała pana Antoniego więcej może, niż on mógł się spodziewać, a kochając widziała całą przyszłość, którą ten człowiek porwany prądem namiętności gotuje sobie i dziecku. Mimo wszelkich przeszkód niedozwalających na zawarcie małżeństwa, gotową była poświęcić się dla niego, gdyby miała to przekonanie, iż ofiara była skuteczną. Znała ona i wiedziała dobrze, ile to już najzaczniejszych ludzi padło pod brzemieniem tej namiętności do gry, ile dostało się do więzienia gdy w przystępie szału ośmielili się targnąć na cudzą własność, a ilu skończyło na samobójstwie. Pan Antoni jest urzędnikiem pocztowym, przez jego ręce przechodzi tyle pieniędzy, a gdyby...

Otóż na samą, myśl taką, febryczny dreszcz przeszedł po niej i serce się ścisnęło.

— Panie Antoni! — zawołała żywiej — proszę, usiądź pan tu przy mnie.

Zdesperowany oficynał usiadł.

— Powiedz mi pan szczerze — mówi kładąc swoją rękę na dłoni jego—czy rzeczywiście i prawdziwie mnie kochasz?

— Czy ja kocham? — powtarza zsuwając się na kolana przed nią. — Nie kocham, ale ubóstwiam, ale szaleję! Pani jesteś jedną jedyną osobą, która może mną rządzić, i której ja mogę posłuchać... Ja czuję, że ginę, pomimo tego, że oszukuję się czasami; ja chce się ratować, ja chcę być porządnym człowiekiem — ale jeżeli pani mnie opuścisz, stracę tę ostatnią wiarę w siebie, ten ostatni instynkt zachowawczy...

— A cobyś pan powiedział na to — mówi znów ona ciszej, zakrywając sobie twarz rękami — że i ja pomimo tych wszystkich oskarżań się pańskich, pomimo, że inne ważniejsze niż osobiste obowiązki ciążą mi na sumieniu, zarówno pana kocham i to oddawna.

— Ach panno Karolino! — zawoła całując jej ręce — jesteś bóstwem mojem, jesteś więcej niż aniołem moim... "Wszystko myślałem o sobie, lecz nie przypu- szczałem^ że możesz mnie tak uszczęśliwić!... Oszaleję, jak Boga kocham, nie wiem, co mi się zrobi z radości...

Umilkł, a łzy puściły mu się z oczu, łzy szczęścia i żalu. Panna Karolina czuła się nie mniej wzruszoną i nie wiedziała, jak i kiedy również jej się na płacz zebrało. Chciała uspakajać oficynała, gdy tymczasem sama potrzebowała tego samego.

— A więc skoro tak jest — rzecze po chwili pro

sząc, ażeby się podniósł i usiadł—skoro dowiedzieliśmy się o wzajemnych uczuciach dla siebie, sądzę nie powinno nic skrytego pozostać między nami. Ślubu brać nie- możemy teraz, lecz jestem przekonana, że i dla nas czasy muszą się zmienić. To jednak nie przeszkadza, żebyśmy byli względem siebie otwarci i szczerzy i żebyśmy sobie pomagali nawzajem w naszej biedzie. Zaczynam się skłaniać do pańskich przekonań, że i nam się coś należy od losu, a zatem skoro wspólnie mamy iść odtąd, grajmy i na loteryi na wspólnkę. Powiedz mi pan ile masz rzeczywiście długów?

Wszystkich, czy tylko lichwiarskich?

— Wszystkich.

— Zaraz pani obliczę — mówi, wyjmując książeczkę notatkową z kieszeni i dodając różne pozycje do siebie... Tak około 2,400 guldenów, bo jeszcze trzeba- by dodać bieżący procent... ale więcej nie będzie.

— Więc ile trzeba postawić na liczbowej loteryi, żeby na terno wygrać tę sumę?

— Pięćdziesiąt centów.

— Tak mało?

— Terno wygrywa cztery tysiące ośmset razy, i żeby trafić tylko...

— A zatem zgoda, gramy na wspólnkę i to na lwowskiej loteryi. Ja dam na każde ciągnięcie 25 centów i pan tyleż, a jak wygramy, to moja połowa stanowiąc będzie mój posag i pójdzie razem na spłacenie długów.

— Dobrze kochana pani, tylko ja byłbym zatem, żeby prócz głównego terna, stawiać coś na ambo. Mam ja pewną kombinację moją, która nie może chybić,

a przyznasz pani, że zdałaby się jakaś kwota na pierwsze zagospodarowanie nasze.

— A fe panie Antoni, nie trzeba być tak chciwym, bo Pan Bóg nie będzie błogosławił. Czyż nie dosyć, jeżeli pozbędziemy się wszystkich długów. Umowa już stanęła i ja od niej nie odstąpię. Jeden tylko dodaję warunek, że każde z nas pod żadnym pozorem nie będzie grać samo, ani też wchodzić w inne spółki. Przyznam się panu otwarcie, że i ja ciągle stawiałam.

— A widzi pani — przerywa zacierając ręce pan Antoni — że to każdego coś do tej gry ciągnie.

— Przyznaję się, że tak jest, chociaż nie stawiałam tylko na jedno terno, które mi się' śniło przeszłego roku, bo jestem tego zdania, że jak mam wygrać, to wygram, czy będę raz czy kilka razy stawiała. Ja wierzę panie Antoni w przeznaczenie, a wszelki hazard zależy od szczęścia. Loterya jest tak samo kapryśną jak kobieta, nie to kocha co jest piękne, ale to co się podoba... Więc ja panu daję moją rękę i przyrzekam, że zastosuję się do naszej umowy. Gramy na wspólnkę bezwarunkowo...

— Ja również przyrzekam toż samo.

— I dajesz pan słowo honoru!

— Czy pani inaczej mi nie uwierzy?

— Nie uwierzę.

— Więc daję, choć czasami radbym małeńkie ambo...

— Może być, ale na to trzeba będzie oddzielnój zgody... Tymczasem umowa stoi między nami na rok.

— Dobrze na rok i na każde ciągnięcie umówimy się o numera.

— Dobrze, umówimy się...

— I jak wygramy, to pani zgodzisz się na małżeństwo?

— Ma się rozumieć.

— A jak nie wygramy, to pozwolisz mi pani mieć jakąś nadzieję?

— Czyż panu nie powiedziałam? Za rok...

— No, to chyba już oszaleję z radości... Panno Karolino, droga serdeczna moja Karolino! — zawoła znów klękając przed nią — jaka ty jesteś dobra i szlachetna...

— Nie rób-no pan dzieciństwa i nie klękaj jak przed obrazem. Mówmy sobie jak dotąd pan i pani, te przyzwyczajenia się Karolino i Antoni nie są bardzo dobre. Ludzie, nawet nam nieznani, lubią nadzwyczaj; opiekować się cudzą sławą, a sędzę, że pan nie życzyłbyś sobie, aby o przyszłej twojej żonie źle mówiono. Nie jesteśmy młodzieniaszkami, któreby takie drobnostki romansowe zachwycać mogły, więc pozostajmy serdecznymi przyjaciółmi, dopóki ślub serc naszych nie połączy... A teraz szanowny mój współniku racz pomyśleć o herbacie... jestem głodna, bo przez dwa dni podróży dla oszczędności nie jadłam nigdzie obiadu...

— Ot, widzi pani, jaki to ze mnie roztrzępaniec! — zawoła zrywając się z kanapki, biegnąc do kuchenki. — Wszystko przygotowałem, a tu jakeśmy się zagadali, to i samowar wygasł... Przepraszam panią najmocniej, ale w moment wszystko będzie gotowe... Ma pani rację, jestem do niczego...

Otóż w ten sposób odbyło się powitanie i pierwsze oświadczyły tych dwojga osób dla siebie przeznaczonych, którym szanowny los opiekun nie poszczędził jeszcze różnych niespodzianek. Pan oficjalnie dotrzymał

słowa i grał tylko na współkę z panną, Karoliną, a choć bardzo często przychodziła mu gorąca chęć próbowania szczęścia na własną rękę, jednak przypomniawszy dane uroczyście słowo, powstrzymał te chęci i czynił sobie ostre wyrzuty, za tak nieuczciwy zamiar oszukiwania przyjaciółki. No, że ona mnie w pole tą spółką wyprowadziła, to ja się teraz przekonuję, medytowałem nieraz, ale trudna rada, może i ma rację. Nie trzeba nadużywać szczęścia; jeżeli przeznaczone że wygramy, to wygramy i na jedno terno.

Przy wyprowadzeniu się na nowe mieszkanie, zapytała go panna Karolina jakie ma meble, skoro ztąd nic nie zabiera.

— Tak tam trochę miałem na strychu...

— Czego pan zmyślasz, kiedy ja wiem, że sypiasz na podłodze., czy to jest jaka otwartość między nami?

— Przyznam się pani, że nie mogę brać cudzych sprzętów. To co tu pani widzi wszystko jest pozostałością po pani Wójcickiej.

— A gdzie pańskie meble?

— Sprzedałem, bo przecież w jednym pokoiku niepodobna było wszystkiego pomieścić, a trudno cudze rzeczy sprzedawać.

— Ale pieniądze swoje można wydawać na utrzymanie cudzych dzieci?

— Bardzo mało... myśmy się tu tak oszczędnie żywili; co takie dzieci potrzebują... drobnostkę. Ot, spłaciłem trochę długów swoich, trochę się rozeszło...

— Otóż trzeba teraz podzielić się temi gratami — mówi panna Karolina — przyślij pan stróża niech weźmie jedną sofę, stół, parę krzesel.

— A na co mnie to!... Jak panią szanuję, to mi

nie potrzebne. Prawie pół tygodnia jestem w drodze, a ja przyjadę do Lwowa, to przyjemniej mi tu siedzieć, niż samemu w domu... więc aby się tylko przespać... Daję pani słowo nic nie wezmę... ot jeden stolik i krzesło to dosyć...

Targowali się i sprzecali na tym punkcie, ale oficyał jak zwykle musiał ustąpić. Już to w ogóle trzeba przyznać, że wpływ tej kobiety nad nim co dnia wzrastał. Spokojnie, cicho i z całą słodyczą umiała ona hamować gwałtowne wybryki charakteru pana oficyała. Czasami przewaga ta zdawało mu się za uciążliwą i obrażającą; przyszedłszy do swego mieszkania wyrzucał sobie, że niepotrzebnie ulega fantazyom kobiety, która niewiadomo, czem jest dla niego. Zżymał się, odgrażał, iż zerwie z nią i więcej tam nie pójdzie, że jej wszystko wypowie, że ją zawstydzi, bo koniec końców jest fałszywą i hipokrytką, lecz kiedy się pokazał w pokoiku na Łyczakowskiej ulicy, a ona popatrzyła się nań powiedziawszy z łagodnym wyrzutem: „Panie Antoni jakże to można” — nasz oficyał pokorniał jak student. Nieraz, bywało, zawieruszył się gdzie z kolegami i nie przyjdzie na kolację. Panna Karolina siedzi do jedenastej w nocy, grzeje ową kolację, wychodzi na schody, a jego nie ma. Na drugi dzień Ignasz niechcący wydaje ją z sekretu, a pan Antoni zdjęty żalem, okrutnie strapioną ma minę.

•— Bo to widzi pani zaprosili mię na imieniny* graliśmy w preferansa, po pół centa jak Boga kocham... Niech pani daruje...

— Cóż ja mam darować, każdy jest panem swej woli. Ja tylko sądzę, że dalekoby swobodniej i taniej wypadło, gdybyś pan stołował się gdzie w restauracji...

— A niechże mnie Bóg broni...

— Nie byłbyś pan krępowany godziną... Naturalnie, mężczyzna potrzebuje rozrywki.

— A dlaczegoż to pani nie potrzebuje? — odzywa się na to z pewnym wyrzutem. — Nieraz proszę do teatru, albo na jaki koncert w ogródku...

— Ja co innego, a pan co innego. Ja mam obowiązki...

— A ja nie mam?

— Eh, panowie macie inne, my inne. Zresztą* zależy od tego, jak je kto pojmuje...

— Otóż powiem pani, że źle je pojmuję!—zawoła zirytowany. — Boże drogi, kiedy ja będę miał rozum. Tyle razy sobie powiadam, ty stary durniu, po co ty tam leżysz, po co tracisz, a zawsze coś mnie skusi, ktoś namówi i idę jak cielę... Wie pani, czasami jestem taki zły na siebie, że bym się bił. Sama pani powiedz, czy nie byłoby mi przyjemniej tu posiedzieć, pogadać, coś zrobić, ale to taka hultajska natura u mnie, że jak poczuję kilka reńskich w kieszeni, hulaj dusza... Żeby pani chciała trzymać mnie ostro...

— Ja, a to z jakiej racji?

— Z tej, że jestem ladaco, hultaj, lekkomyślnik i wogół6 człowiek stracony... Ale ja panie dobrodzieju znajdę na to sposób — mówi żywiej wytrząsając ze wszystkich kieszeni różne pieniądze na stół... Przysięgam Bogu, odtąd centa nie będę miał przy sobie... Ma pani moje pieniądze, bierz, chowaj, rządź! Moja serdeczna panno Karolino, zlituj się i weź mnie w kuratelę a choćbym nie wiedzieć jak prosił, błagał i dąsał się, nie daj... wypchnij mnie za drzwi i kwita!

Panna Karolina śmiała się serdecznie z tej żarli

wości oficyna, wymawiała, lecz że była kobietą, taką jak inne, którym każda władza nad upokorzonym mężczyzną niezmiernie pochlebia, więc zgodziła się na urząd kasyerki marnotrawnego przyjaciela, i trzeba przyznać spełniała go z należyty rygiorem. Odtąd pan Antoni zrobił się innym zupełnie człowiekiem, słuchał i radził się jej we wszystkim, a że był czynnego nadzwyczaj temperamentu, więc pomagał w domowych robotach, rąbał drzewo w piwnicy, chodził do miasta po sprawunki, przemyśliwając o różnych majsterkach, z którychby korzyść mieć mogli. A głowę zawsze miał pełną tych projektów. Raz powiada: będziemy fabrykować papierosy na sprzedaż. Uważa pani, jestto lekka robota, i rentowna. Pani będzie kleić papierki, ja będę nasy- pywał, dzieci popakują w paczki i zobaczy pani jaki to będzie interes... Biega tedy, kupuje wszystkie przyrządy, mięsza tytonie, kraje, roznosi między kolegów, ale gdy po dwu tygodniach takiej gorączkowej roboty pokazuje się, że ten i drugi nie płaci, że zapas cygaret leży bez amatora, a w rezultacie ledwie swoje pieniądze może odebrać, zaczyna chłodnąć i fabryka staje...

— To nic pani, próba frej, ja tu coś lepszego wy- najdę.

Więc bierze się do oprawy książek. Z natury pan Antoni ma wiele sprytu do takich majsterek i jakkolwiek zrazu nie idzie mu gładko — to jednak manipulując z Ignasem, radząc, poprawiając, dodając, oprowił pierwszą książkę na próbę. Złe, skóra za wyprawę nie stanie, koszta zakupionych materiałów więcej wynoszą niż cena oprawy u introligatora, a ten robi daleko lepiej... Spróbujmy kleić pudełka dla aptekarzy, nastę

pnie koperty, potem fabrykujemy zabawki freblowskie a w rezultacie wszystko się nie opłaciło.

Otóż gdy szanowny oficyał w ten sposób bawi się w rzemieślnika, z funduszami panny Karoliny zaczyna być coraz bardziej krucho. Szczupłe zasoby, jakie przywiozła z sobą, zaczynają się powoli zmniejszać. Po wakacjach, myśli sobie, znajdę przecie jaką lekcję, więc żyje z gotówki przez te wakacje i karmi się nadzieją. Ale przeszedł już Wrzesień, nauki się rozpoczęły w szkołach, a wszelkie starania, ogłoszenia, zapisywania w kantorach, pozostały bez skutku. We Lwowie więcej jest szukających uczniów niż chcących się uczyć, a kto nie ma stosunków i protekcji, może i lata czekać nim jakaś lekcyjka spadnie mu z nieba. Widząc, że jakoś źle idzie, próbuje w inny sposób zarabiać: bierze się do szycia, przyjmuje do domu na naukę dzieci uboższych lokatorów z.tój kamienicy, podejmuje się robienia korekty z drukarni, lecz wszystkie te zajęcia razem wzięte ledwie wystarczają na opłatę mieszkania i opału. Trwoga ogarnia biedną kobietę na samą myśl, co to będzie dalej. Więc dalejże do oszczędności, którą stosuje naprzód do własnej osoby. Obchodząc się bez żadnej usługi, w nocy, pokryjomu, gdy dzieci spać się już pokładły, wymykała się z konewkami po wodę do cysterny, sama z koszykiem idzie do miasta, sama nosi drzewo ze sklepiku, szoruje podłogę, gotuje, pierze bez względu, że ani jej siły, ani przyzwyczajenia, na to nie wystarczają. Dla pana Antoniego, który płacił za swoje stołowanie, i dla dzieci które potrzebowały posilnego jedzenia, obiad jest inny, dla niej resztki i trochę kartofli, żeby tylko nie umrzeć z głodu. Już mały Ignas zauważył, jakto ciotka nigdy nie jada mięsa i kawy nie

pije, a ten nibyto przebiegły taki Antoni, wcale tego nie widział. Z prostoduszną łatwawiernością zajadając pieczeń, ubolewał, że panna Karolina nie może znośić mięsnych potraw, bo jej sprowadzają uderzenia do głowy; wierzył, iż nie lubi za dnia wychodzić na przechadzkę, gdy ona rzeczywiście posprzedawszy całe ubranie z siebie, żenowała się iść na ulicę w wyszarzanej sukni. Patrząc na jej twarz bladą i podsiniałe od płaczu oczy, martwił się, że tak często cierpi na ból głowy; przynosił różne specjalne lekarstwa i gwałtem ciągnął ją do doktora. Biedny pan Antoni, on nie przypuszczał szlachetnego kłamstwa kobiety, która w danym wypadku potrafi poświęcenie swoje podnieść do heroizmu.

Kto w życiu swem nie przeszedł prawdziwej niedoli, ten nie jest w stanie pojąć owego duszącego uczucia, jakie stopniowo niby pod prasą zwiększającą ciśnienie, tłoczy pierś i umysł ofiary. Sama bieda może nie jest tal? straszną, jak jej dalekie widmo, to długotrwałe oczekiwanie, ta okropna myśl, co to będzie, gdy ostatni już grosz wyjdzie z kieszeni i nie zostanie nic — tylko czarna rozpacz. Boże drogi, jakież to są straszne chwile w życiu człowieka, jakie to myśli z desperacyi nawiedzają go dniem i nocą, jakie rodzą podszepty prowadzące częstokroć do zbrodni. Szlachetniejszy instynkt zachowawczy, na oślep wtedy chwytą wszystko, co ma pod ręką, nawet ostrza brzytwy, bez względu, że one pokrajać mogą te ręce w kawałki...

Otóż ta sama groza strasznej przyszłości opanowała i umysł panny Karoliny, gdy ją zawiodła ostatnia nadzieja otrzymania jakiegoś miejsca nauczycielki na prowincyi. Biedaczka przerachowała się sprzedając z siebie ubranie. Na świecie niestety tak cię piszą, jak

cię widzą, a guwernantka w lichej wyszarzanej odzieży nie może wzbudzić zaufania; gdzie ją obejrzano — odprawiono z niczem; w tych czasach nawet wewnętrzna wartość człowieka potrzebuje mieć odpowiednią dekorację...

W wigilią tego dnia, gdy Ignas zwiastował jej tak pożądaną nowinę, już nie mogła zasnąć przez noc całą — zapas jej funduszów wystarczał tylko na trzy dni. W pokoiku zimno było jak w psiarni, dzieci budziły się co chwila, wstała więc i resztkami słomy ze swego siennika zapaliła w piecu... Nie ma innego ratunku — pomyślała patrząc jak żarłoczny płomień pochłaniał swoją ofiarę — tylko trzeba wyjechać ze Lwowa. Niech pan Antoni zabierze sobie dziewczynkę swoją, sprzedam resztę tych gratów i pojedę do Krosna, gdzie mieszka brat stryjeczny nieboszczyka Wojcickiego... Tam może jakoś dam sobie lepszą radę... Szkoda tych zdolności Ignasia, biedny chłopiec pomimo tylu wysiłków i ofiar matki nie będzie mógł chodzić do szkoły... Otóż to co ją najbardziej bolało!... o wła- snem szezęściu, o przyszłym pożyciu z panem Antonem, którego bardzo kochała, zapomniała w tej chwili.

Nowina przyniesiona przez Ignasia dodała jej tro - chę nadziei, a że na tej nowinie jakby na karcie do gry użytej spoczywał cały los rodziny, więc pójdźmy za nim do mieszkania państwa Marcinów. Jak raz trafił on na porę obiadową, a że w domu naszego demokraty funkcja napelniania familijnego żołądka odbywała się z całą uroczystością, przeto kazano mu zaczekać w przedpokoju.

Chłopiec pierwszy raz w życiu był w zamożniejszym domu obywatelskim; skracając sobie przeto chwile oczekiwania, przez otwarte drzwi salonu, zaczął się przypatrywać wspaniałemu umeblowaniu. Wszystko było dlań nowością i wzbudzało niezmiernie uszanowanie dla właścicieli tych szkarłatnym aksamitem pokrytych mebli, dywanów, luster, bronzów, kwiatów i t. p. Patrzył i dumał, jakto być może, żeby ludzie mający to wszystko, musieli nauki szukać u takich jak on biedaków...

Tymczasem w jadalnym pokoju prowadzono dość hałaśliwą i ożywioną rozmowę: pani karciła dzieci, żeby siedziały przyzwoicie i nie grymasiły, pan dowcipkował, służący brząkał talerzami, a przyjemna woń różnorodnych potraw tylko sprowadzała ślinkę na usta głodnego Ignasia, który w zapale swej gorliwości wybiegł z domu przed obiadem. Czem dłużej czekał, tem większa ogarniała go trwoga, czy zechce tak bogata pani powierzyć mu naukę panicza, jemu, który niema pojęcia o tem, jak się tu wśród takich państwa zachować. Łatwo sobie tedy wyobrazić jego pomieszanie i nieśmiałość, gdy wreszcie zawołano go do pokoju. Przeżegnał się, westchnął i z dziwnie pokorną miną, niby chłopiec przysłany od majstra po robotę, stanął cichutko przy drzwiach.

— A, jak się mamy kawalerze!—mówi pan Marcin wśród pykania z cybucha, bo właśnie lokaj zapalał mu fajkę.—He, ogrzałeś się teraz? Powiadam ci, Winiu, jaki to sprytny hultaj, uważasz schował się za moje plecy, jakbym to ja był parawanem...

Pani spojrzała ku drzwiom i zobaczywszy tak niepozorną i biednie ubraną postać Ignasia, wzruszyła tylko ramionami. Po skórze chłopca przeszedł dreszcz

trwogi, głos zamarł mu na ustach, a przekładając coraz szybciej trzymaną czapkę z ręki do ręki, połykał łzy napływające do oczu.

— Marcinie—odzywa się półgłosem pani—cóż to znowu...

— Ale proszę cię, moja duszko — przerywa jej, prosząc aby się zbliżyła do niego. — Widzisz moje życie—mówi ciszej—dyrektor... to nie można.

Ona coś na to odpowiedziała, on się zaperzył i powiada już głośniejszym głosem:

— Już ja wiem co robię! Pozwól niech i ja mam swoje zdanie. Przecież tak samo, panie dobrodzieju, on mój syn jak i twój, i wiem, co się nie robi dla dobra dzieci...

— Jak ci się podoba...

— Niech spróbuje, zobaczymy...

— Dobrze, próbujcie, lecz pamiętaj Marcinku, że na siebie bierzesz całą odpowiedzialność.

— No, biorę, coś wielkiego. Pójdźże tu Ludwik— mówi zwracając się do kręcącego po pokoju dryblasa.— Oto jest twój korepetytor... Może się znać?

— Ja nie znam — odpowiada Ignasz, gdy pan Ludwik nie raczył nawet spojrzeć się na niego.

— Uważasz, kawalerze, ja płacę dwanaście reńskich na miesiąc, ale, mości dobrodzieju, trzeba fałdów przysiedzieć. Ja chociaż zarobku nie potrzebuję, a jednak, mości dobrodzieju, pracuję od godziny dziewiątej do trzeciej w Banku i zapytaj, co ja się, mości dobrodzieju, napiszę... Równość praw, daje równość obowiązków. A i w domu sprawy nie zasypiam...

— Będę się starał i liczył na godziny.

- Naturalnie, mości dobrodzieju, bo finis corone... nat opus...
- Mogę i rano wstąpić żeby przesłuchać lekcyi.
- To, to, to bardzo pochwalam... Słyszysz Ludwiku, będziesz rano wydawał lekcye... Ja tak samo, mości dobrodzieju, stary jestem, a ciągle sobie przepowiadam.
- Ale ja nie będę wydawał — dorzucą Ludwik przesywając korepetytora złowrogiem spojrzeniem.
- Musisz! skoro ja tak chcę.
- A ja nie będę! — zawołał synek z fantazyą i nie słuchając dalej wybiega do innego pokoju.
- A to bestya harda, he?
- Ty znowu, moja duszko — dorzucą pani — wcale nie masz taktu. Jakże można tak przy kimś obcym kompromitować chłopca... Nie wierzę ja tej wielkiej gorliwości z początku; wszystkie sługi co to od razu biorą się nagle do roboty, potem bardzo prędko opuszczają ręce... W młodzieży nie wypada ścierać ambicyi... Mój kawalerze — mówi dalej zwracając się do Ignasia — skoro mąż tak sobie życzy, ja się nie sprzeciwiam... Ucz go, przesłuchaj, tylko bardzo proszę obchodzić się z nim grzecznie... Jest-to chłopiec. nadzwyczaj delikatny i uległy...
- Dobrze, proszę pani, aby tylko pan Ludwik...
- Jaki znowu pan? — przerywa Marcin. — Między studentami niema panów. W szkole, mości dobrodzieju, jest pole gdzie się równość sieje... Uważasz, ja dawniej byłem także przeciwnikiem zasad demokratycznych, ale przekonałem się, że w państwie konstytucyj- nem równość jest konieczną. Grecy, mości dobrodzieju, rządili się tylko demokratycznymi zasadami... Ale

a propos Greków, mój kawalerze, Ludwik podobno jest kiepski w tej greczyźnie; zmiłuj się trzeba go wziąć na tę grekę tak... uważasz! Greka to jest klasyka... ważna rzecz... No, możecie od dziś rozpocząć.

— Jednakże ja sobie wymawiam — wtrąca znów pani — iż gdyby po tygodniu próby, lekcye te nie szły tak jak sobie życzę, to kawaler nie będziesz miał pre- tensyi.

— Dołożę wszelkich starań.

— Bardzo dobrze, tylko pamiętaj grekę mu wbijać do głowy, grekę przedewszystkiem... a ty, moja Wi- niu, każ mi dać poduszczkę do twego pokoju, niech oni u mnie się uczą, ja u ciebie na kanapie się pize- drzemie.

Służący zaprowadził Ignasia do gabinetu pana Marcina, gdzie właśnie pan Ludwik rozciągnięty na szeslongu ćmił sobie papierosa i wcale nie zważał na przybycie nowego korepetytora. Stał tedy, stał, a widząc, że uczeń ani myśli zabrać się do lekcyi, 'odezwał się po chwili.

— Cóż jutro jest na lekcya?

Ludwik ani się ruszył, lecz owszem puszczał coraz foremniejszć kółka z dymu i przekłuiwał je palcem.

— Bo widzisz Ludwiku, jabym chciał, żebyśmy to jakoś pó koleżeńsku... — mówi zbliżając się do sofy. Lecz jeszcze nie miał czasu dokończyć, gdy silny policzek odbił mu się na twarzy... Ludwik zerwawszy się z szeslonga, pałnął go z całej siły, a odskoczywszy na bok stanął w obronnej pozycyi za stołem...

— Masz za twoje tykanie! Cóż-to ja pasalem kiedy gęsi z tobą!

Ignas jakby piorunem rażony odrętwiał.

— Widzisz go, jaki mi mędek... lekcyi mnie będzie słuchał rano... O, niedoczekanie twoje...

Ignas nie mógł przemówić ani jednego słowa; czerwieniąc i blednąc na przemiany, czuł, że w oczach robiło mu się ciemno, a łzy z oczu niby wielkie ziarnka grochu padały gradem na surdut. Trudno nam opisać, co w tój chwili działo się w jego duszy, bo gniew, żal i rozpacz błyskawicą przelatywały po głowie, między każdym objawem tych uczuć, jak w panoramie jakiej tylko migiała postać zasmuconej ciotki z załamanemi rękoma.

Panicz się naboczył, i zobaczywszy, że korepetytor nie ma zamiaru rozpoczynać walki, położył linię w którą się uzbroił na stole, najeżył czuprynę i patrzył ogłu- piałemi oczyma na niego.

— Panie Ludwiku — odzywa się przytłumionym głosem Ignacy—bij mnie jak chcesz, ile ci się spodoba, tylko nie mów o tem przed nikim... Moja ciotka ma już tylko dwa reńskie na wydatki... ona nigdy nie jada mięsa, bo my biedni jesteśmy bardzo... Ja nie będę pana słuchał lekcyi i nie powiem...

— No pamiętaj, hebesie!—rzekł na to z fantazyą Ludwik rozkładając książki na stole.—Pamiętaj, bo zemną nie tak...

Milczeli oba czas jakiś, nareszcie uspokoiwszy się nieco nasz Ignas, powtórzył pytanie o lekcyę na jutro. Nie tracąc miny, zasiadł panicz do stołu i tym sposobem odbyła się cała godzina korepetycyi. Po lekcyi drżącym jeszcze od wzruszenia głosem zapytał Ignas, którędy się wychodzi na schody.

— Czekaj, ja cię wyprowadzę—mówi panicz z inną jakoś niż przedtem uprzejmością.

"Wyszli do sieni, korepetytor już był na dole, gdy stojąc przy poręczy Ludwik, zawołał z góry:

— Słuchaj Wójcicki.

Ignas podniósł głowę i spojrzał na niego.

— Zły jesteś na mnie, co?

— Nie.

— Bo widzisz, ja cię nie rznąłem tak bardzo... ale tak...

— Panie Ludwiku, dajmy temu pokój, zapomniałem—odpowiada Ignas z dołu, ocierając łzy ręką.

— Nie, chodźno jeszcze, poczekaj—rzecze zbiegając ze schodów.—Co tam, mów mi ty. Ja widzę, że doskonale umiesz arytmetykę, nie tak jak Pękalski... Ot, widzisz, będziemy w przyjaźni, byłem durniem... ale jak będę chciał..

Ludwik wyciągnął do niego rękę, Ignas podał mu swoją, i tak jakoś niechęć przybliżyli się do siebie, i również niechęć pocałowali nieśmiało. Za jednym pocałunkiem poszedł drugi i trzeci, aż rozchocony Ludwik objawszy w pół swego korepetytora podniósł go do góry w uścisku.

•V. * — Wiesz, takiego nauczyciela jeszcze nie miałem, zuch jesteś. — I znowu się pocałowali, trzymając za ręce.—No, tylko nie becz, co tam... jak chcesz, będę wydawał lekcje co rano... możesz przychodzić, ja taki jestem, z kim dobrze, to dobrze.

Z burzy więc i nienawiści zrobiła się od razu taka przyjaźń i serdeczność, o jakiej w kronikach szkolnych nie trudno. Ludwik odprowadził go do samych drzwi domu, w którym z ciotką mieszkał, opowiadając po drodze, jak oni wczoraj w drugiej klasie, wypukali nogami Kobalda, (była to studencka nazwa profesora

mineralogii), jak on poszedł do dyrektora na skargę, i jaka z tego zrobiła się awantura w klasie. Żegnając go młody panicz, ofiarował dwa zmięte papierosy, które miał w kieszeni i prosił, żeby nikomu o ich zajściu nie wspominał.

Ignas miał dobre serce, a przytem tak był szczęśliwym z otrzymania lekcji i to z tak hojną zapłatą, że wpadłszy do stancyjki, rzucił się na szyję ciotce, gadał coś piąte przez dziesiąte, że dobra kobieta widząc go w tym stanie, myślała, że mu się w głowie pomieszało. Ochłonawszy trochę, dopiero opowiedział jej całą rozmowę z panem, uwagi pani, a wreszcie o niezwyklej przyjaźni z nowym uczniem, który go tutaj do samych drzwi odprowadził.

Przygnębiony umysł kobiety wśród tylu przeciwności orzeźwił się nieco, nadzieja jakaś wstąpiła do serca, a coś jej szepnęło, że właśnie dzień dzisiejszy będzie tym dniem przełomu nieszczęścia na lepsze...

Jeszcze nie zdążył Ignas dojeść obiadu, który mu ciotka podała, jeszcze nie skończył opowiadań asystującym dziewczynkom, o cudach jakie się znajdują w pomieszkaniu państwa Marcinów, o tych meblach czerwonych jak krew, o tych zwierciadłach od sufitu do podłogi, w których cały człowiek może się zobaczyć od razu; gdy w sieni dały się słyszeć jakieś chrząkania, jakby kto chciał kogoś wywołać.

— Zobaczno, Ignasiu, kto to taki — rzecze ciotka — jeżeli ubogi, to powiedz mu, że nie ma ani centa przy duszy.

Chłopiec wyszedł, lecz zamiast ubogiego spotkał zakłopotaną twarz Ludwika.

. — Mój kochany, mama kazała ci tu dać mie się

czne z góry... — rzece wsadzając mu w rękę zwitek papierków.

— Ależ... — odpowiada zakłopotany Ignasz. — Ja nie mogę, może się nie spodobam.

— Głupiś, bierz kiedy ci dają! Ojciec tak zawsze powiada, że mądry bierze... Ja tak samo od starego, to na dwa miesiące wezmę moją pensją... No, bądź zdrow!—kończy, zbiegając na schody i kłaniając mu się ręką z uśmiechem.

— To już chyba widoczny cud Opatrzności Boskiej! — odezwała się ciotka, przeliczywszy całe dwanaście reńskich. — Nigdy pomoc ludzka nie przysłała tak w porę... — I zamyśliwszy się głęboko, musiała sobie przyznać, że pani Marcinowa, pomimo różnych grymasów, nie jest tak złą kobietą, za jaką ją miała, przepraszała ją też w myśli i dziękowała Panu Bogu za tak wyraźną opiekę.

Na drugiein piętrze, w tej samej sieni, tuż nad pokojem naszej ubogiej rodziny, mieszkał jakiś oryginalny sobie staruszek, którego dość często spotykała panna Karolina na schodach. Mówił jej stróż, że to ma być hrabia uczony i dziwak, żyjący samotnie w tym domu od lat kilkunastu. Niewielkiego wzrostu, szczupły, przygarbiony z głową bujnie porośłą białym jak mleko włosiem, widocznie hrabia chory jest na nogi, bo stąpa drobniutko i z taką miną, jakby się nieustannie gniewał na te nogi, że nie mogą iść prędziej. Wiek jego trudno już rozpoznać, skutkiem czego zdawałoby się, że każdemu przypatruje się z impertynencją, wygląda jeszcze na twarzy dość czerstwo i pulchno. Starannie

wygolony i uczesany z białymi stojącymi kołnierzykami, w białej chustce na szyi zawiązanej gdzieś z tyłu, staruszek ten zimą czy latem, chodzi w granatowej dobrze już wypłowiałej i przetartej algierce, dawnego kroju z szerokimi rękawami i mnóstwem szamerowanych, choć dobrze od czasu wyszarzanych ozdób.—Ludzie mówią, że pan hrabia, całą tę algierkę ma podbitą listami zastawnymi, i rzeczywiście musi coś być w tem gadaniu, bo odyma się w różnych miejscach na dole, i to, że nigdy nie zostawia jej w domu.

Hrabia trzyma gospodynię, jak się zdaje również chorą na nogi, gdyż rzadko kiedy wychodzi z mieszkania; trzyma faworytkę kurę i opasłego kota popielatej sierści. Ile razy wraca do domu z miasta, to już na pierwszym stopniu schodów, zaczyna w gwałtowny sposób stukać laską, a na odgłos ten, gospodyni czempredziej otwiera drzwi mieszkania, z których kura w towarzystwie kota powinna wyjść na jego spotkanie. Staruszek zobaczywszy przyjaciół na schodach, rozpoczyna z nimi nader czułą i pieścizotliwą rozmowę; kurę bierze na rękę, a głaszcząc kota, postępuje trójką na górę. Czasami jednak, zwłaszcza gdy hrabia przychodzi później wieczorem, domownicy jego nie mają ochoty spuszczać się ze schodów na powitanie pana, szczególnie kot Maciuś jako śpioch zawołany i leniuch protestuje energicznie, ale gospodyni poprostu zrzuca oboje z ogromnym hałasem, Co stary jegomość biorąc za wielką skwapliwość ze strony Maciusia, uroczyście mu za nią dziękuje.

Nikt nie wie z czego hrabia się utrzymuje i co robi. Od czasu jak się do tego domu sprowadził, noga obcego człowieka dalej jak w kuchni nie była w jego

mieszkań. Reperacyi żadnych nie żąda, ale i czynszu podnosić sobie nie pozwala, bo gdy mu gospodyni coś wspomni o ciężkich czasach i podwyższaniu podatków, to tak energicznie zaczyna dreptać przed nią nogami, tak się rzuca i mruczy, że właścicielka już daje mu pokój tembardziej, że płaci regularnie co pierwszego srebrnemi guldenami, z których każdy ma atramentem wypisany numer bieżący.

Dwa razy na dzień wychodzi z domu, raz o dziesiątej i wraca o dwunastej z książką pod pachą, drugi raz po południu. Bywają jednak zdarzenia, że wraca i prędzej niezmiernie zaaferowany i zmęczony, a zdarza się wtedy, gdy spotka gdzieś na drodze kondukt pogrzebowy. Nie wiadomo z jakiej przyczyny, ale stary hrabia niezmiernie boi się pogrzebów, i niech tylko usłyszy gdzieś zdaleka śpiew żałobny, albo dojrzy kołyszący się zwolna karawan, natychmiast staje, kołnierzyk algierki podnosi na uszy i zrobiwszy lewo w tył, ucieka bocznemi uliczkami do domu.

Przed kilku dniami zaszła jakaś szczególna rewolucja w zwyczajach domowych hrabiego. Panna Karolina całą noc słyszała niezwykle stapania w mieszkaniu nad sobą, potem rano zajęła dorożka, dwóch ludzi wyniosło na rękach jego gospodynię, hrabia usiadł z nią razem, "pojechał i wrócił już sam na południe. Naturalnie, że od tego czasu, ani kot ani kura już nie wychodzą na jego spotkanie, a on sam idzie po schodach z tak zagniewaną miną, tak mruczy i wargę odyma, że panna Karolina, mijając go na schodach, przytula się do muru, aby starego dziwaka przypadkiem nie zaczepić.

Późno już w nocy, tego samego dnia, kiedy Ignasz.

dostał ową korepetycę, ciotka jak zwykle poszła z konewką po wodę do pompy. Zbliżywszy się tam, patrzy, stoi hrabia ze dzbankiem w ręku i tak jakoś dziwnie przebiera nogami na miejscu, tak się irytuje, że mimo- woli musiała się roześmiać. Hrabiemu, który także przyszedł po wodę, wypadła laska z ręki na ziemię, a że swoją siłą nachylić się nie może, bez laski znów iść nie potrafi, więc niecierpliwi go ta przymusowa pozycja.

— To, to, to — syczy usiłując się nachylić — podnieść, podnieść!

Panna Karolina podaje mu ową laskę.

— Może pan pozwoli to zaniósę mu dzbanek.

— Nie, nie, nie—tak samo odpowiada zniecierpliwionym głosem, i nie podziękowawszy jej nawet skinieniem głowy za usługę, drepcze pomrukując do sieni.

W kwadrans może potem, gdy panna Karolina pomodliwszy się gorąco przed obrazem Matki Boskiej, zabierała się już do spoczynku, słyszy, że ktoś tam tłucze się w sieni, a następnie maca po drzwiach do jej mieszkania.

— Kto tam?—zapytuje nieco przestraszona.

— Otworzyć, otworzyć — odzywa się głos z za drzwi.

— Ale kto tam?

— Otworzyć zaraz — powtarza ten sam głos rozkazujący.—To sąsiad z góry...

Otwiera tedy zdziwiona, a tu najprzód wielki kot, a za nim hrabia w granatowej algierce pakują się bez ceremonii do pokoju.

— Mleka, mleka proszę dać dla Maciusia, zapłacę, zaraz zapłacę — mówi zdyszany hrabia siadając na krześle.

— Nie mam.
— Nie masz acani, he... to może co innego.
— Nic nie mam, chyba parę kartofli.
— Maciuś hultaju, będziesz jadł kartofle, co, będziesz? — zapytuje faworyta, a gdy kocisko wyciągnął wszy grzbiet swój w kabłąk mruży i ociera się o twarz staruszka, powiada do panny Karoliny.
— Dać kartofle, dać! — rzecze przypatrując się dziwnym swoim wzrokiem naszej gospodyni, a gdy mu podała parę owych kartofli na talerzu, kruszy je w palcach i z dziwną radością podaje zagłodzonemu Maciusiowi.
— Acani wdowa?
— Nie.
— A z kąde te dzieci? — dodaje, pokazując ręką na trzy łóżeczka na których śpią już dzieci.
uęfi, ". U/ —
— To sieroty, po mojej siostrze, których wychowaniem się zajmuję.
— Niepotrzebnie acanna to robi •— mówi tak samo prędko i tak samo gderliwym tonem. — Co po psie w kościele. I tak mamy już hyperprodukcją inteligent- cych, jak powiada hrabia Popiel. Do szewca oddać, żeby lepsze buty robili; dosyć tej inteligentnej hołoty...
— Siostra sobie życzyła — tłumaczy się z pokorą, odurzona tą imponującą mową starego — zresztą chłopiec jest bardzo zdolny i bardzo pracowity.
— Az czego się utrzymujecie?
Panna Karolina milczy.
¹— No, z czego? mów acanna!
■— Z niczego.
<— Jak-to wiatrem żyjecie! Albo może Opatrzność

Boska spuszcza wam co rano bochenek chleba, jak to jest na obrazkach, co?

Panna Karolina coraz bardziej czując się zakłopotaną podobnym badaniem, jeszcze bardziej milczy.

— Może tak, z cudzej litości?

Zamiast odpowiedzi, biednej napadniętej w ten sposób kobiecie, łzy ciurkiem puściły się z oczu. Stary jednak zdaje się tego nie widzieć, tylko jeszcze bardziej odąwszy spodnią wargę, głaszcze wciąż kota i poddaje mu resztki pokruszonych kartofli.

— Dam assannie pięć reńskich na miesiąc za stołowanie Maciusia z Jagusią, co zgoda? Albo, nie dam pięciu bo to byłoby za dużo, dam cztery i acanna weźmiesz sobie połowę jaj, które znosi Jagusia. A niesie codzień i to takie jaja na urząd, ot takie — mówi pokazując pięść swojej ręki.

— Nie mogę się zgodzić...

—w Nie mogę, nie mogę — powtarza hrabia z ironią, naśladowując głos panny Karoliny — bo acannie pracować się nie chce... Inteligencya, najlepiej czytać romanse i liczyć na Opatrzność jak te bochenki spadają. Dla was cztery reńskie to nie pieniądz i nie warto... Próżniactwo, lenistwo i narzekania... A cztery reńskie, proszę acanny, dla tego, który nic nie ma, to kapitał.

— Żadną pracą nie gardzę—odpowiada już śmielej dotknięta, podobnie impertynencką mową starego—• tylko nie proponowaną w tak uprzejmy sposób.

•— Cóż może skłonić się do nóg gołej inteligencyi, hę? może ucałować rączki... Pokora, mościa panno, dwie krowy ssie.

— Ale nie pozwala ubliżać kobiecie w jśj własnym domu.

— Pi, pi, pi, jaki mi honor! No—rzecze wstając i zabierając kota pod rękę—namyśl się acanna, bo zgodzę się ze stróżem i będziesz załowała. — Za drzwiami zaś dodał: — Dam pięć, ale żebyś ich acanna uczyla grzeczności i wypuszczała na schody, jak zapukam na dole.

Panna Karolina nic nie odrzekła, tylko wyprowadziwszy starego z lampką, czekała jak dojdzie do swego mieszkania.

— Najlepiej płakać—dorzuca już będąc u góry.— Czułości, łzy, duma... Pamiętaj acanna, pięć reńskich to pieniądz...:

Po odejściu starego dziwaka, długo jeszcze nie mogła się uspokoić rozmyślając, jakim prawem może ktoś naigrawać się z jej biedy. — Mój Boże, nie dosyć, że znoszę wszystko z całym poddaniem się Twej woli, to jeszcze zamiast wspierania znajduję szyderstwo i niezasłużone niczem lekceważenie. Jednakże rozmyślając dalej nad swoim położeniem, powoli musiała przyznać, że odrzucenie propozycji hrabiego, w tej chwili nie miałyby żadnej racji. Pięć reńskich na miesiąc jest-to rzeczywiście kwota, którą nie można pogardzać, a wyrazy lenistwo, duma, kto wie, czy nie są na miejscu, jeżeli człowiek dla mnie porzuca sposobność zarobku... Zresztą ten hrabia mimo całej jego szorstkości, ma coś w sobie sympatycznego. Jego zajęcie się kotem i kurą wtedy, gdy sam pozbawiony jest wszelkich wygód, dowodzi, że pod tą napozór brutalną powłoką jest trochę dobrego serca. Musiał on wiele złego doświadczyć od ludzi, jeżeli niemi tak pogardza — ma rację; pokora biednych, przebija niebiosy.

Dlatego też nazajutrz, gdy zobaczyła otwierające

się drzwi swego mieszkania, a w nich zachmurzoną, postać dziwaka, poprzedzoną Maciusiem i kurą, które hrabia popychał przed sobą, przyjęła ich z uśmiechem...

— No, oddaję acannie moich wychowawców na stancję... Maciek, pamiętaj — rzeźce podnosząc mordkę kota i kiwając mu palcem — żebyś się pozbył swego łakomstwa. Oświadczam acannie, że Maciuś choruje czasem na komunizm i lubi się dzielić tem wszystkim, co jest do jedzenia... A ty Jaga nie bądź tak monotownie głupia, i nie rób mi wstydu. Widzisz acanna dobrodziejka — dodaje zwracając się do gospodyni — ona przypomina mi zawsze dobrą a ograniczoną kobietę... Dziub, dziub... na miejscu, aby wygrzebać jakie ziarno... Więc namyśliłaś się acanna?

— Namysliłam.

— To dobrze! Jagusi trzeba dać czasem trochę piasku, kobiety, chciałem powiedzieć kury, lubią takie rzeczy dla odmiany, a żołądkowi wszystko jedno, aby miał co trawić... Moja acanna dobrodziejko, nie myśl, żeby ci moi przyjaciele byli bez edukacyi... znają mores, o znają... ja tak robię, Kocham ale i karzę...

Pogłaskawszy jedno i drugie, powiedziawszy im parę jeszcze moralów, już miał wychodzić, gdy widocznie coś mu się przypomniało, bo usiadł na krześle, a zdejmując prędko historyczną swoją algierkę, powiada do panny Karoliny.

— Masz acanna igłę?

— Mam.

— To dajno mi z nitką, muszę sobie tu coś zeszyć...

— Niech pan pozwoli, ja zeszyję...

— Niemam pieniędzy na krawców, ja sam, sam...

Dała mu ową igłę i on zaczął na dole algierki coś dziobać i ściągać, ale że niedowidzi, więc to ściębolenie nie szło mu gładko.

— Proszę mi dać — mówi panna. Karolina zbliżając się ku niemu.

— ■ Tu, tu, tu — odpowiada podając jej igłę, lecz algierki z rąk nie wypuszczając. Widocznie chodziło mu oto, aby nasza panna nie pomacała co tam się za podszewką tej sukni znajdować może. Wystawiwszy zatem jeden koniec, resztę trzymał obu rękami, gdy ona szła, i tak się ku niej nachylał, że siwa stercząca czupryna hrabiego dotykała się prawie czoła szyjącej. Otóż w tę chwilę przyszedł jak zwykle na śniadanie pan Antoni, i zobaczywszy nieznanego mężczyznę w ten sposób zbliżonego do panny Karoliny, zmarszczył się i pobrał.

— A to co takiego?

— Niech acanna jeszcze raz przeszyje* tak!

— Dzień dobry pani — odzywa się oficyał.

— Dzień dobry, przepraszam — odpowiada panna Karolina, zakończając szycie i zębami ucinając nitkę.

— Dobrze, dobrze — mówi hrabia naciągając algierkę na siebie, a spostrzegłszy dopiero wtedy pana Antoniego, zaczyna mu się ciekawie jakby z umyślną impertynencją przypatrywać.

— Czy to amant? — zapytuje stary, przypatrując się świdrującymi oczyma panu Antoniemu.—Winszuję, ale nie zazdroszczę... To gorszy demagog od samego Robespiera!

*— Panie! — odzywa się oficyał, powstając z groźną miną, lecz panna Karolina chwyciwszy go za rękaw, zaczęła coś szeptać do ucha.

A. Wilczyński.—Tom XIV.

— Z jakiej racyi pan tu przychodzisz?

— Z drugiego piętra proszę acana — rzecze hrabia, nie patrząc na niego a zapinając algierkę. — Od czasu jak wiem, że tu acan bywasz, nie będę sypiał spokojnie... Gotów jestem wysadzić dynamitem... Ho, ho znam ja acana! czerwony trybun tromtadrata... Oto proszę acanny są pieniądze za stołowanie moich pupilów. Zmiłuj się daj też oko, żeby ich ten oto kawaler nie potruł... U niego to nafta, nóż, trucizna wszystko są drobnostki.

— Ale, ale panie hrabio — woła panna Karolina, doganiając przy drzwiach starego — pan się omylił, pan mi dał paperek na sto reńskich.

— Ja się nie mylę, nie... Płacę za dwa lata z góry... Maciuś lubi śmietankę... proszę pamiętać, że twardego mięsa nie ugryzie.

— Ależ panie hrabio...

— Za dwa lata, za dwa lata, za dwa lata — powtarza drepzcząc nogami z niecierpliwości. — Mądry bierze, znasz acanna to przysłowie... Talerzyk trzeba kupić na mleko Maciusiowi, a Jaga lubi hreczkę... można i kartofle tylko z solą... Jaja proszę sumiennie dzielić; ja wiem ile być powinno... Komunard lwowski... ho, ho tylko mu pozwól, a zarazby się wziął do petro- leum...

— No i cóż pan na to panie Antoni — rzecze ciotka po wyjściu starego. *

— Naprzód powiedz mi pani, z kąd on się tu wziął?

Panna Karolina odpowiedziała wczorajsze spotkanie przy pompie...

— A po co to pani chodzisz sama po wodę... czy jaby to nie mógł.

— Eh, jeżeli hrabia może to i ja mogę... Ale zkad wy się znacie?

— A któż we Lwowie nie zna tego oryginała!... Nie ma cukierni, nie ma kawiarni, której on nie byłby plagą... Każę sobie podaó za dwa centy biszkopcik i siedzi dwie godziny czytając wszystkie gazety od deski do deski. Pozbędą się go w jednej, on przynosi się do drugiej, a przy tem jest impertynent i zuchwały, że panie dobrodzieju jeszcze wymyśla i kłóci się ze służbą. Wchodząc do sklepu, już po drodze zabiera wszystkie pisma ze stołów: jedną gazetę czyta i to panie wiersz po wierszu, prowadząc sobie palcem, drugą trzyma pod pachą, trzecią zawinie w środek tej którą czyta, na czwar- tój siedzi, a piątą zamawia u sąsiada. Prawdziwa rozpacz bierze czekać na niego nim coś przeczyta; każdy się znudzi, splunie i pójdzie. Nie dość na tem, ale wtrąca się jeszcze do każdej rozmowy i gromi każdego, który poważa się mieć inne zdanie od niego. Raz to tak się z nim starłem, ale to mówię pani na ostro, że o mało nie przyszło do czegoś gorszego, porwał kufel z wodą i zamierzył się wprost na mnie...

— No, ale powiedz mi pan, co mają znaczyć te sto reńskich?

— Dyabli go wiedzą, bo to sknera i skąpiec, a przytem oryginał zawołany. Powiadają, że on wiatrem tylko żyje, a w tej bundzie ma zaszyte krocie guldenów w papierach, — że ma jakieś zapisy porobione na stypendya dla zubożałych synów hrabiowskich. Że on tu przyszedł i tak hojnie wystąpił, to musi mieć jakieś zamiary względem pani. Będąc na pani miejscu, ode

słałbym mu i jego pieniądze i jego wychowawców, bo zobaczy pani tak ją zanudzi swojemi dysputami, że będziesz musiała wyprowadzić się z tego domu...

Tymczasem wbrew przewidywaniu pana Antoniego, stary hrabia był ze szczególniejszą attencją i uprzejmością dla panny Karoliny. Co rano idąc do miasta przyprowadzał jej swoją parę, mówiąc zawsze „dzień dobry acannie,” a kiedy wracał pukając laską o schody i zastał ją z faworytami przed drzwiami, to kiwnął jej z uśmiechem głową i bardzo często dawał w papierek obwinięty biszkopcik.

— Jedz acanna jedz, to ci żołądka nie zamuli.

Coś w dwa tygodnie potem, hrabia wystąpił z propozycją, czyby się nie zgodziła i jego stołować.

— Nie wiem, czy dogodzę panu hrabiemu... czy potrafię dla niego gotować! bo ja nie trzymam służącej.

— Co to potrafię! Biedna proszę acani wszystko powinna potrafić. Moja Marynka, gdzie była głupsza od acanny, a potrafiła. Trzeba się starać. Nie sztuka umieć narzekać, i ręce z żalu załamywać — ale robić. Dasz mi acanna kaszkę na wodzie i kawałek wątróbki.

— Jak to, codzień?

— Tak jest co dzień... Tylko wątróbka, żeby mi nie była niczeni szpikowana, ale uduszona prosto na wodzie. Płacić będę tygodniowo, bo widzisz acanna, ja nie mam takiego majątku jak Maciuś i Jaga. Oni mogą z góry za dwa lata... o mogą... oni mają kapitały...

— Proszę pana hrabiego, jak to oni mają kapitały?

— A co to acanna jesteś tak ciekawą, hę?! Kiedy mówię, że mają to muszą mieć... Podasz mi rachunek co tydzień w niedzielę, ile na co wyjdzie. Za drzewo

nie płacę, bo gotuje się jedno przy drugim, na sól trzy centy... Proszę tylko, żebym miał oddzielny garnuszek dla siebie... Z tym komunardem nie chcę mieć nic wspólnego.

— Przepraszam pana hrabiego — odważyła się zapytać panna Karolina — ale pan hrabia jest uprzedzony przeciw oficyałowi? Ja go już znam od lat kilku, on taki dobry człowiek.

— On dobry człowiek?—zawoła stary, zrywając się z krzesła i stukając laską o podłogę.—Moja pani, obserwuję ja go od dawna, i mówię ci, że to jest niebezpieczny i zawzięty i wściekły demagog. Pozwól mu tylko, a z zimną krwią upiekłby na różnie każdego mającego jaki tytuł lub grosz więcej od niego. Wszyscy hołysze są tacy sami, liberały, postępowcy, a on prawdziwy herszt między nimi. Mówię acannie, strzeż się tego bandyty, bo co do mnie, za nic w świecie nie spałbym z nim w jednym pokoju...

— Nie mogę wierzyć, panie hrabio...

— Hm, acanna jesteś młoda i wierzysz każdemu, a jemu z oczu patrzy, że to nafciarz czystej wody. Słyszę ja już nieraz jego zdania w cukierni. Ho, jest tu ich dosyć takich ptaszków we Lwowie, proletaryat niedowarzony... Robić się temu nie chce, ale tak na loteryjce wygrać, wszystko mieć bez trudu, o wszystko się upominać, na wszystkich psy wieszać — to ich cała rzecz.

Z tego też powodu hrabia był stanowczym przeciwnikiem wszelkiej edukacji dla ludzi biednych i nie mógł pannie Karolinie darować, że tyle poświęceń robi dla edukacji Ignasia. Bywało, przyniesie mu chłopczyna obiad, on patrzy na niego, patrzy, oczami mruga i za

pytuje, czego się uczy. Ignas wymienia różne przedmioty wykładane w gimnazyum, a stary na to:

— Kpie jakiś, co tobie po chemii? Nie dla psa kiełbasa mości panie... Do szewca, do kowala iść na naukę, a będziesz miał chleb i spokój. A tak przez te różne fje, tyki przewrócą ci w głowie, i tobie zdawać się będzie, żeś mądry i uczony, gdy rzeczywiście będziesz jeszcze głupszy, niż jesteś... Zechce ci się być panem, naturalnie mieć dobre dochody i wygodne życie bez pracy.

— Ja chcę, i będę pracował...

— Ho, ho znam ja tę waszą pracę piórkiem, ołówkiem, pędzelkiem, tak godzinę dziennie — a za to~ krzyku wiele i pretensyi jeszcze więcej... Mówię ci, pluń na tę chemię, a idź do szewca...

Ulegając wpływowi panny Karoliny, która rzeczywiście starała się we wszystkim dogodzić staremu, znosił on czasami obecność pana Antoniego, ale nie mówił do niego, nie patrzył, tak jakby nie widział, że jest z nim w pokoju. Jednakże gdy ten zaczął rozwodzić się przed nią o polityce, to stary nie mógł wytrzymać:

— Komu to, komu sądzić o takich rzeczach? Krytykuje Bismarcka, domyśla się, czego chce Gambetta...

— Ciekawym, dlaczego nie mam krytykować, jestem obywatelem kraju konstytucyjnego...

— Ty, ty obywatelem! — zawoła zrywając się hrabia.—Widzisz acanna, on obywatel, równy takiemu Bismarckowi! Acan z przeproszeniem nie wart jesteś butów mu czyścić...

— Panie hrabio! — zawoła czerwieniąc się ofi- cyał — proszę się nie zapominać.

—•Az jakiego tytułu ośmielasz się acan krytyka-

wać wszystko i wszystkich? Cóżś zrobił w swoim życiu, co umiesz, czym jesteś? Przyjmujesz listy i wydajesz kwitki na pocztę. To mi bohater!

— Rozumiem ja hrabiego, u niego człowiek bez tytułu jest niczem. Przywileje, synekury...

— Tak, tak mości panie, tytuł, albo prawo, albo zasługa! Ale u kogo w głowie jak w pustej stodole tylko wróble świstają, ten niech siedzi cicho i zna mores. "Widzisz acanna — mówi, zwracając się do panny Karoliny — zbiera się ich takich polityków od siedmiu boleści kilkunastu w cukierni, i panie tak ci nicują wszystko i wszystkich u nas, jakby to społeczeństwo nasze składało się z samych tylko śmieci, a ich, Pan Bóg stworzył na szczotki do zmiatania. Nie dziwię się zresztą takim świszczypałom, ale mówię acannie jest między nimi jeden ogłupiały szlachcic z Sanockiego, taki personat, już niemłody z wąsami, dyrektor jakiejś niedorzeczności finansowej, który gwałtem pozuje na króla Sobieskiego!

— Czy to o panu Marcinie chce mówić hrabia? przerywa mu z uśmiechem i ironią oficyał.

— To, to, to ten sam. Otóż powiem acanu większego idyoty w moim życiu nie widziałem. Udaje demokratę i postępowca, bo pewnie już goni ostatkami... Kpią z niego wychudzeni literaci, a on to wszystko bierze na seryo i chce odgrywać rolę Don-Kiszota galicyjskiego. Znałem ja dosyć już takich krzykaczy: oskubali ich przyjaciele i poszli z torbami... I jego oskubią... zobaczysz...

IX.

Sądzę, że czytelnicy domyślili się już o kim tu mowa, jednak muszę nadmienić, że opięcia hrabiego zakrawała na coś w rodzaju koteryjnej zazdrości. Pan Marcin zanadto prędko wypłynął na horyzont lwowski, ażeby nie obudził mnóstwa niechęci i nie irtutował wielu- choćby takich oryginałów, jakim był pan hrabia. W kołach tak zwanej arystokracji, nie mogli mu tego przebaczyć, że on szlachcic i to dobry szlachcic z urodzenia, tak lekkomyślnie kalał swoje gniazdo, pioronując na wszystkie władze dzisiejsze, sejm, wydział krajowy, delegacją galicyjską w Wiedniu, a szukał współników między tak zwaną tromtaderacją lwowską, owymi warchołami i krzykaczami, bawiącymi się w postępowość. Trudno wszystkim naraz dogodzić. Pan Marcin szukał popularności i znalazł ją tam, gdzie umiano jego naturalne zdolności ocenić.

Proszę-no zajrzeć do jego gabinetu dyrektorskiego w banku, jaka tam moc listów leży na jego biurku, a każdy opatrzony datą odebrania i treścią udzielonej nań odpowiedzi. Od godziny dziesiątej z rana zaczynały się już posłuchania i trwały nieprzerwanym ciągiem aż do samej drugiej. Pan Marcin podpisywał papiery bankowe i słuchał petentów, prawil anegdutki obywatelom ze wsi przybyłym w interesach i dawał instrukcje, jak ma być urządzony festyn dla straży ochotniczej. Nie było stowarzyszenia we Lwowie, do którego by on nie należał, nie było uczty, na której nie wznosiłby toastu; tu robił korektę broszury, tam pisał prośbę do władzy, o zmniejszenie podatku jakiemuś krawcowi z Mościsk, lub coś w tym rodzaju. Przyja-

ciele jego z cukierni, owi literaci i dziennikarze, trzeba przyznać najwięcej mu pomagali do uzyskania tej popularności. Na wszystkie strony jednali mu stronników, polecali, chwalili nawet w gazetach, jego tak pożyteczną dla kraju działalność i powiedzmy prawdę, wyzyskiwali jego zdolności, pożyczając do swoich artykułów wstępnych różnych poglądów i opinii, które pan Marcin przy każdej sposobności wygłaszał.

•— Czytaj pan — mówi mu ów chudy i długi jegomość zwany turkiem — toż to w tej gazecie powtórzone są żywcem słowa pańskie...

— Prawda — rzecze na to, czerwieniąc się z irytacji, pan Marcin. — Przyznaję, że to jest niesumiennie ze strony tych panów, korzystać w ten sposób z mojej gadatliwości. — Panie łaskawy! ilu mnie już w ten sposób nie wyeksploatowało!

W czynnościach bankowych za to pan Marcin nie brał wielkiego udziału. Podpisywał co mu tam dali, a na sessyi był zawsze tego zdania, co dyrektor główny.

— Ależ panie Marcinie powiedz raz swoje, zdanie — zaczepił go dyrektor.

— Ja bo uważasz, nie słyszałem coś czytał... Tyle, proszę cię, mam na głowie spraw publicznych, że moja myśl biega tu i tu...

— Przeczytam jeszcze raz i uważaj. Bank wiedeński robi nam takie propozycje, co do notowania naszych listów, otóż czy mamy przyjąć?

■— Czytaj, słucham...

Z początku pan Marcin wyteża całą swoją uwagę, a trzymając ołówek w ręku, kreśli nim jakieś gzygzaki po papierze. Naraz z tych gzygzaków robi się coś podobnego do nosa pana Antoniego, dyrektora drugiego

banku we Lwowie, owego sąsiada ze wsi i rysunek ten kompletnie absorbuje pana Marcina.

— Jak ci się zdaje, do kogo to podobne? — pyta gdy pan dyrektor skończył czytanie. — Prawda, że to nos Antoniego?

— Ależ jakiego jesteś zdania?

•— Taki sam złamany na środku. Tom go trafił, hę muszę dać do Szczutka... będzie się wściekał ze złości. Przepraszam cię — dodaje widząc kwaśną minę dyrektora — ja zawsze jestem tego samego przekonania, co i ty. Kto ma tak znakomitą główkę finansową, to nie da się samemu dyabłu... zrób jak uważasz...

Prezydujący machnął ręką, a co zrobiono z propo- • zycjami notowania listów, pan Marcin więcej nie pytał.

Otóż w ten sposób szły sprawy naszego bohatera przez rok cały. Zawsze zajęty, zawsze zaaferowany, gościem był prawie w domu, i jeszcze na wszystko brakowało mu czasu. Zona z początku gniewała się i robiła wymówki, że o nićj zapomina, że dzieci zaniedbuje, ale pan Marcin, tak zręcznie umiał jej przedstawić obo- wiązki swe, jako obywatela kraju, przytaczał tyle artykułów w pismach publicznych, które o jego działalności drukowano, powoływał się na" takie stosunki ze znakomitościami w Galicyi, że ona w końcu już dała mu pokój, a sama zajęła się domowem gospodarstwem. Na szczęście i Ludwik zupełnie się poprawił, jak się zdaje w skutek związanej przyjaźni z Ignasiem, a gdy dyrektor gimnazyum uwiadomił pana Marcina o tak korzystnej zmianie syna, on mówi do żony.

— A co Winiu, jak ja się poznałem na tym Wójcickim, ho, ho, ja uważasz tylko spojrzę na człowieka, to wiem, co wart...

Musiała przyznać, że Ignasz rzeczywiście wpłynął bardzo, na poprawę Ludwika, ztąd podwyższono mu płacę na 15 złotych reńskich miesięcznie, a na Wielkanoc sprawiła mu pani w prezencie letni garnitur ubrania.

Zobaczmy teraz jak przy wszystkich tego rodzaju wydatkach i na dom i na sprawy publiczne radził sobie pan Marcin. Leży to już w charakterystyce dzisiejszych ludzi, a szczególnie u nas, że dobry humor, swobodna myśl i zdolności inicjatywy zostają zawsze w stosunku prostym do pełności kieszeni. Pod tym względem pan Marcin znał siebie daleko lepiej, niż tego wymagał filozof starożytny i radził sobie tak, aby w szufladce biurka, nigdy tej guldenowej mamony nie zabrakło. Szczęśliwa była pani Marcinowa pod tym względem, na jej zawołanie nigdy mąż nie powiedział: nie mam.

Jak wiadomo płaca za czynności bankowe nie była wielką, a że zapasy przywiezione ze wsi poszły w znacznej części na udział w Stowarzyszeniu powszechnego kredytu, spodziewana zaś dywidenda i tantiema jeszcze nie były wykazane, więc pan Marcin napisał do starego Szmula dzierżawcy, czyby mu na rok następny zaliczki nie udzielił. Żyd przyjechał natychmiast do Lwowa i skończono interes bardzo prędko. Pan Marcin spuścił paraset^ reńskich czynszu na lata następne, a Szmul złożył gotówkę za cały rok naprzód.

Był więc spokoj i humor dobry przez kilka miesięcy. W banku tylko, coś z tą kasą, sprawa nie tego stała. Zawsze na pierwszego, kiedy trzeba było płacić pensye ' urzędnikom, brakowało gotówki i pan Marcin jako obywatel zamożny musiał czekać, ustępując miejsca więcej potrzebnym.

— Co to jest? — odezwał się raz w bardzo deli

katny sposób, do głównego dyrektora—że ta nasza kasa jakoś...

— No, co? — odrzekł mu z junakeryą — jest w porządku.

— Dlaczegoż nie ma pieniędzy?

— Bo nie powinno być! Kochanemu panu się zdaje, że w banku, tak jak u szlachcica na wsi gotówka jest kapitałem. Dobry finansista panie, właśnie o to się stara, żeby pieniądze były w ruchu. Kapitał leżący to strata dla instytucji... Ruch, ruch panie dobrodzieju— to cała sztuka powodzenia.

Pan Marcin zupełnie dał się przekonać o tym ruchu i zanotował ten aksyomat, dla napisania w swoim czasie rozprawy, o cyrkulacji kapitału.

Tymczasem w kółku do którego należał, powstała myśl założenia nowego dziennika we Lwowie. Myśl taka nie jest tu żadną niespodzianką i zwykle kilka razy do roku niby febra jaka wchodzi na porządek dzienny pogadank przyjacielskich. Zawsze między tak zwaną intelligancyą, biwakującą w znanej nam kiszce cukierni, znajdzie się kilku byłych współpracowników dziennikarskich, których pióra rdzewieją, kilku tak zwanych statystów polujących na jakieś stanowisko, kilku literatów niemających gdzie drukować swoich utworów, a wreszcie kandydatów na administratorów, kasyerów, korektorów i tym podobnych urzędników dziennikarskich. Jeżeli jeszcze do tej kategorii przyłączy się właściciel, lub ktoś mający udział w drukarni, — to zaraz się znajdzie nieodzowna konieczność założenia nowego pisma z nowym i bardzo postępowym programem, któryby rznął prawdę każdemu i wyprowadzał na jaw wszelkie niegodziwości, jakich się źli, a wpływowi ludzie

w kraju dopuszczają. Krążą tedy pogłoski, że dziennik ma już być zapewniony, że ten a ten daje tyle, że ci będą redaktorami, że lada dzień pokażą się prospekta, że dziennik ten zabije wszystkie inne, albo że po miesiącu upadnie — słowem w braku czegoś lepszego publiczność lwowska przeżuwa te wiadomości i czeka niecierpliwie owego dziennika.

Ale dziennik się nie pokazuje, bo wszystko jest co do niego potrzeba, prócz tej mamony, bez której nic na świecie stworzyć się nie da. Tym razem jednak, zjawienie się na horyzoncie lwowskim takiego pana Marcina, obywatela z grubymi pieniędzmi, człowieka należącego ^z duszą i ciałem do postępowców, bardzo ożywiło nadzieje kandydatów na redaktorów. Zwołano poufną naradę w wielkiej tajemnicy, a gdy pan Marcin oświadczył się stanowczo, że stronnictwo jego powinno mieć swój organ, i że on przystępuje do jednej czwartej części kosztów założenia, uradzono stworzyć przedewszystkiem Stowarzyszenie wydawnicze na akcye, a to czynności swe rozpocznie od nowego dziennika ludowego, dziennika taniego, któryby mógł dla każdego być dostępnym.

Na to posiedzenie był także zaproszony i znajomy nam oficynał pan Antoni, jeden z główniej szych zwolenników i adoratorów pana Marcina, który się podjął zwerbować między kolegami i przyjaciółmi swemi, przynajmniej stu członków. Jak ci panowie obliczyli, to w ciągu miesiąca powinno się znaleźć co najmniej tysiąc uczestników z wkładką po pięćdziesiąt reńskich płatnych w dziesięciu ratach miesięcznych. Cóż tam drobnostka, pięć reńskich na miesiąc każdy da, a jak jeszcze zrobi się agitacją na prowincyi, o czem zapewniał pewien

młody inżynier w okularach, — to stowarzyszenie wydawnicze w ciągu roku zatrzęsie całą Galicyą.

Nasz oficyał, którego hrabia dziwak, poważyl się tak lekko traktować, a panna Karolina miała za marzy-
ciela, pierwszy raz okazał tu spryt nielada, zaproponowawszy dodatek miesięczny do owego dziennika zawie-
rający najświeższe mody. Miał on tu na myśli udział panny Karoliny, jako osoby niezwykle wykształconej,
rodowitej francuzki, którą też w gorących słowach zgromadzeniu polecił.

Jeden z członków zebrania miał już w domu gotowy statut dla tego rodzaju Towarzystwa, bo o tej rzeczy
już dawno myślał, więc tak odrazu cała rzecz została ubitą. Co do programu dziennika, to również dragi członek
także oddawna myślący o dzienniku odczytał go donośnym głosem, a program musiał się podobać, bo zawierał
w sobie wszystkie przedmioty i wszystkie ma- terye, o jakich traktowały kiedybądź ogłaszane prospe- kta
dziennikarskie pierwszorzędných narodów. Przerzucono setkę tytułów, a kaźden nie odpowiadał zadaniu
przyszłego pisma.

— Moi panowie •— rzeche na to pan Marcin — to musi być coś energicznego, dobitnego, a przytem
oryginalnego, żeby nasi nieprzyjaciele polityczni od razu wiedzieli, co ich czeka.

— Pałką w łeb! — odzywa się znajomy nasz tu- rek z cukierni, którego także zaproszono na obrady, a
który dotąd jeszcze słowa nie wymówił.

— Doskonale! — zawoła jakiś młody blondynek kandydat na korektora — wyśmienity napis!

Inni przyklasnęli temu, ale poważna opozycya zarzuciła, że zbyt trywialny i ordynaryjny.

— Panowie. cóż chcecie — mówi efendi. — Pałką w łeb, rzecz doskonale maluje.

— Panowie! — przerywa ów autor programu kandydat na posła — to są żarty...

. — Alboż cały wasz dziennik i stowarzyszenie nie są żarty — odpowiada mu turek z bardzo poważną miną.

Oburzyli się wszyscy, jak można wątpić o rzeczy, którą się tacy ludzie i tak seryo zajmują, i gdyby nie to, że efendi znanym jest ze swego zjadliwego sarkazmu, mógłby był jakąś nieprzyjemność usłyszeć. Jednakże tę jego pałkę zaczęto powoli redukować na coś więcej dystygowanego: proponował jeden Maczugę — nie podobała się; Bicz — trąci stajnię; Dzwon — nie można, bo to zakrawa na błagę, aż nareszcie pan Marcin, który podczas tej debaty wciąż chodził po pokoju i targał swe pyszne wasy, zatrzymuje się z tryumfem przy stole,

— Mam! — powiada.

— No, co, jak? — zapytują ciekawie wszyscy otaczając go do koła.

— Proszę cię Walenty — mówi obracając się do służącego — idź do pani i poproś, niech nam tu da dwie butelki szampańskiego. Nie mogę wymówić imienia nowo narodzonego, nie wypiwszy jego zdrowia.

W obec takiego argumentu, dalsze mordowanie umysłów nad wynalezieniem nazwy dziennika, okazało się już zbyt ciężkim, a gdy pokazały się butelki i Walenty' puknął korkiem pod sufit, była taka cisza, jak w parlamencie angielskim przed odczytaniem mowy tro- ' nowej.

— Panowie! — rzecze pan Marcin, wznosząc kie

lich do góry — na powodzenie nowego dziennika, niech żyje „Młot Galicyjski!”

Ktoś tam syknął na stronie, lecz cały chór powtórzył: niech żyje „Młot Galicyjski” — tym sposobem odbyły się chrzciny owego Młota.

Trzeba przyznać, że tym razem zabrano się do dzieła bardzo energicznie i agitacja do nowego stowarzyszenia szła z niezmierną go/liwością. Każdy z obecnych werbował na listę przyszłych członków kogo tylko mógł: odbywały się kwesty po biurach, po sklepach, mieszkaniach prywatnych, między rzemieślnikami i w różnych prywatnych instytucjach. Dyrektor główny Banku powszechnego kredytu, zapisał się na dziesięć udziałów, oświadczając, że Bank przyjmuje „Młota galicyjskiego” za swój organ. Rozpisano wezwanie do wszystkich Rad powiatowych, zaproszono znaczniejsze straże ochotnicze, a ów inżynier w okularach wyjechał sam na prowincję, aby poruszyć miasta i miasteczka.

Pan Marcin, nigdy nie był tak zajęty jak teraz. Już do Banku zaglądał tylko dla formy, podpisując papiery, które mu podano i to najczęściej nie tam gdzie było potrzeba, cały czas bowiem schodził na zbieraniu artykułów do młota, mającego kuć opinię publiczną. Ułożono, że on przyjmie na siebie odpowiedzialne redaktorstwo, a że miał mnóstwo pozaczynanych prac literackich, treści socjalno-politycznej, więc trzeba było to wszystko przejrzeć, uzupełnić, prowadząc jednocześnie korespondencję z literatami, szukając za granicą stałych⁷ reporterów politycznych i t. p.

Nareszcie coś w dziesięć dni, zwołano pierwsze zgromadzenie członków założycieli, do pustej sali, jednej ze szkół ludowych we Lwowie. Przyszło ośmdziesiąt

dwie osób, pana Marcina obrano prezydującym i rozpoczęły się obrady nad treścią statutu. Żałuję mocno, że zapomniano wezwać stenografów, albowiem potomność straciła przez to kilka znakomitych przemówień, których dziś bez narażenia się na zarzut niedokładności powtórzyćbym nie mógł. Zapewniam tylko, że pan prezes mówił przez całe trzy kwadransy, że dwa razy odwilżał wodą z cukrem zmęczone swe usta, że mowę jego przyjęto oklaskami, a gdy przyszło do czytania statutu, na wniosek znanego autora programu, zgromadzeni jednogłośnie przyjęli go en bloc, a notaryusz spisał akt urzędowy zawiązania spółki. Pisanie to trwało dość długo, więc kilka osób wyszło nie czekając końca, a reszta zajęła się wyborem tymczasowej dyrekcji z tych osób, które już były na tę dostojność w mieszkaniu pana Marcina przeznaczone, a do których jako zastępca jednego z trzech dyrektorów należał oczywiście i nasz oficyał. Obecni członkowie złożyli każdy po dwa reńskie na kosztą przedwstępne, akt został podpisany, a dyrekcji polecono uzyskać zatwierdzenie statutu w Namiestnictwie.

Prosto z posiedzenia, pan Antoni, świeży dyrektor, udał się do mieszkania panny Karoliny.

— Niech mi pani wiesz!—mówi całując ją w rękę z tak rozkosznie, pocieszoną miną, że ciotka nie mogła zrozumieć, co się tak szczęśliwego stało.

— Cóż? może wygraliśmy na loteryi?...

— I na to czas będzie—rzecze siadając na krześle i biorąc swoją córeczkę na kolana.—Zaszło coś takiego, że pani musi mi wprzód powinszować, a ja znów pani Jtooo wiesz. Nic nie mówiłem dotąd, dopóki nie było -czarno na białym, ale skoro akt wobec notaryusza pod-
A. Wilczyński.—Tom XIV.

pisany, więc mam honor przedstawić się pani, jako dyrektor galicyjskiego stowarzyszenia wydawniczego.

— Eh — rzecze na to uśmiechając się Karolina, myślałam, że pana awansowano w biurze, albo żeś dostał renumeracyą...

— Ja sobie teraz żartuję z biura. Niech dyabli biorą wszystkie ich Aufgabs-recepisy, listy, posyłki, reklamationsfristy, niedługo powiem im upadam do nóżek, a w Młocie wykuję wszystkie ich pocztowe historyjki.

— Nie radzę tego...

— Ja też nie podaję się jeszcze, ale niech się tylko rozwinie nasz dziennik...

— Więc i dziennik wydajecie?

— Młot galicyjski, młot, szanowna pani, który będzie kuł na kowadle całą tę klikę naszych panów, o takich, jak ten oryginał z góry...

Tu pan Antoni uznał właściwem opowiedzieć całą historią utworzenia się Stowarzyszenia, a gdy przyszło do tego, że pan Marcin jest duszą tego wszystkiego, panna Karolina zaczęła kiwać ręką.

— Taki to będzie i dziennik...—mówi z uśmiechem lekceważenia.

•— Oho, już widać, że panią stary dziwak przerobił... Tak najlepiej trzymać z arystokracją i stołować t pańskie kury i koty... Dziękuję pani za taki zaszczyt— mówi unosząc się podług swego zwyczaju. — Oni tak umieją cenić talenta ludzi innego stanu... Panno Karolino, ja panią proszę, żebyś jutro zaraz wyrzuciła te obrzydliwe stworzenia, albo jak honor kocham, ja sam zrobię im tak (tu pokazał ręką jak się łby ukręca), i rzucę mu na głowę gdy zacznie stukać łaską na dole...

Czegóż pani się śmiejesz?... Dalibóg tak zrobię, a w pierwszym numerze Młota wyszamerujemy go panie, oj wyszamerujemy, że małe dziecko pozna, o kim to mowa... Ot, widzisz pani, ja jestem sobie kiepski syn mieszczański, a jednak wyrobiłem dla niej odpowiednie zajęcie... Miło mi jest powitać współredaktorkę „Młota galicyjskiego”—dodaje kłaniając się z powagą.

— Ja, współredaktorką?

— Tak jest, miesięcznego dodatku Mód i nowości paryzkich... Ja sam zaproponowałem ten dodatek i ja sam Zarekomendowałem panią jako najzdolniejszą i naj- rozumniejszą osobę, którą znam we Lwowie. A co, nie dziękuje mi pani?

— Mój panie Antoni, jesteś zacny człowiek i dziękuję ci za taką o mnie opinią, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś jeszcze tak łatwowierny i pełen illuzyi jak student z szóstej klasy...

— Albo co, albo nieprawda. Proszę iść do no- taryusza B. i przekonać się... Nie myśl pani, że ja taki znów letkiewicz dlatego, że grałem na loteryi... Gra swoją drogą, i powiadam pani, że także ją kiedy sforsuję, a to, co jest czarne na białem i pewne, także swoją drogą... Panno Karolino!—mówi dalej z czułością biorąc ją za rękę — przestań pani uważać mię za baj bardzo... Ja wszystko to co robię, to pani wiesz do czego dążę. Za trzy miesiące już będę wolny od długów, naturalnie dzięki pomocy i radom pani, jako dyrektor stowarzyszenia, bo nie wątpię, że mię zgromadzenie walne zatwierdzi, także coś będę miał. Pani dostanie co najmniej sześćdziesiąt reńskich na miesiąc, za redagowanie dodatku, więc powiedz pani, co nam będzie przeszkadzać do połączenia się na wieki? Patrz pani, jaki ja

dziś jestem szczęśliwy, no, ustanówmy termin za trzy miesiące, i daj słowo, że się usuniesz od wszelkich usług dla tego niegodziwego oryginała z góry...

Panna Karolina nie wysunęła swej ręki z dłoni oficynała i nie bronila okrywać ją pocałunkami, ale spojrzawszy mu łagodnie w oczy, rzekła z powagą.

— Mój drogi panie.

— Antosiu, Antosiu powiedz.

— Mój drogi panie Antoni — ciągnie rumieniąc się trochę — wierz mi, i jabym pragnęła jak najprędzej nazwać cię moim Antonim, ale doświadczywszy tyle w życiu, już nie mam wiary do niczego.

—• I do mnie?

— Owszem, co do serca pana wierzę, że mi jesteś życzliwy.

— Powiedz pani jak pies wierny i przywiązany... co to, panie dobrodzieju, mówić życzliwy. Dla praczki jestem życzliwy, ale pannę Karolinę ubóstwiam jak Boga kocham.

— I w to mogę wierzyć, tylko daruj, nie mam zaufania do żadnej sprawy i do żadnego interesu, który ma prowadzić pan Marcin.

— To dobre jest! Ani go pani zna, ani słyszała o nim.

— Któż to panu powiedział, że go nie znam? "Wszak cały rok byłam guwernantką w jego domu na wsi, mówię panu, że to jest typowy szlachcic galicyjski z tej gejeracyi, która już przechodzi. — Umysł ograniczony, próżny do śmieszności, chciwy i zarozumiały, a ze skromnem wykształceniem. Każdy filut do wszystkiego ich namówi, ale rozumnego i uczciwego człowieka nie posłuchają. Marzy tylko o wielkich sukcesyach i na to

go najprędzej złapać można, a gdy się nie uda, wszyscy są winni tylko nie on. Marcinowa jest kubek w kubek taka sama. Nie mogąc wybić się na wierzch w Sano-ckiem, pod pozorem edukacji dzieci, wynieśli się do Lwowa, i on tu chce odegrać rolę wielkiego człowieka..., i. demokracji, gdy w rzeczy samej jest tylko obrażonym szlachcicem. Zobaczysz pan na czym się to skończy: w krótkim czasie piękna wieś pójdzie, bo tutaj takich ptaków bardzo prędko oskubią, i gwiazda pana Marcina jeszcze prędkiej zgaśnie niż zabłyśła. Dlatego panie Antoni radzę i proszę, nie wdawaj się w te sprawy. Mówił mi hrabia, że ten bank, do którego on należy, jest błagą i poprostu oszustwem. Ten głupiec dał się wciągnąć dla tytułu i obiecanych wielkich zysków, ale lada dzień wda się w to prokuratorya, bo całe miasto już o tem mówi...

— Ot, nie powiedziałem—przerywa jej na pół zakłopotany oficyał—że to sprawka hrabiego... A ja znów powiadam pani, że on, on sam jest chodzącą zmiłą, jest tym psem uwiązany na łańcuchu, który ma ochotę każdego ukąsić... Znam pana Marcina, być może nie jest taki głowacz, ale człowiek zdolny, uczciwy i wierny swym przekonaniom. Gdy wszyscy chowają się po kątach, on jeden coś chce robić i robi. Nie tak jak ten egoista, obrzydliwy skąpiec, który nosi zaszyte krocie pod surdudem i sam z nich nie korzysta i nikomu się pożywić nie da przy sobie? Ma pani naprzykład, Ignasia kto przyjął?

— Czysto przypadek: potrzebowali go, a że dwa razy tyle pracuje co inny za te same pieniądze, więc trzymają... A co do hrabiego, to się mylisz kochany panie Antoni. Dziwak to prawda, ale te kapitały już

\

są przeznaczone na cele publiczne, sobie żałuje, to cóż to komu szkodzi. Co zaś do jego rozumu i wykształcenia, to najlepiej mogę cię przekonać z tego oto rękopiśmiutego, który mi dał do przepisania. Jestto traktat filozoficzno-społeczny z tak trzeźwym poglądem i znajomością charakteru człowieka, tudzież historyi; że w dzisiejszych czasach trudno coś lepszego przeczytać.

— Cóż z tego, kiedy egoista, nieużyty...

— Oj znasz się pan na ludziach...

— No, proszę pani pokaż mi, co komubądź zrobił dobrego, no, co zrobił?—mówi już rozdrażnionym tonem oficyał...

— A dla mnie?

— Dla pani, co?

— Od dwóch miesięcy żyję z jego łaski.

— Tak, pielęgnując jego kurę i kota...

— Dziecinny jesteś panie Antoni, że tego nie rozumiesz. Czyż taki skąpiec, jak powiadasz, taki człowiek nieużyty dałby komu sto reńskich za karmienie kury i kota? Zastanów się... Zrobił to, bo widział naszą nędzę i chciał nam przyjść z pomocą. Kiedy mnie spotkał wówczas przy studni, dwa dni już nie miałam nic w ustach, *a tylko kilkanaście centów w kieszeni na mleko dla dzieci.

— Na miłość Eoską to być nie może! wszak dla mnie był zawrze porządny obiad.

— Bo pan płaciłeś. Ja wtedy już wyprzedalam wszystkie swoje suknie i sprzęty... Słomą z siennika zapaliłam ostatni raz w piecu.

— A ja dureń, ja dureń — przerywa oficyał uderzając się ręką w czoło—nic tego nie widziałem!... Pani chyba żartuje, to nieprawda...

— Daję panu słowo uczciwości tak było. Pan nie widziałeś, bo umysł pana zajęty jest wielkimi sprawami tego świata, a jednak ten podług pana sknera, egoista, dziwak od razu dostrzegł, i choć w sposób nieco opryskliwy, jednak przyszedł mi z pomocą... Patrz pan za tę swoją kaszkę na wodzie i za wątróbkę, płaci mi trzydzieści reńskich na miesiąc, a kiedy mu powtarzam, że to za drogo, to drepcze nogami udając niecierpliwość: — Niepotrzebuję łaski, niepotrzebuję, świeża wątróbka jest droga, ja wiem. Albo i to przepisywanie? — także pozór do dania mi zarobku. Spójrzysz jak, on pisze czysto i wyraźnie, na co tu lepiej.

— Ha, dyabeł tam wie... może... skoro pani tak się w nim zakochałaś—rzecze wzdychając Antoni — jednak co do Marcina, nie wierzę, i o Banku tym nie wierzę. Prowadzą interesa świetnie, ot zazdrość wynajduje te oszczerstwa... To, to pani u nich była na wsi... No, nie wiedziałem, chociaż przypominam sobie, nieboszczka Wójcicka coś nie bardzo dobrze o nich się odzywała.

— A widzisz pan, taki to ich demokratyzm i równość. Trzeba było zobaczyć choć raz jak oni ze mną postępowali. On to jeszcze niezły człowiek, tylko ograniczony, ale ona ma fanaberyi tyle o swem pochodzeniu i stanowisku, że traktowała mnie niżej sługi... Nie mogąc zniewolić męża, aby mnie wydalil, podejrzewając, że go kokietuję, tyle dokuczała, że sprowadzili się do miasta, niby to dla edukacji dzieci. Ignas nieraz mi opowiada, jaki tam nieład u nich, jak wszystko się marnuje pomimo, że ona chce być skąpą.

Podobną mową zabiła niemalego klina do głowy oficyałowi: on już był przekonany, że jest na drodze do

zrobienia kariery, a tymczasem wszystko może się na niczym skończyć. Mimo to, nie mogąc tak od razu kapitulować, uczęszczał regularnie na posiedzenia dyrekcji, na których nigdy więcej jak trzech się nie zebrało, a że potrzeba było ściągnąć jeszcze parę podpisów na akcie tych, którzy przed ukończeniem walnego zebrania z sali się wynieśli, zatem sprawa rozpoczęta w tak gorący sposób nie ruszała się dalej. Z prowincji zato, szczególnie od agentów Banku powszechnego kredytu, jak najlepsze nadchodziły wieści. Wszędzie stowarzyszenie wydawnicze znajdowało licznych zwolenników i byle statuty uzyskały zatwierdzenie, gromadami ludzie cisnąć się będą do zapisu.

Wśród takich okoliczności, pan Ireneusz Progmowicz przeznaczony na głównego redaktora, ten sam, który tak wspierał program dla „Młota” nakreślił, zwrócił uwagę pana Marcina, że nie ma potrzeby czekać z wydawnictwem dziennika dopóki się stowarzyszenie nie ukonstytuje, że pan Marcin może wziąć końcówkę na Młota, na swoje imię, a później całą rzecz gotową i już mającą uznanie przeleje się na fundusz towarzystwa.

— A może być—szepnie mu na ucho—że się obejdziemy bez nich. Dziennik, panie, jak się uda to ładny interes. Wiesz pan, co przynosi taka „Nowa Prese” albo i nasza gazeta? Setkę, panie, setkę tysięcy guldenów, a gazeta coś sześć czy ośm tysięcy...

— Nie, panie dobrodzieju, ja oddam stowarzyszeniu—mówi pan Marcin.

— Ale jak rzecz będzie szła, możesz żądać dobrej zapłaty za główne redaktorstwo... Jak cię widzą tak cię piszą...

— Zapewne — mówi na to pan Marcin — nikt od siebie nie odsuwa ale do siebie. Zresztą, nie mogę się pokazać na ulicy, żeby mię nie pytano, a cóż ten Młot, a kiedyż ten Młot się pokaze, a gdzież ten Młot...

— Korzystać z ciekawości publicznej, oj korzystać. Cała sztuka dziennikarska, umieć zainteresować.

Wzięto się tedy do dzieła, podano prośbę o koncesyę, umówiono się z drukarnią i składem papieru, a że panowie ci przystali na kredyt miesięczny, więc nie wie- U potrzeba było na razie gotówki. Najtrudniejsza rzecz kaucya, lecz i tę można złożyć w papierach. Pan Marcin, ofiarował listy zastawne Banku powszechnego kredytu, lecz, o zgrozo! przyjąć ich nie chciano.

— To intryga!—zawoła oburzony.

— Naturalnie intryga, i mógłbym wskazać czyja! — powtarza niemniej zirytowany dyrektor główny Banku.—To sprawka sąsiada pańskiego, naszego rywala z Banku budowlanego. Umówili się z redakcyami gazet i chcą stawiać przeszkody... Nasze listy, co prawda, nie notowane na giełdzie, ale niechno ja je zamienię na płatne w złocie, to zobaczymy...

— Mają być zamienione?—pyta Programowicz.

— Dobre pytanie — odpowiada dyrektor z ironią.—Już prawie są. Nasz agent siedzi od dwóch miesięcy w Wiedniu i rzecz tę traktuje. Za tydzień zwołujemy walne zgromadzenie, które zatwierdzi wniosek, a wtedy nasze listy zastawne, co? — kończy uderzając Projektowicza po ramieniu. — Są tu jakie listy w Grali- cyi płatne w złocie, co?

Tymczasem jednak trzeba było pieniędzy na kaucyę; wyszukano więc jakiegoś żyda, który te listy

przyjął w zastaw. Ale żyd jak każdy żył korzystał ze sposobności, udzielił zaliczkę tylko po 20%^{na} sto, żądał procentu trzy od sta na miesiąc i jeszcze weksłu z podpisem jaśnie wielmożnej pani. Cóż tam drobnostka, na miesiąc, przecież od tego mająku się nie straci; pan Marcin podpisał i kaucya złożoną została, tylko już nie na pismo codzienne, bo fundus^u nie wystarczyło, ale tymczasowo na tygodniowe.

— Wpłyną fundusze towarzystw^u — mówi Progra- mowicz — to się kaucyę uzupełni i pistf^{*0} zamiem co^u dzienne.

— Bardzo dobrze — dodaje zapalony pan Marcin — ale ja temu Antoniemu nie Mam już przygotowany artykuł na niego, pr^{#y}dz P^{an}na batę do nas, przeczytamy. Że ja mu <J^o;ad & dojadę za te intrygi...

Na tej herbacie ułożono prospekt, ^a wydrukowawszy go w kilkunastu tysiącach egzem J^{!ar}zy> rozesłano po całym kraju, rozlepiono po ulicach, rozdano po biurach i sklepach. W prospekcie tym był^{*1} obietnica dodatku o najświeższych modach paryzki^e> dodatku który prowadzić będzie fachowa rodowita francuzka.

— A gdzież jest ta pani? — zapytuje raz pan Marcin oficyna.

— Kiedy uważa pan dyrektor, ot^{18, n* e ch^{ce}} —

— Co to nie chce! — zawoła oburzmy — P^{od}JV^a się, < a my nie możemy robić zawodu publiczności. Ja najwięcej liczę na tę nowość, jest-to mój pomysł... Gdzie ona mieszka, prowadź mnie pan natychmiast*.. Jeżeli kto ją nie namówi, to ja z pewnością-^ukończy pokręcając węża.

— Jest-to nawet dobrze znajoma panu dyrektorowi osoba, niejaka panna Karolina.

— Ona tu mieszka?

— Mieszka...

— A... a... a, bardzo dobrze, z nią wszystko potrafię—mówi znów podkreślając wąsa.—Prowadź pan!...

Nie potrzebuję opisywać spotkania się naszego bohatera z panną Karoliną. Było ono nadzwyczaj czule i dowodziło, że pan Marcin musiał mieć jakiś afekt do niej, skoro pocałował ją w rękę parę razy i rozpytywał o szczegóły zajęcia, jak jej się powodzi i t. p. Z kolei rzeczy dowiedział się, że Ignas udzielający korepetycyi Ludwikowi, jest jej siostrzeńcem, którego ona wychowuje.

— Ja też, panie dobrodzieju, ile razy spojrzalem na niego, to kogoś mi znajomego przypominał, a nie mogłem się zorientować. On tak podobny do pani.

— Podobny do matki, mojej rodzonej siostry; a przytem jest chrzestnym moim synem.

— A, a, a! — rzecze uderzając się w czoło pan Marcin. — To, to pani z siostrą korespondowała będąc u nas... Syn Ignas, to chrzestny syn... Aaa... jakże to moja Winia nie zrozumiała... Bardzo szlachetnie z pani strony, że się poświęcasz dla dobra cudzych dzieci. Ja tak samo dla tych dzieci... wszystko z siebie zrobiłem. Nie mogę tylko darować, że mieszkając obok nas

1 tak dawno, nie dałaś pani znać o sobie... Zawsze to byliśmy przyjaciółmi... Pamięta pani tę brodę, co?...

— Ślicznie panu...

— Ale żeby tak się schować... czy to się godzi! Nawet Ignas nigdy nie wspomniał.

— Zakazałam mu — odpowiada na to panna Ka

rolina.—Sądzę, że pan pamięta, w jaki sposób rozstaliśmy się z panią?...

— Widzi pani, to było nieporozumienie, tak... ot, trochę zazdrość kobieca, bo moja Winia jest dyabelnie zazdrosna.

— Musi pan dyrektor dawać powód do tego? — wtrąca rozdrażnionym głosem oficjał, któremu te wielkie czułości Marcina wcale się nie podobają.

— Słyszałam—mówi panna Karolina—że panu świetnie się powodzi.

— Łaskawa pani to ledwie początek... Wypływam dopiero, wypływam... Nie uwierzy pani jak ja nieraz żałowałam, że pani tu nie ma... Tak jest panno Karolino, pani masz wiele, a wiele rozumu w tej małej główce... Moja Winia dobra kobieta, ale w takich sprawach... nie tego... Nieraz w Banku przychodzą takie rzeczy, że trzeba się poradzić...

— Coś słyszałam, że ten Bank nie bardzo idzie!

— To pot warz, jak Boga kocham, czysta potwarz! Jestem dyrektorem, a pani wiesz, że ja nie lubię być malowanym..!. Listy nasze nie mają prawa kursu notowanego na giełdzie, ale zmieniamy je na płatne w złocie...

* Rozumie pani w złocie... Ani jednego papieru nie ma takiego w Galicyi.

Tu pan Marcin uznał za właściwe powtórzyć wszystko to dosłownie, co wiedział od starszego dyrektora, imci pana Stefana Kulbaki Ogrodzińskiego o tej konwersyi i zapewnił, że Bank ich dopiero wtedy stanie na nogi, kiedy się Młot pokaże i maskę zedrże z oszczerców.

— Moja kochana pani, znasz mię przecie, więc pomyśl, czy jabym się mieszał do takich rzeczy, gdybym

nie przestudował i nie zgłębił wszystkiego... Ja, tylko się pokazałem we Lwowie, a już w dwa miesiące zwa-
liłem Radę miejską, panie, jestem prezesem trzech stowarzyszeń, tak jest, ma pani przed sobą prezesa tego...
prezesa tego... członka tego... I wymienił jej wszystkie swoje godności i tytuły.

— W sprawach politycznych staję na boku—mówi wzruszając filuternie ramionami, ale dodaje szepnąw-
szy do ucha—trzęsę wszystkim, jak honor kocham, ja, Marcin, trzęsę.

Panna Karolina słuchała cierpliwie przez całą godzinę i potakiwała w milczeniu, dopiero kiedy wystąpił z
propozycją redagowania dodatku Mód i nowości powiada:

— Nie mogę się tego podjąć, bo nie mam wyobrażenia...

— Panno Karolino, cóż pani myślisz, że święci garnki lepia? Bierze się ztąd trochę, ztąd trochę... oni
wszyscy tak robią. Trzeba mieć odwagę i nie trzymać zbyt mało o swoich zdolnościach. Przypomnij sobie pani
mnie na wsi, czybyś przypuszczała wówczas, że ten szlachciura, którego za nic mieli wszyscy, przyjdzie do tego
co ja?

— Pan co innego, mężczyzna...

— Listu nie umiałem porządnie napisać, prawda? A teraz jestem autorem jedenastu broszur... Właśnie
mam je tu przy sobie — mówi wydobywając z kieszeni paczkę różnokolorowych zeszytów—i pozwól, że jej
ofiaruję całą kolekcję... Proszę o pióro i atrament.

Gospodyni przysunęła mu takowe, a on własną ręką napisał dedykacją na każdej.

— Tak to łaskawa pani, odwagi i śmiałości tro

chę. Nastaly takie czasy, że trzeba się pchać przez tłumy. A zdzierać maskę z obłudy i fałszu, kropić bez miłosierdzia i prać brudy społeczne.

Nie mogła się tak naraz wymówić od redagowania tych Mód i nowości, bo pan Marcin umiał dość natarczywie nalegać, więc powiedziała to i owo, że zobaczy, że jeszcze dość czasu, że pomyśli.

—■ Pięćdziesiąt reńskich miesięcznie przeznaczają redakcja Młota dla pani — mówi tonem protekcyjnym, żegnając się z panną Karoliną — ale to tymczasem. Niechno się dziennik rozwinie, nie zapomnimy o pani.

Sprowadzając Marcina tutaj, oficyał wierzący jeszcze w jego gwiazdę nie wyświadczył jej wielkiej łaski. Szanowny dyrektor zaglądał bowiem oodzień do skromnej stancyjki i roztaczał swój pawi ogon próżności, niby to radząc się, czy będzie to dobre, co napisał do Młota. Jeżeli w stosunkach z ludźmi ceni się wysoko ich delikatność, to wobec zarozumiałych głupców, jest ona zupełnie nie na miejscu. Nie poznają się oni na tem, ale zdawać im się będzie, że zaimponowali wam swoim rozumem, zaś cierpliwość waszą wezmą za uznanie, w imię którego mogą was torturować do woli. Tak było i z panem Marcinem; radził się czy dobrze, a gdy Karolina odważyła się zrobić jaką uwagę, sprzeczał się z nią i przekonywał do ostatka, że tak jak jest, jest najlepiej.

— Ach, żebyś pani była mężczyzną! — odzywa się raz w przystępie zachwytu — zaraz bym pani dał posadę sekretarza w moim banku. Płacę sto reńskich na miesiąc i mam takiego osła, że każde słowo muszę poprą-

wiać. Wystaw sobie, razem z buchalterem zrobili bilans roczny i wykazali 240 reńskich zysków.

— To bardzo mało...

— Albo to prawda! Ja, panie, co się w takie drobnostki nie wdaję, ale tak ot z tego co mi się obilo
0 uszy, to pamiętam parę operacji, gdzie zarobiliśmy po kilka tysięcy guldenów naraz.

— Przecież tam są jeszcze i inni dyrektorowie— odzywa się panna Karolina— jest prezes...

— Eh, to idyota... a ten Kulbaka Ogrodziński, zdolna bestya co prawda, o bardzo zdolna, ale próżniak...

Muszę sam przejrzeć wszystkie książki... trudna rada.

Drugi przyjaciel panny Karoliny, hrabia z drugiego piętra również zasmakował w jej towarzystwie
1 przychodził kilka razy na dzień wywodząc przed nią swoje teorie o znaczeniu tradycji rodów, o przelewaniu
zdolności rasowych, a na dowód tego czytał znów różne manuskrypta po łacinie, tłumaczył zabierając czas po-
trzebny na inne zajęcia gospodarskie.

— Powinnaś się acanna nauczyć po łacinie...

— Panie hrabio, gdzież w moich latach... na co?...

— Tak, tak, tak... na wszystko wymówki jak się pracować nie chce.

— Czyż ja nie pracuję?

— Praca nieprodukcyjna... Od jutra ja uczę acannę, tak jest sam uczyć... Mam tyle manuskryptów do
przepisywania, a panna piszesz wyraźnie...

r— Panie hrabio, któż będzie gotował obiad?

— Kucharkę przyjąć... i tak acanna kiepsko gotujesz... kaszkę wczoraj było czuć łojem... Maciuś

nie chciał jeść... a Maciusiowi muszę dogadzać, on ma fundusze... kucharkę zaraz mi przyjąć.

Chciała coś oponować, lecz stary jak zwykle zaczął dreptać nogami, laską pukać i tak się unosił, że biedna kobieta nie śmiała już mówić. Szanując bardzo tego oryginała, z tem wszystkim bała go się niezmiernie, bo zawsze przy podobnych sprzeczkach przybierał minę nadzwyczaj groźną, jakby miał zamiar tę groźbę poprzeć długością swej laski.

Na drugi dzień po tem, udając się jak zwykle do miasta, przychodzi do niej, a stanąwszy we drzwiach zaczyna wołać:

— Metrykę, metrykę!

— Nie wiem co pan hrabia sobie życzy?

— Daj acanna metrykę, prędko metrykę... masz?

Nie mogła pojąć, czy stary sfiksował, i na co metryka potrzebna, ale pod wpływem strachu, wyjęła z kuferka i podała. Hrabia wziął i poszedł nie pogłaskawszy nawet Maciusia, ani nie pogadawszy z kurą. W głowę zachodziła na co on może potrzebować jej metryki, więc gdy pan Antoni zjawił się na obiad, powiedziała mu o tem z uwagą, że staremu hrabiemu musiało się coś w głowie przewrócić od wczoraj, bo kazał jej uczyć się po łacinie, kazał przyjmować kucharkę, a już z tą metryką to sama nie wie, co sądzić.

— Dziwak — odpowiada pan Antoni z obojętną miną. — Czy ja nie mówiłem pani, że on ją wykieruje • na takiego jak sam oryginał. Ale pani powiada, że to jest zacny, uczciwy, szlachetny, niechże tak będzie.

Przykro było Karolinie, że oficynał tak zimno traktował tę sprawę, że zjadłszy obiad wyszedł jakby obrażony i o tym przedmiocie już nie wspominał, więc

zaniepokoila się jeszcze więcej, zwłaszcza że pan Marcin od kilku dni wcale się nie pokazał.

— Tam proszę cioci — rzecze Ignaś, kiedy go zapytała, czy dyrektor przypadkiem nie zachorował — coś zaszło nieprzyjemnego, bo pani chodzi z zapłakanymi oczami. Byli tam dziś jacyś żydzi z rana i tak krzyczeli, tak hałasowali, ale nie wiem o co, bo pani zamknęła się z nimi w gabinecie.

— A on co?

— Jego nie ma. Mówił Ludwik pod sekretem, że wczoraj wyjechał na wieś, bo tam z dzierzawcą robią jakieś interesa. Widzisz — powiada — stary nie ma pieniędzy, ja go znam, bo zaraz minę ma nietęgą, i głowa go boli i jeść nie chce...

Rzeczywiście musiała nastąpić jakaś niepomyślna zmiana w życiu jej przyjaciół, bo naraz wszyscy trzej dziwnie zobojętnieli. Hrabia przyszedłszy prawie nie rozmawiał, choć przyniósł jej gramatykę łacińską i kazał się wyuczyć deklinacji. Gderał, wymyślał, że wątróbka była przesmażona i połknąć jej nie mógł, że błędów tyle jest w przepisywanym rękopiśmie, a szczególnie w dopiskach łacińskich, że Maciuś schudł i nikt o nim nie pamięta...

— Tak, tak mój przyjacielu — mówi do niego rozplątując palcami pozlepianą szerść na grzbiecie — musimy o sobie pomyśleć... Niedbają o nas.

Pan Antoni również zrobił się zamyślony, spoważniał, nie żartował, ani brał się do porządkowania w stancyjce, jak to dawniej bywało. Zjadłszy obiad i zapaliwszy cygaro, sadzał na kolanach córeczkę i tak ją całował, takimi obsypywał pieścizotami, tak wzdychał, jakby dopiero teraz spostrzegł, że ona jest sierotą.

A. Wilczyński—Tom XIV.

"Widząc to wszystko, panna Karolina za dumną była, żeby się pytać o przyczynę tej zmiany w obejściu tak ze strony narzeczonego, jakoteż i hrabiego. Udawała, że tego wszystkiego nie widzi, lub że ją nic nie obchodzi, ale niepokój miotał jej sercem z obawy, że może coś takiego powiedziała lub zrobiła, co mogło ostudzić życzliwość tych panów. Położywszy się spać, całymi godzinami rozmyślała nad swoim postępowaniem, lecz mimo tak skrupulatnego rachunku sumienia, w końcu musiała przyznać, że nic a nic z tego wszystkiego nie rozumie.

Tymczasem hrabia coraz później przychodził z miasta i zrobił się tak przykro niecierpliwym, że biednej kobiecie aż łzy stawały w oczach ilekroć tyranizacja jego przechodziła wszelką granicę nie już grzeczności ale nawet poszanowania jej jako kobiety. Przyszło mu do głowy przynajmniej jeszcze trzy pokoje obok swego mieszkania, bo mówił, że biblioteka jego nie może się pomieścić w dotychczasowym lokalu. Ztąd po całych dniach przychodzili do niego różni robotnicy, on dyrygował odczyszczeniem, sprowadzał meble, ustawiał i krzyczał i tupał nogami, że go obdzierają, że są partacze i wydrwigrosze, jednym słowem tak był zirytowany, że spodnia odęta warga jeszcze bardziej mu latała niż zwykle, a z oczu ciągle sypały się iskry.

— Gdzież jest ta kucharka? — zapytuje raz panny Karoliny.

— Nie przyjmowałam, bo ja nie mam funduszu ani na utrzymanie sługi, ani miejsca na jej pomieszczenie... Pan hrabia widzi — dodaje rozzalona z oczami łez pełnymi — że sama mieszkam w kuchni z trojgiem dzieci...

— Tak, tak, acanna tylko umiesz łzy wylewać —

mówi stary trzęsąc się z rozdrażnienia—a Maciuś będzie jadał bez apetytu co mu tam acanna upitrasisz. Tu taki zaduch, powietrze jak w łaźni, gdzież mu to może iść na zdrowie i dawać dobry humor... Proszę przyjąć kucharkę od pierwszego, niech tam gotuje u mnie na górze.

— Możeby pan hrabia uwolnił mnie od tych obowiązków względem Maciusia? — odważyła się powiedzieć.

— Zgodziłaś się acanna na dwa lata i musisz dotrzymać umowy. Zapłacone z góry... wziąć pieniądze to łatwo, a potem byle czem zbywać.

Już nie mogła wytrzymać, ale się rozplakała na dobre. Toż samo obie dziewczynki, widząc, że ciotka płacze, przytuliły się do niej i dalejże szlochać jak na komendę. Hrabiego, scena ta zupełnie nie zmiękcyła, odwrócił się widocznie bardziej rozgniewany, bo odzywa się już we drzwiach.

— A temu drągalowi z poczty umiesz acanna do • gadzać! Jak on to wygląda, a jak Maciuś! Ho, ho znam ja was; dla amanta wszystko jest. "Wstydz się acanna, to niemoralnie. Niby narzeczony, niby przyjaciel... 0 nie, Maciuś w takim towarzystwie niczego dobrego się nauczy.;

Ostatnia desperacja już wzięła pannę Karolinę po takiej scenie. Teraz dopiero otworzyły jej się oczy, 1 spostrzegła jak ten stary, niegodziwiec, pozornymi dobrodziejstwami, oplątał ją niby pająk swoją ofiarę w zastawione sieci. Egoista i tyran bez serca, znęcał się teraz nad nią w tak dokuczliwy sposób, gdy ona nie miała środka pozbycia się tej opieki. Niestety z danych jej stu reńskich, wydała prawie wszystko na inne potrzeby

domowe, więc zkądże tu wrócić hrabiemu tak znaczną jak na jej położenie sumę. Irytując się i płacząc na przemiany, czekała przybycia pana Antoniego żeby się stanowczo z nim rozmówić i szukać rady dla wycofania się z tego nieznośnego położenia. Lecz jak na złość pan Antoni tego dnia nie przyszedł na obiad, co jeszcze bardziej powiększyło jej zmartwienie.

Na drugi dzień rano, ledwie że zdążyła się ubrać i dzieciom podać śniadanie, gdy pokazuje się hrabia, jak zwyczajnie w starej granatowej algierce, a za nim posługacz dźwigający dość spore zawiniątko.

— Zostaw tu i idź z Panem Bogiem — mówi do niego.

— Proszę acanny — odzywa się siadając — rozmówiłem się wczoraj z Maciusiem. On nie może tak na słowo powierzyć acannie swojej przyszłości i kazał mi sporządzić z acanną akt notaryalny, że będziesz dbała o niego aż do samej śmierci. Akt jest gotowy, a że acanna nie masz się w co ubrać, więc kupiliśmy tu dla niej co potrzeba. Proszę wziąć z sobą i dzieci, bo te bębny głowy by sobie bez acani pourywały. Za pół godziny przyjdę z Maciusiem i pojedziemy do notaryusza, acanna się podpiszesz...

•— Panie hrabio — zaczęła coś mówić Karolina.

— Żadne panie hrabio — zawoła stary drepzcząc nogami. — Kto wziął pieniądze, powinien pokwitować. Tak robią ludzie uczciwi. Nie ma co rezonować tylko się ubierać, dorożka przyjedzie za pół godziny, a ja tymczasem przygotuję Maciusia. Widzisz acanna, czy mnie to potrzebne żebym się włóczył po kancelarych notaryalnych?...

Gdy wyszedł stary oryginał, panna Karolina onie

miała ze zdziwienia, W zawiniątku pozostawionem przez służącego, którego mimo zmartwienia nie omieszkła rozwinąć, znalazła bardzo elegancką jasną wełnianą suknię i wszystkie przybory do kompletnego ubrania, nawet rękawiczki i grzebień do włosów. Takie same były garniturki i dla dziewczynek.

Ciekawość kobieca przemogła nad zmartwieniem; bo wszystkie trzy zaczęły oglądać każdą drobnostkę, a panna Karolina dziwiła się jak to wszystko porządnie jest odrobione, obliczając w myśli co to może kosztować.

Dziewczynki za to nie posiadały się z radości na samą myśl, że mają tak piękne sukienki o jakich ani marzyły, więc gdy panna Karolina waha się jeszcze nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć, one z błyszczącymi oczkami rozbierają się czempredziej aby zaraz przymierzyć.

— Czy acanna gotowa? — daje się słyszeć głos w sieni i zarazem pukanie laską.

— Już się ubieramy — odpowiada Zosia.

— Tylko prędko, prędko!...

— Eh, to coś w tem jest — pomyślała Karolina, wciskając machinalnie grzebień we włosy. — Czyż to podobna, aby człowiek ten, nadokuczywszy mi tyle, w ten sposób robił tak kosztowne prezenta. To jakiś nowy podstęp właściwy temu dziwakowi.

Gdy była już gotową, stary kazał im zejść na dół i wsadził do parokonnej dorożki.

— Przynajmniej acanna wyglądasz na ludzi—rzecze siadając obok niej — a tak to wstyd byłoby jechać do notaryusza z kobietą wyglądającą jak straszdyło.

Panna Karolina uśmiechnęła się na to i już zabierała się do dziękowania, gdy hrabia spostrzegłszy ten zamiar odzywa się do dzieci:

— Siedzieć mi spokojnie! Czego facetka przysiadłaś sukienkę... przecież to nie waszę i trzeba oddać. I tak musiałem zapłacić pięć reńskich za wypożyczenie.

Dorożka zatrzymała się na placu Maryackim, stary kazał wprzód wysiąść dzieciom i pannie Karolinie, a gdy ta ostatnia chciała mu pomóc, ofuknął dość opryskliwie.

— Nie potrzebuję, ot lepiej acanna pilnuj sukni żebyś nie zaszargała w błocie... Cudze rzeczy trzeba szanować!

Weszli na drugie piętro, gdzie już czekał ich notaryusz z dwoma świadkami.

— Podpisać, podpisać! — mówi do Karoliny, kładąc jej pióro do ręki.

— Za pozwoleniem, muszę akt odczytać — rzecze notaryusz.

— A to na co? Napisane co potrzeba...

— Taka jest forma, inaczej nie mogę.

Upierał się stary i dreptał nogami, ale nic nie pomogło, i zaczęło się czytanie.

— Stawili się jaśnie wielmożny hrabia...

— Ja, ja się stawiam? — przerywa nasz dziwak. — Nie, nie ja tylko Maciuś, kot angorski.

— Żartuje hrabia, czyż kot pański jest osobą?

— Właśnie że jest, ma swoje kapitały, proszę napisać, że ja działam z mocy jego upoważnienia...

Notaryusz wzruszył ramionami, uśmiechnęli się świadkowie i przerwało się czytanie.

— No, czy to już skończone?

— Nie, tylko pan hrabia żądaś niepodobnych rzeczy. Jakże ja mogę wprowadzać do akt zwierzęta?...

— Więc nie można?

— Naturalnie.

— No, to niech zostanie tak jak jest, tylko mówię tu acannie przy świadkach, że choć ja figuruję, ale to wszystko działa Maciuś... Czego się kręcicie małe? — rzecze do dzieci. — Mniecie sukienki, a wiecie, że to nie wasze.

Całym tem obejściem była tak zażenowana panna Karolina, tak przelękniona i odurzona, że notaryusz czytał, a ona nie wiedziała o co rzecz idzie. Oderwane tylko niektóre słowa utkwily jej w pamięci, jakieś sto reńskich, dożywocie, utrzymanie kota Maciusia, interkula- cya na dobrach Wernihowce i nic więcej. Po skończeniu czytania, notaryusz przysunął jej krzesło i kazał podpisać, ona podpisała prawie machinalnie, wśród bardzo dwuznacznych uśmiechów młodych pomocników notaryusza.

— Skończone? — zapytuje hrabia.

— Już — odpowiada notaryusz. — Dziś zaraz wniosę do hypoteki. A gdzie pan hrabia każe sobie oddać wypis?

— Przysłać do mnie i rachunek, tylko acan nie smaruj bardzo, bo ja działam jako plenipotent.

Zeszli na dół i w takim samym porządku wsiedli do powozu.

— Do Bernardynów! — zawoła hrabia na dorożkarza.

— Teraz już kłamka zapadła! — mówi zaglądając w oczy swojej towarzysze. — Podpisałaś i pamiętaj, żeby Maciuś nie narzekał, inaczej będzie źle.

Gdy powóz zatrzymał się przed kościołem, panna Karolina tak była odurzona, że nawet nie spostrzegła '

jak pan Antoni ubrany we frak i białą krawatę na szyi otworzył drzwiczki i podał jej rękę.

— A to co? — mówi nagle poczuwszy uściśnienie ręki i uśmiechniętą rozkosznie twarz oficyała. — Zkąd pan się tu wziął, gdzie my idziemy?...

Antoni chciał coś odpowiedzieć, ale stary odsunawszy go na bok, podał jej swoje ramię.

— Będziecie gadać przy ołtarzu. Świątynia pańska... Na taką niemoralność nie mogę patrzeć. Maciuś jest zgorzony. Czegóż acanna tak nogi wlecze jakby nie swoje, prędeż...

Z drugiej strony znalazł się Ignas świętecznie przystrojony z głową tak wypomadowaną, że zapach rezedy rozchodził się od niej po całym kościele. Wziął on ciotkę pod drugą rękę, a obie dziewczynki uczepliły się oficyała.

Postępując uroczyście przez cały kościół, kalwa- kata nasza zatrzymała się przed wielkim ołtarzem, a na chórze organista zaintonował Veni Creator...

— Czy to sen? — szepcze do oficyała panna Karolina, gdy on znalazł się obok niej przed ołtarzem.

— Sen, ale na jawie — odpowiada ściskając ją za

rękę.

¹ — Czułości na potem! — wtrąca hrabia zawsze z opuszczoną wargą jakby się jeszcze dąsał. — Tu jest dom Boży... dość już tej niemoralności...

Po twarzy zdumionej kobiety przebiegały na przemian, to bladość, to rumieniec, a serce uderzało jej z taką mocą, że musiała obie ręce przycisnąć do piersi.

Chociaż w kościele nie wiele było ludzi, jednak dość spora gromadka jak zwykle ciekawych kobiet otoczyła ten skromny orszak weselny. Na wszystkich twa

rzach znać było niezmiernie zdziwienie, jakim prawem panna młoda może przystępować do ślubu w szare wełnianej sukni, bez wianka i w kapeluszu.

"Wyszedł ksiądz, hrabia podał mu obrączki nie tak jak zwykle złote, alfc stalowe... No dziwak, bo jak powiedział potem, złoto jest za miękkie do skucia dwójga waryatów. Stal jeszcze za słaba.

Wzruszona, rozrzuwniona, oniemiała i cała drżąca panna Karolina wyszeptwała słowa przysięgi. Hrabia przez cały ciąg tej ceremonii stał naprzeciw niej, i z tak dziwną ironią patrzył jej w oczy, że biedną kobietę jeszcze bardziej mieszało to spojrzenie.

— Panie hrabio — odzywa się gdy wyszli z kościoła, a stary podał jej rękę wsadzając do powozu— czy ja zasłużyłam na takie szczęście?

— O tem potem! Zobaczysz acani jakie to będzie szczęście... Zgubiłaś swoje życie—szepcze jej do ucha— bo to jest dureń ten oficyał i jeżeli go nie przerobisz na swoje kopyto, to... Nie mógł dokończyć, bo właśnie w tej chwili z drugiej strony wsiadł z rozpromienioną twarzą pan Antoni. Hrabia z dziećmi zająwszy drugi powóz ruszył przodem na Łyczaków.

Gdy skojarzona w tak oryginalny sposób nasza i para wchodziła do sieni, spotkała ich na schodach druga, może nie tak szczęśliwa para, Maciuś z Jagusią, których hrabia wysłał z góry na to powitanie. Pani Antoniowa chwyciła oboje na ręce i zaczęła całować z uniesieniem, co jak się zdaje nie musiało być bardzo przyjemnem Maciusiowi, bo przestraszony robił wszelkie usiłowania aby się wydobyć z tych uścisków.

— Wyżej, wyżej! — krzyczy nad niemi hrabia, widząc, że się zatrzymują przy drzwiach mieszkania...

Postąpiono więc wyżej o jedno piętro, a obie dziewczynki, podały jej jedna wspaniałą bukiet świeżych kwiatów, druga chleb i sól na tacy. Hrabia stał za nimi i tak się śmiał tak się chichotał, że aż musiał oprzeć się o ścianę. Nowej mężatce lzy puściły się z oczu, pomimowoli zgięły się kolana i uklękła przed starym.

>— Panie hrabio, jesteś więcej niż dobry i szlachetny, pobłogosław sierocie...

— Ozy ja to biskup albo ojciec święty! — zawoła, usiłując wydostać ręce okrywane pocałunkami przez obojga małżonków... No puście, do kaduka, cóż to chcecie mnie zamordować...

"W drugim pokoju było przygotowane śniadanie, pojawiła się służąca i całe to gronko zasiadło przy stole. Maciuś miał także swoje nakrycie, a hrabia wznosząc zdrowie małżonków, zmusił Antoniego, że ten na podziękowanie palnął mówkę do kota.

— Tak, tak — to on wszystko przygotował, ja tylko jestem plenipotentem. On wam najął to mieszkanie i umeblował...

Nowe zdziwienie i usiłowania do nowych podziękowań.

— Znieś tu swoje manatki! — zawoła hrabia do oficyała wynosząc się czemprędzej do siebie. — A szanuj tę kobietę, bo wiesz, ona ma więcej rozumu w jednym palcu niż ty w całej głowie...

— I to nie jest sen Antosiu? — odważyła się pierwszy raz tak odezwać do męża, opierając obie ręce na jego ramionach...

Oficyał porwał ją w swoje objęcia i ucałował, a że i dzieci zbliżyły się do nich w tej radosnej chwili, zatem

przez kilka minut nic nie było słyhać tylko całowania i łzy szczęścia i błogosławieństwa dla zacnego dziwaka,
— Dlaczego on nie może tego zrobić po ludzku— odzywa się oficyał, gdy już skończono procesyę po no- wem mieszkaniu — tylko musi wprzód tyle nadokuczać i nagryść. "Wierz mi to psuje dwie trzecie przyjemności,

— Cóż na to poradzisz?

Właśnie w tej chwili przyniesiono wyciąg aktu od notaryusza. Hrabia uchylwszy drzwi swego mieszkania, pisma tego nie przyjął, a tylko kazał oddać pani naprzeciwno.

— Co to jest? — pyta Antoni.

— To mój kontrakt z Maciusiem — odpowiada śmiejąc się Karolina. — Czy nie wiesz, że dziś rano nim przyjechaliśmy do kościoła, zawiózł mnie do notaryusza i kazał się podpisać za te sto reńskich, które mi dał na utrzymanie kota i kury...

— Ależ to zupełnie co innego? — zawoła oficyał przebiegając treść dokumentu. To nie o te sto reńskich chodzi. Proszę cię czytaj, formalnie zrobił zapis dla ciebie na dożywocie po sto reńskich miesięcznie z warunkiem, abyś utrzymywała zawsze kota i kurę. Nawet żąda w razie śmierci tych, abyś inne także same egzemplarze nabyła i utrzymywała... Jak Boga kocham Karolciu, on ma ten tego — dodaje pokazując na czoło.

— Daj Boże abyście wszyscy mieli takie zajączki. Zapewnił nam byt mój drogi a kotów użył za pozór, żeby to nie była darowizna. Jak ciebie kocham, ja nie wiem za co?

W godzinę potem hrabia jak zwykle wychodząc da miasta zapukał laską do drzwi:

— A niech no acani o mojej kaszce i wątróbce nie zapomni!
— Dobrze, proszę pana hrabiego... Ach panie hrabio, czy ja zasłużyłam...
— Maciusia, Maciusia spytaj! — odpowiada niecierpliwie obwijając się algierką — a temu facetowi powiedz, niech się szanuje na poczcie, bo jak będzie się wdawał w wielką politykę, wypędzą, a Maciuś nie ma intencji takiego draba na łasce utrzymywać...

X.

Jesteśmy znowu w tej wąskiej sali w cukierni, w której to pan Marcin poraż pierwszy poznał dyrektora banku publicznego kredytu. Godzina czwarta po południu, chłopcy uwijają się roznosząc czarną kawę, a kilkunastu mężczyzn z głośnym ferworem rozmawia o sprawach bieżących nieżałując sobie dowcipnych żarcików i złośliwych przymówek. Pomiędzy nimi widzimy dawnych znajomych. Hudobiński pod oknem tak samo tajemniczo konferuje z łysym rumianym przedsiębiorcą dróg publicznych, a mimo że zajęty jest jakimś rachunkiem, który kreśli ołówkiem na marmurowym blacie, jednak od czasu do czasu spogląda na drugą stronę pokoju, gdzie przy takim samym stole ponad głowami dwóch grających w szachy, nachyla się kilka głów ciekawskich i radców. Kłęby dymu tytoniowego otaczają to grono chwilami milczące jak grupa żywych obrazów, chwilami wybuchające głośnym okrzykiem lub śmiechem jak się zdaje w skutek dobrego lub nie fortunnego posunięcia na szachownicy.

Wzdłuż pokoju, po prawej stronie są małe marmurowe blaty wychodzące ze ściany, a przy każdym, dwóch czytających gazety. Jeden tylko Adolf Przy- jemski, zwany efendim, siedzi na lewej stronie pod piecem, spędzając czas na ziewaniu, które przerywa rzucając blade spojrzenia na kolumny trzymanego w ręku Figara, lub pociągając dym z papierosa. Naprzeciw niego przy stoliczku pod ścianą ulokował się pan Franciszek Ksawery na Miłoszowie Miłosz, obecnie redaktor „Chorągwi lwowskiej” będącej jak wiadomo postrachem wszelkich nietoperzy, próbujących lotu podczas dnia białego. Szanowny redaktor coś bardzo groźną ma minę, bo siedzi jakby przylepiony do ściany, i oczami mruga i palcami po stoliku bębni, a tłusty jego żywot objęty skurzanym pasem z kłamrą, tylko faluje do góry i na dół w takt ciężkiemu sapaniu.

- Podobno was ten „Młot” pokruszył na miazgę — rzecze zbliżając się do Miłosza Hudobiński.
- Czy „Młot” wyszedł? — zapytuje kilka głosów od stolika gdzie grano w szachy.
- Dziś wychodzi, tylko patrzeć pana Marcina z pierwszym numerem.
- Już to wy — odzywa się Miłosz do Hudobiń- skiego — będziecie mieli na sumieniu tego szlachcica.

Zwaryował i puścił taką ładną fortunę. Tak, tak. to wyście zrobili z niego wielkiego człowieka.

- Bo on jest wielki — odpowiada śmiejąc się Hudobiński.
- Osioł — dorzuca efendi.
- Ja im pokażę, co to mnie zaczepiać i nazywać „Chorągiew” prasą rewolucyjną. Ho, ho! sprawka to

Kulbaki dyrektora...

- Czyś pan już czytał ten artykuł?
- Przynieśli mi w odbitce z drukarni. „Chorągiew” jest rewolwerem, ale na łajdactwa. Przeczytacie jutro. Ja ten cały ich bank powszechnego oszustwa namaluję jak na dłoni.
- Powiedzieć lepiej jak na łapie — wtrąca tu- rek — bo gdzież to wasza ręka do ludzkiej podobna!
- Wy sobie żartujcie, a ja wam powiadam, że my w ciągu tygodnia zamkniemy tę ich budę, a dy- rekcyja pójdzie tam, na Halickie. Prokuratoryja już ma ich w ręku. Listy zastawne puszczają bez żadnego oparcia na hypotecę, biorą kaucyę od urzędników i tśm żyją. Bank, to mi bank, który pożycza na Wałach u lichwiarzy na 50% aby zapłacić pensyą.
- I to prawda? — pyta Hudobiński?
- Czarne na białem jest tu! — mówi Miłosz klepiąc się po kieszeni.
- Szkoda Marcina.
- Co szkoda! to głupiec, któremu się w głowie przekręciło. On nie winien, ale ten Kulbaka Ogrodziński, ho, ho, to ptak. „Chorągiew”... rowolwerowa gazeta... dobrze będziecie mieli rewolwer!

Właśnie w tej chwili z dziwnie rozpromienioną twarzą wpada do cukierni pan Marcin. Ze wszystkich kieszeni jego wyglądają mokre jeszcze egzemplarze „Młota,” które uszczęśliwiony wydawca rozdaje przyjaciołom i ręce zaciera i śmieje się, jakby główny los wygrał na loteryi. Z panem Miłozsem nie podali sobie ręki, lecz zmierzyli się takim spojrzeniem, że nie radziłbym czytelnikom stać wtedy między takimi strzałami.

- Chwytają, rozrywają po ulicach — mówi z za

pałem pan Marcin, pokręcając węża. — Prokuratorya konfiskuje, policjanci latają po trafikach, aleśmy puścili już ze trzysta.

Wszyscy obecni zerwali się z krzeseł do obejrzenia Młota, jeden drugiemu zaglądał przez ramię, a pan Marcin wyjmował coraz to nowe egzemplarze z kieszeni i wtykał do rąk, polecając artykuł wstępny.

Tymczasem ten pierwszy numer „Młota” wyglądał bardzo skromnie. Papier lichey, druk jakby gwoździami, a wewnętrzna wartość jego musiała nie być animująca, skoro czytano z ciekawością, jednak bez oznak jakiegobądź zajęcia.

— Miłosz się odgraża — szepnie Hudobiński "clo ucha Marcinowi.

— Z rewolwerami nie mamy nic do czynienia! — odpowiada na cały głos nowy redaktor.

— Zaśpiewacie wy inaczej przed kratkami — pomrukuje Miłosz, zabierając się do wyjścia.

— Czekamy panie dobrodzieju, czekamy! — odpowiada, kłaniając się z ironią Miłoszowi. — Małe pieski mogą szczekać na powóz, ale siedzących w nim nie ugryzą. Mości redaktorze Chorągwi, Młot przyjmuje rękawicę!

— I żelazne obrączki — pamiętajcie!

— Czego ty drażnisz tego dyabła — odzywa się jeden z tych co grali w szachy. — On tam coś źle mówi o waszym banku.

— Odebraliśmy inseraty Chorągwi, to cały interes. Bank nasz kpi sobie z takich piesków. Pojutrze zbiera się walne zgromadzenie, nasze listy na gwałt idą w górę... Złotem będziemy płacić... No panowie, kto łaskaw na wódeczkę... jestem spracowany jak wół...

człowiek wszędzie musi sam. Powiem ci efendi — rzecze do ucha Przyjemskiemu — twój protegowany Programowicz nie tęga głowa. Jego artykuł musiałem tak i tak... Esencyi nic, frazesy... woda.

— Jakże prenumerata idzie?

— Świetnie! Tysiąc pewnych na pierwszy kwartał." Biję drugą- edycję, już z opuszczeniem inkryminowanego artykułu. Całe miasto aż się trzęsie. Rozsyłamy massami, na prowincję bezpłatnie. Ja tak panie, do czego się wezmę, musi iść... Słyszę Antoni się wścieka... cha, cha, cha, ale mu dogryzłem, czytajcie: „Idyo- ty-zm połączony z żydowską przebiegłością."

— Redaktorze — odzywa się efendi »— ależ to bez sensu.

•— U pana wszystko bez sensu — mówi uśmiechając się pan Marcin. — Co to jest, że nie ma oficyna „tutaj. Miał być, a tak mi potrzebny...

— Ba, ba chciałbyś dyrektorze, oficyna opływa w hymenie.

— W czym?

— W hymenie. Oficyna się ożenił z jakąś fran- cuzeczką, której kot zapisał dożywocie po sto reńskich na miesiąc.

— Gdzie, kot, co, kiedy? — posypały się zewsząd pytania do Hudobińskiego, i ten musiał opowiedzieć szczegóły aktu u notaryusza, potem jak się ślub odbył, jak stary hrabia najął mieszkanie, jak Macusia usadzono na pierwszym miejscu i t. p.

— O! jak to zaraz znać dziennikarza — kończy Hudobiński klepiąc po ramieniu Martina — już wszystkoby chciał wiedzieć i artykułik napisać.

— Nie, ale to jest dawna guwernantka nasza! — odpowiada pokręcając wężą z fantazją...

— Tak? — zawołało kilku. I zaczęły się sypać żarciki dwuznaczne względem fundatora, już drugiej porcy Osmanki, który jakoś niebardzo się bronił i wypierał, a tylko chrząkał i wężą podkręcał, myśląc sobie to i owo, o czym ja nie śmiem uwiadamiać czytelników.

*

* *

Coś trzeciego dnia po wyjściu Młota, który zdradzając tajemnice redakcyjne powiemy, liczył sześćdziesięciu dwóch prenumeratorów, pani Karolina zajmowała się porządkowaniem biblioteki hrabiego. Musiała w wysokim stopniu posiadać jego łaski, jeżeli zdecydował się wpuścić ją do mieszkania, w którym od lat szesnastu obca noga ludzka nie powstała. Dlatego trudno sobie wyobrazić co tam się działo, i co się w umyśle jej działo, kiedy wychodząc stary dał klucz od pokoju, prosząc, aby mu oczyściła przejście do łóżka... Najniższego rzędu antykwarnia żydowska mogła tu jeszcze posłużyć za wzór porządku. Obszerny pokój, z oknami zapyłconymi jak butelka starego wina, z festonami pajęczyny zwieszającymi się dowolnie we wszystkich kierunkach, zastawiony był dokoła w różny sposób zlepionymi pułkami z desek, na których bez ładu i składu leżały, stały do góry, w poprzek i na bok różnego kalibru książki powiększej części bez oprawy, z wystającymi tu i tam strzępami źle ułożonych stron. Hrabia przeczytawszy nowe dzieło wsadzał go gdziebądź między inne, ani pytając o materyą, ani pilnując się tomów. Gdy mu zabrakło miejsca na półkach, albo mu się nie chciało wspinać, rzucał je na podłogę najczęściej tuż koło wielkiego stołu umieszczonego na środku pokoju, stołu tak

A. Wilczyński.—Tom XIV.

18

dalece już stoczonego przez robaki, że tu i owdzie pokazywały się kupki trocin drzewnych, niby kretowiny wysypujące się na zewnątrz. Obok stołu tuż zaraz stoi coś podobnego do łóżka, na którym zdawałoby się, że cała pościel składa się także z książek, bo ledwie gdzieś tam wyglądał rożek skórzanej poduszki, jakiś fałd wełnianej angielskiej kołdry, a z brzegu obszarpany kawał jeleniej skóry, służącej jak się zdaje za prześcieradło. Jeden tylko kulawy fotel z wygniecionem głęboko siedzeniem był wolny, mając jedną książkę za podkładkę— reszta bowiem krzeseł i cała podłoga tak zarzucona była szpargałami, że inaczej jak po książkach nie można się było dostać ani do łóżka ani do stołu. Hrabia ma jeszcze drugi pokój obok, lecz od niego już nie dał pani Karolinie klucza, nie mogła wiedzieć, co się tam znajduje.

Otworzywszy drzwi z ciężkością, i stanąwszy na progu, przestraszyła się tego chaosu, i nie mogła pojąć, jak człowiek może tu spać i pracować wśród tego składu stęchlizną przejętej makulatury. Zdjęta ciekawością podniosła jedną książkę — romans francuzki, podniosła drugą, także jakaś powieść, a gdy się przyjrzała bliżej, pokazało się, że wszystko to były utwory lekkiej beletrystycznej treści w różnych językach, dzieła bez żadnej wartości dla tak poważnego pracownika, jakim był hrabia, i jakim go poznała z oddawanych do przepisywania manuskryptów. Jednakże, żeby coś zrobić, zaczęła od zdejmowania książek z łóżka i robienia ścieżki odedrzwii do stołu. Za pierwszym poruszeniem tych szpargałów, roje moli wysypało się z materaca, a raczej pęków włosów wyglądających ze zbutwiałego od starości drelichu. Kołdra pocięta przez mole podobną była do rzeszota i tylko dzięki sznurom bawełnianym, któremi była obszyta, utrzymała kształt kwadratowy. Poduszka zdaje

się nieruszona od lat kilku, wtłoczona, jest w materac, i ma niby w kamieniu wygnieciony dołek na głowę; wreszcie łośniowa skóra zastępująca prześcieradło, skręcona jest w tyle fałdów i zwojów, że trudno uwierzyć aby najbardziej znużony człowiek mógł tu więcej, niż jedną noc przeleżeć. Żelazne zdrowie, żelazne musi mieć hrabia, pomyślała, jeżeli on to znajduje wygodnym. Natychmiast więc przyszła jej ochota, żeby tu poprze- nosić pościel ze swego mieszkania, a tę zabrać i powyrzucać na śmiecie, bała się tylko czy on nie zrobi jakiej awantury. Ze strachem tedy wzięła się do dzieła; oczyściła okno, odbiła lufcik, stosy książek pousuwała na bok, a niezważając na to, że cała jej postać zrobiła się podobną do kominiarza wracającego wieczorem do domu, tak się uwijała, aby w ciągu tych dwóch godzin nieobecności hrabiego mogła mu już przedstawić spełniony fakt porządku.

Na nieszczęście zaszła w tej chwili pewna okoliczność, która musiała popsuć jej całe szyki. Ignas cały przestraszony i bez tchu wpadł do pokoju.

— Ciociu! proszę cioci! — woła pukając do drzwi mieszkania hrabiego.

— Co takiego?

— Niechno ciocia tu wyjdzie — prosi zadyszczanym głosem. — Tam u pana Marcina... otoczyli dom... rewi- zya... policya... jacyś panowie... pani zemdląła... pan Marcin błądy...

— Mówże jak się należy, nic nie rozumiem.

— Oto przyszedłem rano wysłuchać Ludwika, a tu na raz wpadło ich ze dwudziestu, postawili straż przy drzwiach, pani jeszcze była w łóżku, pan w szlafroku i chodzą po wszystkich pokojach, otwierają biurka i szafy... Mnie nie chcieli wypuścić, i ledwie jakiś

słuszny pan dowiedziawszy się kto jestem, pozwolił. Pani zemdlą, pan chodzi jak trup... ludzi się tyle zbiegło z całego domu i powiadają, że będą aresztować... że pana Marcina odprowadzą do więzienia... okropność jaki tam krzyk, płacz...

Niewiele myśląc pani Karolina, o ile mogła oczyściła się trochę, porwała kapelusz i przywiązując go po drodze na głowie pobiegła do mieszkania państwa Marcinów. Jak raz trafiła na to, gdy pan Marcin w towarzystwie policyanta i jeszcze jakiegoś jegomości wsiadał do dorożki.

— Panno Karolino! — zawołał spostrzegłszy ją wchodzącą do bramy—Winia, Winia potrzebuję rąk.

Dorożka odjechała, a nasza oficyałowa nie mogąc się od nikogo nic dowiedzieć, pobiegła wprost na górę. Na schodach spotkała znowu dwóch panów niosących spore pliki papierów.

— Proszę panów, co to się stało?

— Aresztowano pana dyrektora banku.

— Za co?

— To już, pani, my nie wiemy. Kazano odbyć rewizję i aresztować... ale za co, to do nas nie należy...

Wchodząc do pierwszego pokoju, zastała wszystko prawie poprzewracane i porzucane, jakby po jakimś napadzie rabusiów. Szuflady z biurka pana Marcina powysuwane, pełno papierów na podłodze, na krzesłach, sofach i stołach; szafy roztwarte na rozcież, książki z nich powykładane, meble w nieładzie, a służba tylko biega tu i tam, niosą karafki z wodą, ręczniki, miednice, a wszystko z tak przestraszoną miną, jakby w dalszych pokojach pożar wybuchnął, lub ktoś nagle umierał. Nie pytając się więc nikogo o pozwolenie, biegnie za nimi przez salon, a otworzywszy drzwi buduaru, staje niemniej przerażona.

Na sofie leży pani Marcinowa, blada jak trup i ciągle mdleje. Ranny ubiór na niej cały przemoczony i w nieładzie, włosy rozpuszczone, pantofle pospadały z nóg, a tu koło niej wszystkie dzieci krzyczą w nie- bogłosy i płaczą tak żałośnie aż serce się kraje.

Odsunawszy na bok służące, które z przestachu leją strumieniami wodę na omdlałą, pani Karolina kazała otworzyć okno i nacierając skronie octem, zaczyna jej przykładac zimną wodę na serce. Prócz Jadwisi, której kaze podtrzymywać matkę, innym dzieciom i sługom kazała wyjść z pokoju.

Dopiero po półgodzinnem może takim trzeźwieniu, chora zaczyna przychodzić do przytomności i chwytając się oburącz za serce woła z rozpaczą:

— Pęknie! bójcie się Boga ratujcie, pęknie!

Nie będziemy tu opisywali całego przebiegu trzeźwienia i środków, jakich Karolina używała, powiemy tylko, że kiedy uspokoiła się nieco, obecność dawnej guwernantki wcale jej nie zadziwiła. Biedna kobieta zapomniiała o bieżącej chwili i zdawało jej się, że ona i pani Karolina są na wsi; a to wszystko, co widziiała przed chwilą, musiało być snem.

— Gdzie Marcin?—zawoła nagle zrywając się z sofy.

— Wróci, niezadługo wróci—mówi łagodnie Karolina, podsuwając jej chustkę z octem do twarzy.

— Co panna tu robisz, gdzie Marcin, gdzie ja jestem?... Ach, Marcin w więzieniu!... Puśćcie mnie, ja pójdę z nim... kto pani jesteś?... Karolina...

Za całą odpowiedź zsunęła się tylko oficjałowa do jej kolan i, nie mogąc słowa przemówić, zaczęła całować po rękach i perswadować, że wszystko będzie dobrze, żeby się nie martwiła napróżno, że to jakieś nieporozumienie i t. p.

— Więc pani jedna przyszłaś tu na ratunek! — zawoła nagle, obejmując rękami głowę klęczącej kobiety.— Jakaś ty szlachetna i dobra, a ja tyle ci narobiłam przykrości... Bóg mnie karze za to, Bóg mię karze...— powtarza, łkając i przyciskając spazmatycznie do piersi klęczącą.

Rzeczywiście, prócz pani Karoliny, nikt więcej nie pojawił się w mieszkaniu państwa Marcinów, choć w dwie godziny potem, już całe miasto wiedziało o zamknięciu przez prokuratorę Banku powszechnego kredytu i aresztowaniu dyrektorów. Złe wieści prędko się rozchodzą, a jeszcze o panu Marcinie, którego znali wszyscy, i który ponarązał sobie mnóstwo porządnych ludzi przez swoją zarozumiałą butę i niepowściągliwość języka. Owi wczorajsi jeszcze przyjaciele pochowali się po kątach, nie szczędzono mu zarzutów, a gdy kto odważył się wyrzec jakie słowo obrony — wzruszano ramionami, lub zacierano ręce z radości, że przecie sprawiedliwość ludzka dosięgła oszustów. Tak jest, pana Marcina brano wprost za oszusta, kiedy ten człowiek choćby chciał, toby nim stać się nie potrafił... Poprostu był ofiarą swej łatwowierności i głupoty, dając firmę innym, którzy wysawszy go prawie do ostatniego centa pociągnęli w przepaść za sobą.

Pocieszając o ile mogła i potrafiła Karolina przygnębioną kobietę, zawiozła ją do swojego mieszkania razem z dziećmi, polecając mężowi aby się zajął ubezpieczeniem domu państwa Marcinów i dowiedział, jak stoi jego sprawa.

W pół godziny może potem powrócił hrabia z miasta, ale taki rozdrażniony, taki zły, że Karolina tylko podawszy mu klucz od mieszkania nie śmiała ani słówka o wypadku pana Marcina przemówić.

— Zabrać, zabrać! — daje się słyszeć gwałtowny głos jego w sieni, a zaraz potem uderzenie we drzwi. Otwiera Karolina, a tu stary z największą furią wyrzuca za próg jedno za drugim materace i kołdrę i poduszki, któremi jego łóżko było zasłane.

— Precz z tem! oddać mi moje!... prędko moje—• powtarza drepcząc nogami z niecierpliwości. — Nie potrzebuję, kto acanią prosił?!

A gdy przestraszona takim napadem furii starego, zaczęła mosić jego rozpadające się łachmany, on nie odbierał, ale poprosił tu wrywał jej z ręki.

Jakkolwiek знаła ona już wybornie jego opryskliwość, jednał w tej chwili podwójnie się zmartwiła, albowiem miała zamiar prosić go, czy by przez swoją znajomość i stosunki nie chciał zająć się sprawą Marcina, tymczasem naraziwszy się ową pościelą, nie śmiała i ust otworzyć. Stary z trzaskiem zamknął drzwi prowadzące z kuchenki do biblioteki i tylko było słyhać jak rzucał książkami, jak mrucał, układając napowrót swoje manatki na fóżku. Karolina stała jeszcze i stała w kuchence, bijąc się z myślami, czy wystąpić z prośbą czy nie, lecz przypomniawszy stan pełen rozpaczy pani Marcinowej, nabrała odwagi i przeżegnawszy się z rezygnacją, zapukała leciuchno do drzwi.

— Idź acani do milion dyabłów.

— Panie hrabio, przepraszam.

— Niepotrzebuję żadnych przepraszań...

— Proszę o chwilkę rozmowy.

— Niemam czasu—odpowiada głos z za drzwi a potem jeszcze większy łoskot rzucanych książek na podłogę.

— Czył acani i tu mi jeszcze nie dasz pokoju! — odzywa się wreszcie czując, że ona wciąż stoi...—Idź, idź pocieszać swego przyjaciela, który już siedzi za kratą...

— Właśnie chciałam pana hrabiego prosić...
Stary otworzył drzwi, i z groźną miną stanął
w nich, zasłaniając wejście swoją osobą.

— Panie hrabio—odzywa się pokornym głosem— doprawdy nie mam odwagi. ^

— Bardzo dobrze...

— Pani Marcinowa jest tu, u mnie...

— Kto?

— Pani Marcinowa.

— 'Zona tego oszusta, szubienicznika, kryminalisty, tromtadraty, ta która cię wypędziła od siebie z domu?

— Ta — odpowiada słabym głosem. — Ona taka nieszczęśliwa. Męża aresztowali.

— I dobrze zrobili. Czy ja acani nie przepowiedziałem. Błazen chciał świat reformować... Dobrze mu tak, będzie dla innych półgłówków nauka, nie wtykaj nosa tam, gdzie zapach nie dla ciebie.

— On, panie hrabio, niewinny...

— Tak jak acanna jesteś niewinna, żeś mi cały porządek zrujnowała. Tylko wpuść kobietę, a ona ci zaraz wszystko na swój babski manier przeinaczy. Kto acanią prosił?

— Myślałam, że dla starszej osoby będzie wygodniej...

— Kto u acani stary? Kto! Ja?... Jeszcze ja was wszystkich pochowam, i doczekam się, że tych waszych liberałów codo jednego wywieszają, a najprzód tego osła z wąsami i męża twego, obu na tej samej gałęzi... Dyrektor, redaktor, człowiek głośny... będziesz ty miał półgłówku swoje zasady.

— Jednakże panie hrabio — mówi niczem nie-iistraszona — trzeba mieć litość nad tą biedną żoną i dziećmi.

— Ot, wyedukował ich niema co powiedzieć... A sprowadził się niby to dla ich dobra... Błazen, grał rolę demagoga z ulicy...

— Cóż dzieci winne...

— Dajże mi acani pokój i nie skomlij jak ten piesek pokojowy. Ciągłe toż samo w kółko. Cóż to ja prokurator... Jak sobie posłał, tak się wyśpi... Ot, dlatego i ja sobie sam ścielę... Bądź acani zdrowa, a swoje czułości schowaj dla kogo lepszego...

Zamknął drzwi i pomimo długiego czekania Karoliny j;ż więcej nie otworzył.

Nadeszła pora obiadowa; Karolina musiała zająć się kuchnią, bo trzeba było dać czem się posilić nie-szczęśliwym gościom, i staremu usmarzyć jego wątróbkę. Wrócił nareszcie i Antoni, lecz pełen oburzenia na podłość ludzką.

— To nic proszę pani, tylko intryga panów — odzywa się do siedzącej bezmyślnie Marcinowej. — Ale niech pani będzie spokojna, prawda jak oliwa na wierzch wypłynie... Mówiłem z wielu przyjaciółmi naszymi, są oburzeni i wściekli... Programowicz powiada, że napisze taki artykuł w Młocie, że im wszystkim po piętach pójdzie... Mamy dowody ich intryg i nie byłbym Antonim, gdybym ten skandal darował. Wywalę kijem na ulicy, jak Boga kocham, niech się co chce stanie, wywałę...

Ignas poniósł z talerzem kaszkę dla hrabiego, pukał, stukał, ale stary ani się odezwał.

— Może go nie ma?—odzywa się Antoni.

— Musi być, nie słyszałam, żeby wychodził.

W godzinę posłano drugi raz — toż samo milczenie, a Ignas powiada, że patrzył przez dziurkę od klucza i nie ma w pokoju nikogo.

Zaniepokoiło to Karolinę więc poszła sama. Stu

ka, prosi, kławką, porusza — nikt się nie odzywa, dopiero zszedłszy na dół do bramy, powiedziała jej żona stróża, że hrabia jeszcze przed południem wyszedł i dotąd nie wrócił.

Tymczasem znękana Marcinowa siedziała wciąż z oczami łez pełnymi. Mimo wszelkiej troskliwości i wylania ze strony Karoliny, rozpacz jej nie miała granic. Co chwila wybiegała do okna, zobaczyć, czy pan Antoni wysłany na zwiady nie powraca, a niech tylko ruszy się kto na schodach, już ona jest w sieni i przechyla się przez poręcz i schodzi na dół niespokojna co się tam dzieje z biednym jej mężem. Nie opierała się wcale, gdy pani Karolina zaproponowała aby tu zostali na noc, na samo wspomnienie, że musiałyby wrócić tam, gdzie tyle przykrości doznała w dniu dzisiejszym, zimny dreszcz ją przechodził...

— Nie dosyć, że tyle nieszczęść spadło na mnie— odzywa się biorąc za rękę Karolinę — ale jeszcze muszę się wstydzić za moje postępowanie z tobą droga pani...

*— Nie mówmy o tem...

— Przeciwnie, mówmy moja droga. Jakże jabyłam złą i niesprawiedliwą. Boże drogi, co za wstyd... Przeba- . czysz mi pani kiedy to wszystko... Czy mogę cię prosić?

— Kochana pani nie myśl o tem. Dawno już zapomniałam. Ot, lepijś pomówmy, co robić dalej... Choć mam nadzieję, że pan Marcin wyjdzie z tej ąfery czystym, jednak na wszelki wypadek trzeba rozpocząć jakieś starania, trzeba się inaczej urządzić... Pan Bóg < ma litość nad nieszczęśliwymi i nigdy nie zostawia ich

bez nadziei. Ma pani dzieci i to dobre dzieci, trzeba myśleć o nich, trzeba ich wyprowadzić na ludzi.

— Wszystko już stracone. Dla nas niema innego ratunku, tylko skryć się gdzieś pod ziemię.

Jak mogła pocieszała ją młoda gospodyni, odwodząc jej przykre myśli na inne tory. Radziły, płakały, wzdychały i przeproszały się aż do samego wieczora. Pan Antoni i hrabia nie wracali. Nareszcie kiedy już zmrok zapadać zaczął, usłyszano jakieś stukanie laską na dole, Karolina pochwyciła Macusia i Jagusię na rękę i dalej ze świecą na schody.

Rzeczywiście był to hrabia, ale taki czerwony z irytacji, że nawet nie zwrócił uwagi na swoich faworytów, tylko doszedłszy na piętro zawołał porywczo:

— Igły i nitki!... Czy acani nie słyszysz, wziąć igłę i nitkę...

Pobiegła do siebie po ową igłę i ze świecą weszła do kuchenki w mieszkaniu hrabiego.

— Proszę mi tu zeszyć!—mówi, pokazując u dołu rozprutą podszewkę u swojej algierki.

Drżącymi rękami wzięła się do tego szycia, hrabia stał przed nią, a nie zdejmując z siebie owej bundy, pokazywał w którym miejscu trzeba zaszywać.

— Czego acanna macasz! — krzyczy widząc jak zbiera ręką dalsze części algierki.—Tu szyj... niepotrzebna ciekawość, czego drżysz jak stara aktorka?...

— Tam ktoś po schodach idzie do nas... może Antoni...

— A niech idzie... jeszcze tu raz przeszyć.. Jaka mi czułość małżeńska, dawnoście się nie widzieli... Nie bój się, nie ucieknie od ciebie... taki raryttny mąż... No, a teraz acani idź i tę babę wyforuj do jej salonów... Jak wyprowadziła swego bałwana do miasta, tak niech go ratuje... Trybun ludowy, redaktor Miecha czy jakiegoś tam innego dyabła... Nie bój się, nabije go się bieda, nakuje... już z więzienia nie wyjdzie.

Na życzenie dobrej nocy nie odpowiedział nic hra

bia, a skoro tylko wyszła z kuchenki, drzwi na klucz dwa razy zamknął i poszedł do biblioteki.

Cóż to za gwar wesoły dochodzi jej uszu z mieszkania! Zdaje się, że to głos Marcina, tak jest, to on, mówi do siebie, wpadając z biciem serca do pokoju... Otaczają ją wszyscy, Antoni chwyta w objęcia, pani Marcinowa ciągnie do siebie, pan Marcin płacze i klęka.

— Uwolniony!...

— Tak uwolniony z łaski kochanej pani!—dodaje szlachcic ocierając łzy rękawem.

— Z mojej łaski!—zawoła zdziwiona kobieta, patrząc się z radością na nich.

— No, no, serce ty moje—dorzuca Antoni biorąc ją za obie ręce—czego udajesz! Prosiłaś hrabiego...

— Prosiłam... ale...

— Otóż dał kaucyę dziesięć tysięcy reńskich za pana dyrektora i uwolnili go. Będzie odpowiadał z wolnej nogi. A żebyś widziała z jaką zawziętością pruł swoją algierkę i wyjmował w kącie na kurytarzii sądowym listy zastawne, tobyś się zdziwiła. Cały się trząsał, a warga skakała mu pod same oko...

— Szlachetny człowiek! — zawołała ze łzą wdzięczności w oku—idę mu podziękować...

Ba, ale nie tak to łatwo dostać się do hrabiego, kiedy ten zamknie się w swojej norze. Pukała, stukała, modliła—nikt nie odpowiadał, zdawało się, że hrabia albo już usnął na swoim łożu, albo uszy pozatykał bawełną, nie było więc rady, jak tylko odłożyć podziękowania na przyszłość i wrócić do uszczęśliwionych małżonków.

Największym nieprzyjaciółom naszym nie życzymy jednak takiego szczęścia. Uwolniono wprawdzie pana Marcina z aresztu, ale sądy rozwinęły z całą energią po

stępowanie karne co do upadłości Banku powszechnego kredytu, którego on był drażkowym niejako dyrektorem i wszystkie drażliwsze papiery na wiarę podpisywał. Zresztą prócz tego procesu, rzucili się na raz jeden liczni prywatni wierzyciele pana Marcina, a że na wekslach wystawianych figurowało i nazwisko pani Marcino-wej, zagrabiono im tedy meble, sprzęty, srebro i wszystko, co tylko w mieszkaniu miało jakąbądź wartość. Wracać na wieś nie chciała pani pod żadnym pozorem, zresztą i nie było gdzie, albowiem ekscypowany dwór z ogrodem i innymi dodatkami zajmowały teraz trzy familie żydowskie. Potrzebując pieniędzy, pan Marcin już przedtem, układając się ze Szmulem, zrzekł się tych korzyści, a wnuk rabina, któremu już trochę włosów puściło się na brodzie, paradował w salonach dworskich i plamił piękne posadzki łojem podczas illuminacji szabasowej.

Od razu tedy, bez żadnego stopniowania, z zamożności znalazła się rodzina pana dyrektora w nędzy. Najęto dwa pokoiki z kuchenką w podwórzu i tam mieszcza się wszyscy. Panna Jadwiga daje lekcye śpiewu, pani Marcinowa przyjmuje bieliznę do szycia na maszynie. Ludwik chodzi do szkoły i stara się o jaką kore- petycę, sam zaś pan Marcin, po całych dniach biega od adwokata do adwokata, studyuje różne kodeksa i broni się jak może przeciw wierzycielom opisującym hypotekę majątku, z którym zapewne już się więcej nie zobaczy. Sprawa karna Banku jeszcze nie ukończona, lecz tyle już uzyskano w sądach, że pan Marcin uwolniony z pod oskarżenia, powołany będzie jako świadek przed sąd przysięgłych.

Proszę go zobaczyć teraz.—Jaka to różnica w całej powierzchowności i obejściu tego przed dwoma laty

z butną miną rozrzucającego się szlachcica. Owe piękne niegdyś w pierścionki podkręcone wąsy, wiszą mu niedbale, czoło się pomarszczyło, broda zsiwiała, policzki się opuściły, utył, spokorniał, choć jeszcze nie utracił żyłki do gadulstwa. Unikając spotkania dawnych przyjaciół, wynalazł sobie gdzieś w ogródku na Łyczakowie nowe towarzystwo amatorów piwa i kręgli, tam więc poczciwym mieszczanom wyklada teorie o równości stanów, o lichem sądownictwie w Galicyi, o przewrotności szlachty, która powoli całą władzę zabiera w swoje ręce, wreszcie o przedajności dziennikarstwa, popierającego takie tylko instytucje, które hojnemi datkami za insecraty jej milczenie okupują.

■— Niechno ja się wydobędę z tych interesów, i stanę znów, panie dobrodzieju, na nogi, to ja im dam! Założę pismo codzienne i wszystko to wydobędę z błota na światło. Ja im pokażę gdzie jeszcze spoczywa uczciwość i gdzie są ludzie gotowi krew swoją przelać dla kraju.

Najbardziej jednak ucierpiała na tem pani. Doświadczywszy prawdziwej biedy i ponizenia, usunęła się od świata i ludzi tak, że czasami przejdzie kilka tygodni, a nie ruszy się ze swego mieszkania na ulicę... Czuje ona to dobrze, ile postępowaniem swoim, nacechowanym bezmyślną próżnością, przyczyniła się do tej ruiny. Cierpi więc i bardzo cierpi widząc się tak opuszczoną. Jedni tylko Antoniościwo odwiedzają ich często, a pani Karolina udziela rad i serdecznej pomocy w tak trudnych przejściach, powtarzając, że w obec tego, co ona wycierpiała od dzieciństwa, pani Marcinowa nazwać się może jeszcze szczęśliwą.

— Ja chciałam dobra dzieci!—mówi wzdychając.

— I sądzę osiągną to dobro, nauczywszy się pracować— dodaje Karolina.—Nic tak nie oddziaływa na

wyrobienie się dzielności charakteru jak bieda. Z Ludwika będziecie mieli prawdziwą pociechę, ten chłopiec nie utonie w masie innych próżniaków paniczów, to ci zaręczam. Patrz jaka to w nim energia, jaka chęć do pracy... Hrabia powiada, że on was odrestauruje...

— Daj Boże, daj Boże... Ale cóż to się dzieje z tym starym dziwakiem. Już od kilku dni nie widzę go tutaj, nie przynosi mi starych francuzkich romansów.

— Coś z nogami jego niedobrze. Ktoś mu poradził naparzanie odwarem z czosnku i takiego narobił fetoru w całym domu, zdawałoby się że sami najubożsi żydzi tu mieszkają. Jednak pozwolił już zmienić sobie posłanie.

— Jaki to szlachetny człowiek, choć czasami tak przykry, że łyzy wyciska swą dokuczliwością.

•— Wierz mi, kochana pani, to wszystko jest udane. Widziałam jak płakał kiedy zdechł Maciuś, a człowiek, który płacze, musi mieć serce. Mówił mi wczoraj, że radby pana Marcina zabrać z sobą na wieś i powierzyć mu zarząd gospodarki. Powiada, już nie wypuszczę więcej w dzierżawę, bo dziś tylko żydzi są w możności płacenia regularnie. Nie gniewaj się pani, ale dodał: żeby tylko ten trybun ludowy nie chciał mi emancy- waó chłopów... bo on gotów przez swoje gadulstwo w głowach im przewracać.

— Powiedz hrabiemu, niech będzie spokojny!—odrzekła Marcinowa.—Ja wiem, że on chce dać nam jakiś sposób do życia. Z Marcina jako gospodarza nie będzie miał wielkiego użytku, ale że mu przypilnuje uczciwie wszystkiego, to ci zaręczam. Jechać, jechać gdzieś w obce strony, zdaleka od ludzi i świata, choćby o chlebie i wodzie, oto jest całe moje życzenie, całe szczęście...

Tak więc dość prędko i dość smutno zakończył pan Marcin swoją karierę. Stracił wszystko, ale nie stracił

fantazyi; popularność i blask jakiegokolwiekby były r dzaju, mają to do siebie, że nigdy człowiek o nich i zapomina. Dlatego też niech żona zacznie mu roi wymówki, on zasłania się natychmiast tem, że to wJ śnie ona wyprowadziła go ze wsi do miasta.

— Myślałam, że to korzystnem będzie dla prz szłości dzieci.

— I byłoby, gdyby nie szatańskie intrygi i z zdrość ludzka. Ale nie martw się, moja Winiu, wsz scy znakomici ludzie musieli przechodzić takie kole; Jednostki giną, to prawda, ale idea żyje. Przyjdz czas, że to wszystko się zmieni i ja jeszcze, panie dobr dzieju, wypłynę, oj wypłynę.

— Jednak przyznasz, że taki naprzykład hrab więcej wart od twoich przyjaciół, od tych Kulbak Ogr dziańskich i tym podobnych.

— Hrabia!—mówi z uśmiechem i głosem przeci głym. — Dobry człowiek, prawda dobry, ale głowa sł biutka, panie dobrodzieju... Wszystko czego nie roz mie, potępia... ale jeszcze ujdzie.

Szczęściem dla Galicyi, że tego rodzaju bohaterc już coraz mniej pojawia się na jej horyzoncie. Odzyw ją się wprawdzie ich głosy tu i tam, ale publiczno wzrusza tylko ramionami i bez wielkiego żalu przech dzi nad niemi do porządku dziennego. Pragnąc oca] typ prawdziwego tromtadraty, dałem tu obrazek mo cokolwiek przesadzony, w szczególach jednak wzię żywcem z lwowskiego bruku, który jak sędzę przyczry się może do ugaszenia tej żądzy popularności za bądź, niestety dość powszechnej między naszą szlachl

KONIEC